

KONKURSY EKSPRESU

PROZA

wznowienia

 **BIBLIOTECZKA
NOWEJ FORMACJI**



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

KONKURSY EXOZUSU

PROZA

wznówieni a

KONKURSY EXODUSU

PROZA



Wydanie pierwsze

Redakcja:
Stowarzyszenie „Bez Limitu”

Publikacja ma charakter historyczny, koneserski
i nie jest przeznaczona do dystrybucji w sieciach handlowych

Oddano do druku w czerwcu 2023 roku

Wydawca:
STOWARZYSZENIE
BEZ LIMITU

Stowarzyszenie „Bez Limitu”
ul. Bielska 16, 43-520 Chybie
e-mail: s.bezlimitu@gmail.com

Skład komputerowy:
Wydawnictwo B63, Mnich, ul. Kopernika 5, 43-520 Chybie
e-mail: nowa.formacja@prasa-lokalna.pl



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

ISBN: 978-83-967217-2-3

Kolej rzeczy:

Przemysław Szulgit

| | |
|----------------------------|----|
| Chorągwie na wietrze | 11 |
| Matka Polka '70 | 14 |
| Głupie psy | 14 |
| Hyksosi | 16 |
| Chłopcy | 17 |
| Nędzne psy | 18 |

Paweł Głogowski

| | |
|----------------|----|
| Horoskop | 21 |
| Egzamin | 22 |

Tadeusz Żuczkowski

| | |
|---------------|----|
| Dróżnik | 25 |
|---------------|----|

Marek Tatar

| | |
|---------------|----|
| Nirwana | 43 |
|---------------|----|

Piotr Wyrożemski

| | |
|----------------------------------|----|
| Pieskie opowiadania | 49 |
| Opowieść prawie prawdziwa | 51 |
| Zabawa w Reymonta | 51 |
| Kto pachnie? – opowiadanie | 51 |
| Skrzyżowanie | 52 |
| Bruner i Hans | 52 |
| Chłopi (powieść) | 52 |
| Van Gogh | 53 |

| | |
|---------------------------------|-----|
| Włodzimierz Jędrzejczak | |
| Trochę nadziei | 57 |
| Artur Pałyga | |
| Deszcz | 73 |
| Patrycjusz Pająk | |
| Sprawa cenzora | 79 |
| Jakub Kamiński | |
| Drogi, które nas prowadzą | 87 |
| Małgorzata Szwed-Kędzia | |
| Widownia | 97 |
| Urszula Skiba | |
| Szok | 101 |
| Augustyn Baran | |
| Lato leśnych złudzeń | 109 |
| Głupcy wierzą w poranek | 117 |
| Maciej Antoni Suszek | |
| Laluś | 137 |
| Agnieszka Milerska | |
| Tamte dni | 173 |
| Marta Fox | |
| Oczekiwanie | 189 |
| Radosław Rzeszotek | |
| W zawiasach | 193 |
| Przemysław Szulgit | |
| Freski | 199 |

Gdy w 1983 roku ogłoszono w Chybiu pierwszy konkurs poetycki, nikt nie dawał małemu klubowi i równie małej miejscowości szans na to, aby zaistnieć na arenie ogólnopolskiej. Nadto konkurs nie był zrazu adresowany do szerokiego grona literatów zamieszkujących kraj nad Wisłą, a pomyślany był raczej jako lokalne zjawisko, które ma przyciągnąć do Klubu Młodych Exodus ludzi, którzy odważnie stawiają swe kroki na polu poezji. Okazało się jednak, że do Mnicha nadesłano kilkaset prac...

Po pięciu edycjach zdecydowano o poszerzeniu formuły i oprócz poetów zaproszono także prozaików.

Ta książka zawiera zbiór prozatorskich prac, które zostały uhonorowane nagrodami w konkursach Klubu Młodych Exodus w latach 1988-1990 i jest zapisem stanowiącym dopełnienie historii tego zjawiska.

1988



PRZEMYSŁAW SZULGIT

Poznań, I nagroda

Chorągwie na wietrze

Bóg i natura opowiedzieli się jednoznacznie – westchnął sztandarowy patrząc na ulicę. Z nieba olbrzymimi strzępami spadał lepki, mokry śnieg.

– Piękna pogoda na pierwszego maja – powiedziała dziewczyna, która zawsze stoi z prawej i zamknęła drzwi szkoły.

– Zimno...

– Ciekawe, jak dojedziemy na ten pochód? – parsknął sztandarowy.

– Zamówili taksówkę – powiedziała dziewczyna, która zawsze stoi z lewej.

– Myślałem, że podwiezie nas sam dyrektor – powiedział sztandarowy. – Jeśli zgłosił na ochotnika udział całej szkoły w pochodzie, to chociaż to mógłby teraz zrobić.

– Samochodem pojedzie on i dyrektorka, a my z Muszyńską taksówką – mówiła ta, która zawsze stoi z lewej.

– Z Muszyńską? – zawołał sztandarowy. – I tu się wkręciła? Przecież pierwszym sekretarzem jest Bodańska.

– Bodańska rzuciła legitymację. Teraz pierwszym sekretarzem jest Muszyńska.

– Bodańska rzuciła... – szepnął sztandarowy. – To kto w tym liceum należy jeszcze do partii?

– Dyrekcja i Muszyńska.

– Faktycznie, lepszej lizidupy nie mogli znaleźć – westchnął sztandarowy i podszedł do sztandaru w pokrowcu. – Jest tak mokro, że po pochodzie będzie wyglądać jak szmata.

– Taksówka przyjechała! – zawołała ta, która zawsze stoi z prawej.

Niebawem z pokoju nauczycielskiego wyszedł dyrektor, a potem jeszcze dwie kobiety.

– Ubraliście się ciepło? – zadał pytanie podchodząc do nich. Otworzył drzwi szkoły. – Musimy się pospieszyć, jest już późno. Jak się umówiliśmy: pani jedzie z nami – wskazał Muszyńską.

– Tak, tak – potwierdziła.

Na zewnątrz taksówkarz pomógł im schować sztandar do bagażnika.

– Przepraszam, że się spóźniłem – mówił puszczając kłęby pary – ale żona też jest pierwszym sekretarzem i też ją musiałem przedtem odwieźć na pochod...

– Tak? – dziwiła się Muszyńska.

Obydwa samochody pojechały.

Na miejscu zbiórki sztandarowy rozwinął sztandar szkoły, a dziewczyny stanęły z lewej i z prawej. Za nimi uczniowie

podpisywali listy obecności i znikali niepostrzeżenie. Gdy przybyli na trasę pochodu, od najbliższego sztandaru dzieliło ich pięćdziesiąt metrów. Kiedy pochód ruszył, obydwa sztandary sunęły już obok siebie, a przed trybuną zrównały się z innymi sztandarami tworząc las chorągwi. Wszystkie były ciężkie i kapała z nich woda. Wówczas sztandarowy, sposobem, jaki podpatrzył na „Wojnie i pokoju” Bondarczuka, wywindował swoje drzewce półtora metra w górę.

– Jak wysoko! – zachwycił się ktoś z tyłu.

Pochód, który każdego roku trwał ponad dwie godziny, zakończył się po kwadransie. Sztandarowy wykręcił swój sztandar i nałożył na niego pokrowiec. W tym czasie Muszyńska i dziewczyny z lewej i z prawej stanęły w kolejce na postoju taksówek.

Kiedy już jechali samochodem, wyprzedził ich żuk wiozący cztery czerwone flagi.

– Kurwa mać! – zaklął wtedy taksówkarz. – To ja nie mogę paliwa dostać, a oni ciężarówką wiozą cztery kije! Ilu ludzi się przez ten pochód poprzeziębia, nie pójdzie potem do pracy. Takie straty, a oni mi wyliczają w „Dzienniku”, ile nas jeden strajk kosztuje. No niech pani powie, ile oni naszych pieniędzy utopili dzisiaj w tym śniegu!?

– Tak, tak – potwierdziła Muszyńska.

Matka Polka '70

Ojciec nasz, któryś jest w niebie... W stoczni przestano strzelać kilka godzin temu. Dzisiaj miałam taki straszny sen. On dawno powinien stamtąd wrócić... Świeć się imię twoje... Spraw, żeby go nie skrzywdzili źli ludzie. On ma dopiero dwadzieścia pięć lat. Tylko on mi pozostał: tak ciężko mnie przez te lata doświadczałeś... Przyjdź królestwo twoje... Nie odbieraj mi go. Całe życie chowałam go, jak przykazałeś: nie zabijał, nie kradł, nie cudzołożył. Panie, ocal go. Niech wróci do mnie cały i zdrowy... Bądź wola twoja...

Gdy kobieta usłyszała pukanie, powstała z klęczek i zdmuchnęła świecę przed świętym obrazem.

– Spraw, żeby to on stał za tymi drzwiami... – wyszeptwała i poszła otworzyć drzwi. W progu stali koledzy jej syna. Ona powoli uniosła dłoń do ust i cofnęła się do pokoju. Tamci w progu zaszalutowali i ściągając niebieskie czapki z orłem powiedzieli, że poległ na stanowisku. Ale niech nie rozpacz – dodali, bo tych, co jej to zrobili, oni już dostali w swoje ręce.

Głupie psy

Tramwaj zatrzymał się i wysoki wysiadł. Na przystanku zauważył kolegę z podstawówki. Podszedł do niego.

– Co słychać? – zagadnął. – Ja właśnie wracam z uniwersytetu. Co to się będzie działo! Przyjeżdżam na zajęcia, a tu buda zamknięta. Jakies tuki w biało-czerwonych opaskach

robią za straż rektorską i nikogo nie wpuszczają. Wczoraj był wiec. W gazecie podali, że tylko dwieście osób, ale było tysiąc. No sam powiedz, jak kłamią! Do rektora poszła delegacja z postulatami. Jutro o siódmej ma dać odpowiedź, a jak nas oleje, będzie strajk okupacyjny. A on odwołał zajęcia! Tych, co poszli do niego, zawiesił w prawach studenta. No sam powiedz, czy facetowi nie dać po ryju? Jeśli jutro nie każe otworzyć budy, to nie wiem, co się stanie. Ten wariat z całą perwersją dąży do tego, żeby nas spałowali. Ponad tysiąc ludzi zbierze się o ósmej i w otwartej przestrzeni nas dopadną! No sam powiedz. Ludzie na ulicy też się niczego nie spodziewają. Jak był wiec, to nawet bali się patrzeć na nas. Nikogo to nie rusza, ale my pierwszy raz w życiu nie wiemy, czy jutro dożyjemy do zachodu słońca! Matce niczego nie mogę powiedzieć, bo się zdenerwuje i nie puści mnie z domu. Formalnie jutro może się krew połać No sam powiedz!

– ... zabili – powiedział nagle niższy.

– Co? W Nowej Hucie? – zapytał wysoki.

– Psa mi zabili – powtórzył niższy. – Dzisiaj tam na drodze go znaleźliśmy – pokazał. – Zabiłbym tego, co to zrobił. Rozpacz w chacie, wiesz... – mówił niższy. – Jadę tym tramwajem, cześć! – powiedział i wsiadł do wagonu.

Wysoki stał na przystanku i patrzył tępo na odjeżdżający tramwaj.

Hyksosi

– Co studiujesz? – zapytał przesłuchujący oficer.

– Historię – odpowiedział student. Oficer głośno roześmiał się:

– To chociaż ty powinieneś mieć tyle oleju we łbie, żeby nie bawić się w te dziecinady. Tylko mi nie wmawiaj, że znalazłeś się tam przypadkowo! – zawołał. – Znamy te numery! Po każdej demonstracji wszyscy tak mówią. Lepiej byście się wzięli do nauki... Historyk! I niby jakiej wolnej Polski się domagacie, co? Nie wolno wam mówić po polsku, uczyć się i tak dalej? A może my wam tego zabramy? Podbiliśmy ten kraj i chcemy was zgubić? Tylko że my też jesteśmy Polakami. Mówimy po polsku. Nasze mundury też są polskie. Jesteśmy tu obcy według was? Jeśli nie jesteśmy Polacy, to kto?

– Hyksosi – szepnął student.

– Co?

– Nie, nic. Przepraszam pana – odpowiedział student.

– Nie potraficie nawet rozmawiać jak mężczyźni, a już jesteście za dorośli na to, żeby wam wlać na dupę za te fanaberie.

– Ładnych synów żeśmy się dochowali, nie ma co... – westchnął oficer.

Po pracy oficer w domu ściągnął z półki pierwszy tom encyklopedii.

– Chyba ze mnie nie kpił... – mówił do siebie wertując kartki. – A może to się inaczej pisze? – zdjął z półki drugi tom i odnalazł hasło:

„Hyksosi, nazwa nadana przez Monetona plemionom koczowniczym, które ok. 1730 p.n.e. opanowały Egipt Dolny i Środkowy; władcy ich sprawowali rządy jako dyn. XV i XVI (ok. 1670-1570); H. ulegli z czasem wpływom kult. Egiptu”.

Oficer odłożył książkę i zamyślił się:

– Co on mi chciał przez to powiedzieć?

Chłopcy

– Zo-mo precz!!! – słyszeli skandujący tłum.

– Jak myślisz? – pytał niższy wyższego. – Dużo ich będzie przed tym pomnikiem?

– Nie wiem – odpowiedział wyższy.

– Pewnie więcej od nas – mówił niższy. – Żeby tylko nie chcieli się bić. Z gołymi rękami pod pomnik pewnie nie poszli...

– Pewnie nie... – powiedział wyższy.

– Żeby tylko nie dać się samotnie złapać – mówił niższy.

– Dopadną człowieka we trzech, czterech. Obalą na ziemię, zaczną kopać. Mogą tak ciężko pobić...

– Mogą zabić – poprawił wyższy.

– Po co ja się tu pchałem? – jęczał niższy. – Za co oni nas tak nienawidzą? Przecież też muszą się bać...

– Przestańcie kłapać pyskiem! Idziemy! – usłyszeli nagle.

Odruchowo wystawili tarcze przed siebie, chwycili mocniej pałki i z resztą szeregu ruszyli równo z lewej.

Nędzne psy

Stalowa brama runęła z hukiem w mokry śnieg, a on z innymi mógł wbiec do środka. Nie znał tego terenu, tych zapachów. Znał jedynie woń morskiej wody dolatującej gdzieś zza wielkich hal zastawionych żelaznymi konstrukcjami. Jak i reszta musiał zbity z tropu przystanąć na chwilę za bramą i dopiero wśród narastającego jazgotu i wrzawy odnalazł właściwy kierunek pogoni. Pognał z innymi za tupotem gumiaków. Śmierdziały tłustym smarem i blachą. Nienawidził tego smrodu i ogarniała go wściekłość. Zwłaszcza że gumiaki rzucały w niego tak samo śmierdzącym żelastwem. W końcu zaczęto gdzieś strzelać. Pierwszy raz w takiej gonitwie! Ale on nie mógł się już ruszyć...

Był przyzwyczajony do strzałów. Zdarzało się niekiedy, że w miejscach podobnych do tego dopadał kogoś, kogo również kazano mu ścigać. Śmierdział wódką albo moczem odanym ze strachu i czasami strzelał. Lecz gdy nie mógł już tego zrobić, krzyczał i błagał o litość, gdy tylko on się pojawiał. A on nigdy nie miał z takiej pogoni żadnej przyjemności. Te prawdziwe gonitwy, które od razu tak bardzo polubił, zaczęły się niedawno. I nie zimą, a wczesną wiosną. Wypuszczano go wtedy z innymi na place, gdzie razem z gołębiami gromadziły się rozwiane płaszcze o zapachu osiadającego na papierze pyłu. Spłoszone gołębie wzbijały się do lotu, ale te rozwiane płaszcze, także przypominające skrzydła ptaków, nie potrafiły wzlecieć uciekając. Na każdym placu było ich tak dużo, że nie było wiadomo, za którym biec. Biegał więc z innymi wśród narastającego jazgotu i wrzawy między tymi wielkimi, nielotnymi gołębiami i doskakiwał to

do jednego, to do drugiego... Miał nadzieję, że odtąd będzie tak każdej wiosny, lecz potem czasy się zmieniły. Nadeszła nowa wiosna, i choć tak jej oczekiwał, trzymano go krótko. Nie mógł nawet warknąć, kiedy na ulicy mijał go taki wielki, nielotny ptak pachnący papierowym kurzem. Przez ten czas znowu musiał ścigać w miejscach podobnych do tego śmierdzących wódką albo moczem i nie miał z tego żadnej radości, aż wreszcie zdarzyła się ta prawdziwa zimowa gonitwa ze strzelaniną.

... Tak sobie leżał z przetrąconym kręgosłupem i w śmiertelnych drgawkach merdał ogonem z radości, że może czasy się nie zmieniają, nastanie wiosna, a wraz z nią pora szarpania wielkich, nielotnych gołębi, które nigdy nie rzuciłyby w niego ciężkim młotkiem.

* * *

Sześć opowiadań Przemysława Szulgita z Poznania jest częścią zbiorku pt. „Obrazki polskie”, za który autor otrzymał I nagrodę w VI Literackim Konkursie Klubu Młodych Exodus w 1988 roku. Opowiadania opatrzył następującym dopiskiem: „Jolancie i Marii – mimowolnym inspiratorkom, którym zbiór ten zawdzięcza swe powstanie”.

PAWEŁ GŁOGOWSKI

Warszawa, II nagroda

Horoskop

Moja żona myje zęby w łazience. Po skończonym szorowaniu nasmaruje kremem twarz i dłonie. Cichutko wsunie się w białą pościel, zgasi światło i zaśnie.

Wtedy zapalę papierosa, odsunę niedopitą kawę i stopy papierzysk. Zatemperuję stępiony parogodzinnym pisaniem ołówek i odczekawszy pięć minut wyjdę z domu. Znów będę chodził i patrzył w gwiazdy. Rozpoznawał znajome konstelacje, szukał tajemniczego i tylko dla mnie przeznaczonego znaku.

Wieczorny spacer przepelniony jest ciszą i spokojem, a ciemne niebo przetykane świecącymi punkcikami upoetycznia i uwzniośla. Są takie chwile, gdy wydaje mi się, że to właśnie ona, spadająca kometa, odmieni moje

życie. Lecz niektóre ze świetlistych kropek pojawiają się i znikają jakby drwiły z mojej ludzkiej nadziei. A przecież nie pragnę tak wiele. Proszę tylko, już od dziewiętnastu lat, o te same numery – trójka, jedynka, siódemka, jedenastka, trzydziestka i dodatkowa – dwadzieścia dwa. Totalizator wybudował już tyle obiektów sportowych za moje pieniądze, a ja ciągle muszę patrzeć w gwiazdy.

Egzamin

Stałem pod drzwiami miętosząc indeks w spoconych dłoniach.

– Proszę – usłyszałem tubalny głos. Wszedłem na chwiejących się nogach.

– Niech pan siada.

Przycupnąłem naprzeciw profesora na samej krawędzi krzesła.

– Pan pali? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałem pospiesznie i już wyjąłem paczkę, aby go poczęstować. Trzecią zapałkę udało mi się zapalić.

– Nerwusik z pana – uśmiechnął się. – Uczył się pan?

Przytaknąłem skwapliwie.

– Przygotowywałem się sumiennie, panie profesorze.

– No dobrze... To niech mi pan powie w takim razie, co jest na sto trzydziestej drugiej stronie mojej pracy o Żeromskim?

Odpowiedziałem bezbłędnie. Pokraśniał lekko, z zadowoleniem przechylił się w fotelu i rzucił jakby znienacka:

– A jakie seminaria prowadzę, he?

– „Stefan Żeromski – bibliotekarz”, „Dlaczego lubimy *Syzyfowe prace*?” i „Narracja w *Dziejach grzechu*” – odpowiedziałem wartko. Szczęście mi jak na razie sprzyjało.

– Dobrze. A kiedy się habilitowałem?

– W 1960 roku uzyskał Pan Profesor tytuł magistra, 1966 doktorat na Uniwersytecie Warszawskim za rewelacyjną pracę na temat... Przerwał brutalnie machnięciem ręki.

– Na wstępie parę pytań szczegółowych. Co najbardziej lubię jeść?

– Jajecznicę na boczku.

– Jaki kolor włosów ma moja żona?

– Jest piękną blondynką.

– A jak ma na imię moja córka z pierwszego małżeństwa, he?

Pociemniało mi w oczach.

– O ile się nie mylę, Helenka...

– A, tu cię mam, bratku! Widzisz, jednak nie wszystko wiesz. Dwójka, gamoniu!

Odbierałem indeks z opuszczoną głową. Wchodził następny.

– Pali pan?... Strona sto szesnasta mojej pracy...

TADEUSZ ŻUCZKOWSKI

Góra, III nagroda

Dróżnik

Krzyk lokomotywy o ułamek sekundy poprzedził łoskot rozpedzonego żelastwa. Pospieszny do Poznania przewalał się z hukiem przez tunel leśnej ciszy, bił po twarzach seriami oświetlonych okien, by w końcu zniknąć w perspektywie szyn jak oddalająca się burza. Marian nie spieszył się z podniesieniem rogatek. O tej porze nie było tu nikogo. Stał wyprostowany w stożku światła płynącego z zawieszonej niczym prysznic latarni. Coraz częściej wydawało mu się, że życie przepływa gdzieś obok, a on tkwi w miejscu z żółtą chorągiewką, daremnie próbując zwrócić na siebie uwagę migających za szybami twarzy. Drgnął usłyszawszy warkot motocykla. Pochylny nad korbą śledził zbliżający się pojazd. Dwaj obwieszeni wędkami mężczyźni przemknęli obok

nie zwracając na niego uwagi. Był częścią przejazdu kolejowego, facetem od korby i żółtej chorągiewki. Kiedy odwrócił się w stronę budki, odniósł wrażenie, że widzi czyjś cień za oknem. Ojciec miał go zmienić dopiero o szóstej rano. Czyżby coś się stało w domu? Musiałby zauważyć, jak jedzie drogą, zresztą, nie widać roweru starego.

Poczuł lęk. Najbliższe domy znajdowały się ponad dwa kilometry stąd. Nigdy nie wiadomo, kogo można na tym bezludziu spotkać. Może mu się tylko zdawało? Nie zaszkodzi być ostrożnym. Wyszarpał ze spodni szeroki pas z kłamrą i owinał nim dłoń. Nauczył się tego w wojsku. Stał przy niedomkniętych drzwiach i wyteżył słuch. Spiker radiowego programu nocnego zapowiadał jakieś piosenki. Marian ostrożnie odchylił drzwi i ujrzał dwie drobne stopy obute w rzemieńne sandały zwisające z polowego łóżka. Prawdopodobnie dziewczyna, ale co tu robi i czy jest sama? Zaciśnął palce na skórzanej obręczy pasa, cichaczem przemknął przez przedsionek i wstrzymując oddech znieruchomiał przy framudze drzwi. Słyszał tylko muzykę i ujadanie psa gdzieś za lasem. Nabrał powietrza w płuca i czujny wszedł do środka.

Na jego łóżku leżała dziewczyna, jedna z tych, które przyjeżdżają tu w czasie festiwalu i niekiedy zostają na całe lato. Była brudna i miała na sobie cudaczną bluzę ozdobioną cekinami, serduszkami i obcojęzycznymi napisami. Strzępiasta, uszyta z kolorowych ścinków spódnica zakrywała jej nogi aż do ubłoconych kostek. Obok głowy leżało coś w rodzaju worka. Festiwal odbywał się w miasteczku odległym o dobre dwadzieścia kilometrów, ale grupy dziwacznych młodych ludzi docierały aż tutaj. Marian bał się tych kolorowych,

szczupłych dziewczyn o nieobecnych twarzach, całujących się na ulicy z chłopcami o wyzywających fryzurach i błazeńskich ruchach, a jednocześnie zazdrościł przybyszom, kiedy znikali pod płachtami rozbitych gdzie się da namiotów. Nie raz chciał podejść do nich, zagadać, nawet zaproponować nocleg w stodole, ale nie odważył się nigdy, czując, że stoi przed opuszczonym szlabanem. Teraz widział jedną z nich z bliska, na służbowym, jak to jego ojciec nazywał, łóżku. Spała. Musiała być wycieńczona albo chora. Miała ładną twarz i bardzo delikatne dłonie. Patrzył na nią jak na egzotyczną postać z okładki kolorowego pisma. Zabrzęczał telefon. Dziewczyna drgnęła, chwyciła worek i podkurczywszy nogi przywarła do ściany. Patrzyła na niego z nieufnością wystraszonego dziecka.

– Niech się pani nie boi, to tylko telefon. Muszę zamknąć przejazd.

– Jaki przejazd? – rozglądała się wokół półprzytomnie.

– Kolejowy. Jest pani w budce dróżnika. Zaraz będzie leciał towarowy. Muszę opuścić rogatki.

Kiedy wrócił, dziewczyna siedziała w niezmienionej pozycji.

– Skąd się pani tu wzięła?

– Zaraz sobie pójdę.

– Dokąd?

– A co za różnica?

– Jest noc.

– W nocy bezpieczniej.

Miała silne dreszcze. Rzucił jej na kolana koc. Okryła się nim bez słowa.

– Napije się pani gorącej herbaty?

– Nie jestem żadną panią, panie kolejarzu.

– Jak masz na imię?

– Obojętnie.

Nie śmiał pytać dalej. I tak była z innego świata. Zaparzył mocnej herbaty w metalowym kubku. Przysunął do łóżka taboret. Rozlał herbatę do dwóch musztardówek, obok położył kanapki, parę jabłek i kawałek niedzielnego ciasta.

– Można się gdzieś tu umyć? – spytała patrząc na umazane błotem dłonie.

– W sieni jest umywalka.

– Duża ta twoja sień.

– Chroni przed zimnem i mniej błota nosi się do biura.

– Do biura?

– Ojciec tak to nazywa. Jest telefon, służbowe radio, trochę papierów do wypełnienia.

Festiwalowa dziewczyna myła się milcząc. Nagle wybuchnęła śmiechem.

– Co cię tak ubawiło?

– Wszystko, a najbardziej ta sień i biuro. Niesamowite zestawienie, nie uważasz?

– Faktycznie – roześmiał się. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Sień biura – stanęła w drzwiach, splatając włosy do tyłu.

– Albo biuro sieni. Doskonałe. Można by tak nazwać zespół. Jeśli ogłoszą konkurs na nazwę jakiejś początkującej kapeli, zgłoszę obie wersje. Co ty na to?

– Czemu nie, nie znam się na zespołach.

– A na czym się znasz?

Zarumienił się. Tego pytania obawiał się najbardziej. Dziewczyna zauważyła jego zmieszanie, usiadła na łóżku,

pociągnęła głęboki łyk herbaty i wyłuskała zza pazuchy zmiętą paczkę papierosów.

– Palisz?

– Nie, dziękuję.

– Pewnie też nie pijesz?

– Nie.

– Ja też nie. Dlaczego cię to tak dziwi?

– Wcale nie.

– To czemu tak na mnie patrzysz?

Dzwonek telefonu wybawił go z opresji. Zerwał się z krzesła szybciej niż było to konieczne.

– Muszę opuścić roгатki.

– Mogę pójść z tobą?

Zawahał się.

– No... chyba. Chodź.

Terkotanie korby, dzwonki przy opadających szlabanach rytmiczne jak klepanie kosi. Klap, klap, klap o asfalt, cisza.

– Mogę przyłożyć ucho do szyn?

– Pewnie.

– Słyszę go – ucieszyła się jak dziecko. – Słyszę wyraźnie.

Wyprostowała się i stanęła przy nim. Widział jej ładny profil, włosy spięte w koński ogon, zarys piersi pod ciężką bluzą.

– Jaki to będzie pociąg?

– Towarowy.

– Wiesz co? Czytałam gdzieś, że zbliżające się tornado słychać jak nadjeżdżający pociąg towarowy.

– Posłuchajmy.

Szmerząca bryła wytoczyła się zza zakrętu. Hałas narastał z sekundy na sekundę odbijany echem od ściany drzew.

Zdawało się, że to huk nawałnicy, szalony wicher, który powali las i zmiecie ich z powierzchni ziemi. Stalowy potwór zaryczał i dmuchnął im w twarze metalicznym wyziewem. Dziewczyna zacisnęła palce na jego ramieniu. Chciał jej powiedzieć, co czuje patrząc na mijające go pociągi, jak przerażają go żelazne smoki i jak nieuchwytne są twarze w oświetlonych oknach. Za późno. Czerwone punkciki pochłonęła noc. Las szumiał nieznaną im kołysankę. Byli tu intruzami jak pociąg, warkot korby i muzyka programu nocnego.

Kiedy weszli do budki, byli sobie bliżsi o jedną fascynację jedno wspólne zapatrzenie. Jedli w milczeniu prostym jak jabłka, chleb i herbata w metalowym kubku. Gdy skończyli, dziewczyna zapaliła papierosa.

– Mogę spróbować? – zapytał.

– Jasne – uśmiechnęła się. – Jutro zaczyna się festiwal. Wyruszyłam za późno. Mówili, że nie będzie kłopotów ze stopem, że tutejsi ludzie przyzwyczaili się do nas, wiesz, takie bzdety. Łapałam same nędzne kursy. Kiedy zrobiło się ciemno, postanowiłam iść. Bałam się stać w miejscu. Nie wiem, ile kilosów przeszłam, ale chyba sporo. Zmarzłam jak cholera, szłam i ryczałam z bezsilności, chwilami wydawało mi się, że drzemię, wiesz, takie krótkie momenty, kiedy nie jesteś pewien, czy śpisz, czy nie. Coś jak przy prowadzeniu samochodu nad ranem. Wtedy ujrzałam ten szlaban i twoją budkę. Nie widziałam ciebie. Chciałam się ogrzać i czegoś napić. Drzwi były uchylone, zapukałam, weszłam, nikogo nie było. Usiądę sobie – myślę – i poczekam, nie wiedziałam, że usnę natychmiast. Ciekawe, ale byłam pewna, że to będzie dróżniczka albo jakiś sympatyczny dziadek. Nieźle musiałeś się zdziwić, co?

– Cieszę się, że cię poznałem, że spotkaliśmy się.

– Jesteś fajny facet i nie przejmuj się, że nie wiedziałeś, co odpowiedzieć, kiedy cię spytałam, na czym się znasz. Tak na dobrą sprawę, to ja nie znam się na niczym do końca.

– Mogłabyś tu przenocować, ale tylko do piątej. Mój ojciec zmienia mnie o szóstą, lecz przychodzi wcześniej. Lubi pogadać, zawszejemy razem śniadanie, czasem pijemy kawę.

– Robi się jasno. Lepiej nie kłaść się spać o tej porze. Jeszcze papieroska i w drogę.

– To prawie dwadzieścia kilometrów.

– Nie spiesz mi się.

– Niedaleko stąd jest przystanek autobusowy. Pokażę ci, gdzie. Przed piątą masz pierwszy autobus.

– W takim razie zrób jeszcze herbaty.

Czas uciekał niepostrzeżenie jak ciepło z metalowego kubka. Kończył się program nocny w służbowym radiu na parapiecie okna. Wyszli na szosę, pokazał jej, jak dojść do przystanku.

– Przyjeżdż na festiwal. Znajdziesz mnie na polu namiotowym.

– O kogo mam pytać?

– O mnie.

Patrzył, jak idzie falując strzępiastą spódnicą, równo, lekko, podskakując czasem na jednej nodze jak mała dziewczynka. Odwracała się co kilkanaście metrów i machała mu na pożegnanie za każdym razem inaczej, aż zniknęła we mgle... Jak pociąg wypełniony innym światem. Niechętnie ruszył w stronę budki. Każda następna chwila była mu dobrze znana. Zgiełk ptaków, pianie kogutów, ujadanie psów. Pospieszny do Poznania już miał opóźnienie. W przeciwi-

stwie do ojca, który punktualnie wynurzył się z lasu na zdezelowanym rowerze.

– Szczęść Boże, tato.

– Szczęść Boże, synu. Jak poszło?

– Jak zawsze – skłamał szczęśliwy, że może mieć taką tajemnicę.

– Dzisiaj niedziela, przywiozłem kawę.

– Usypaliście matce z puszki, co?

– Sama dała. Do ciasta. Pewnie wszystko zjadłeś.

– A jak. Dłuży się w nocy człowiekowi, to i je więcej.

Stary rozejrzał się po biurze.

– Taaa – westchnął. – W nocy człowiekowi się dłuży. Wtedy je więc, pije herbatę z kubka i dwóch szklanek, zaczyna palić papierosy... Kto tu był?

– Staszek z Edkiem jechali na ryby. Wstąpili, pogadali, nic wielkiego.

– Chuchnij.

– Co ty, ojciec?

– Chuchnij, mówię.

Stary uspokoił się trochę, ale był niezadowolony z zakłócenia niedzielnego rytuału. Poza tym budkę traktował jak coś więcej niż miejsce pracy. Na domiar złego, pospieszny do Poznania był już opóźniony o ponad pół godziny. Ojciec nie był za to odpowiedzialny w najmniejszym stopniu, zachował jednak przedwojenną dbałość o dobre imię firmy.

– Dziadostwo – mamrotał. – Przed wojną, to kolejarz był ktoś. Niejeden łypał zazdrośnie na mój mundur, a pociąg nie miał prawa się spóźnić. Nie było elektryfikacji, a kolej jeździła lepiej jak dziś. Teraz – machnął ręką – wstydzę się ludziom na oczy pokazać.

– Ty nie masz się czego wstydzić, tata. Wiesz co? Po obiedzie skoczę trochę do miasta.

– A po co?

– A tak, popatrzeć, muzyki trochę posłuchać.

– Na tych cyganów chcesz patrzeć?

– Ty jeździsz na odpusty, ja chcę popatrzeć na festiwal.

– Też prawda, no jedź już, matka czeka.

Przy porannym posiłku siedział markotny i po raz pierwszy przyglądał się szesnastoletniej siostrze jak mężczyzna dziewczynie. Widział czerwoną twarz i czerwone dłonie, mocne piersi, krótkie nogi i szeroki zad. Nie pomaga modna fryzura, wytarte dżinsy i wielkie kolczyki w uszach.

Dziedziczy urodę setek pokoleń kobiet pochylonych nad ziemią, żarciem i praniem. On pewnie wygląda podobnie, ale czy jest się czego wstydzić? Czy w dzisiejszych czasach to się liczy? Ojciec powiada, że czasy i ludzie właściwie się nie zmieniają, a jednak, a może właśnie dlatego, nosi w sobie lęk przed światem, do którego należy festiwalowa dziewczyna.

– Po południu jadę na festiwal – powiedział bardziej do siebie, niż do siostry.

– Ty?

– Ja.

– A kto ty jesteś? Punk, rocker, skinhead, czy alternatywa?

– Nie czytam list przebojów z pism dla małałatów – warknął.

Zachichotała.

– W czym pojedziesz? W niedzielnym garniturze, czy w mundurku?

– Normalnie.

– Normalnie – prychnęła. – Masz dwadzieścia trzy lata, a chodzisz i żyjesz jak stary dziad. W niedzielę garniturek, w dni powszednie mundur kolejarski albo jakiś sweterek i ten twój nieszczęsny służbowy rowerek. Nawet zawodu nie masz jak człowiek, tylko jak stary ramol kręcisz wajchą i machasz chorągiewką. A może przeniesiesz się do miasta i zostaniesz portierem, stróżem nocnym albo bileterem? – wybuchnęła nieprzyjemnym śmiechem.

Nie spodziewał się takiego ataku. Miał łzy w oczach, zaczerwienił się ze wstydu i złości. Grzmotnął pięścią w stół.

– Ty jesteś ale raszpla – musiał jej to powiedzieć – z czerwona mordą, która pasuje tylko do wiejskiej chusty i z dupą szeroką od żarcia pyrów i siedzenia na zydlu przy dojeniu krów.

Siostra zakryła twarz dłońmi i wybiegła z kuchni. Ranili siebie śmiertelnie, zabili w sobie nadzieję na wyjątek od reguły, którym każde z nich po cichu chciało się stać. Wybiegł za nią. Siłą przedarł się przez drzwi, którymi nacierała na brata, na festiwal, na wysmukłe dziewczyny z kolorowych pism i wideoklipów, na fatum ciężące jak zbyt pełne piersi i szerokie pośladki.

– Aniu, uspokój się. Nagadaliśmy sobie w złości, ale to wszystko nieprawda.

– Co nieprawda? To, że jesteś łamaga, czy to, że jestem gruba?

– Nie o to chodzi.

– A o co? Powiesiłbyś sobie moje zdjęcie w pokoju? No, powiedz. A ty? Dlaczego nie miałeś do tej pory żadnej dziewczyny?

– Właśnie poznałem jedną.

– I z nią jedziesz na festiwal?

– Niezupełnie.

– Maniuś, wyjdź, co? Pojedź do kościoła na służbowym rowerku, a mnie nie pocieszaj, dobra?

Już w autobusie ogarnęły go wątpliwości. Czaiły się za każdym zakrętem, wypelzały z kieszeni skórzanej kurtki, którą pożyczył od kolegi z wojska. Kiedy wysiadł na wypełnionym dziwnymi przybyszami rynku, czuł się jak emigrant nie znający języka i obyczajów społeczności, w której chciał się odnaleźć, a tak naprawdę, w której szukał zjawy nocnej realnej jak fusy w musztardówce i kilka niedopałków w nie używanej popielniczce z nadrukiem PKP. Błądził w szpalerach straganów oklejonych krzykliwymi plakatami. Starsi faceci handlowali czym się dało, byle tylko była podobizna gwiazdy pop i parę angielskich wyrazów. Marian przyglądał się pijanym dziewczynom. W pewnym sensie wszystkie były do siebie podobne. Łączył je trudny do określenia grymas twarzy wychodzący gdzieś spomiędzy zmarszczonych brwi, okalający pozbawione wyrazu oczy i wykrzywiający żujące gumę usta. Chłopak w skórzanej kurtce o mozolnie wystrzyżonej głowie poprosił go o ogień.

– Niestety, nie palę.

– Zdarza się – mruknął nieznajomy i odpalił papierosa od przechodzącej obok dziewczyny.

Marian tkwił przy nim jakby czekał na pozwolenie odejścia. Przeszli razem parę metrów i skręcili w przejście między dwoma domami wychodzące na coś w rodzaju skweru, czy zapomnianej części ogrodu. Chłopak wyjął z chlebaka butelkę wina.

– A perszingiem nie pogardzisz, co?

– Nie pogardzę – odparł wbrew sobie.

Zakręcił butelką i pociągnął kilka łyków. Nieznajomy potwórzył zabieg. Jego gulgoczący ciąg był dłuższy i bardziej skuteczny. W butelce zostało niewiele.

– Sam jesteś – patrzył na Mariana życzliwie, jakby chciał w czymś pomóc.

– Szukam pewnej dziewczyny.

– Zdarza się. Jesteś fanem?

– Nie znam się na muzyce.

– Większość tych ludzi się nie zna.

– To po co tu przyjeżdżają?

– Spotkać się.

– Ale po co?

– Jedni myślą, że tworzą jakieś nowe poglądy, wiesz, ideologia, taki kit. Inni myślą, że należą do jakiegoś ruchu, jest sporo fanów, którzy nie znają żadnej innej muzyki, są i tacy, co przyjeżdżają, żeby zrobić zadymę i tak dalej. Właściwie nikt nie wie do końca, co jest grane, a najmniej laski, no i fajnie jest.

– A ty dlaczego tu przyjechałeś?

– Dla jaj.

– Dla jaj?

– Mam wakacje i taką swoją kapelę. Wysłaliśmy kasetę, zakwalifikowali nas, no i heja. Jutro pierwszy koncert. Szkoda tylko, że nie mamy nazwy.

– Mogę coś zaproponować?

– Wal z obu rur.

– Biuro Sieni albo Sień Biura.

– Ty, to jest mocne. Sam wymyśliłeś?

– Niezupełnie.

- Ale takiej kapeli nie ma?
- Nie.
- Chcemy kupić perszinga?
- Pójdę już.
- No racja, przecież szukasz dziewczyny.

Przeciskał się w stronę przystanku. O tej porze nie będzie tłoku. Imprezy dopiero się zaczynały. Czuł się jak ktoś, kto nagle wytrzeźwiał przy którymś tam kuflu piwa i zażenowany opuszcza spelunkę, do której trafił w chwili słabości.

Siostra ucieszyła się, że wrócił wcześniej. Wyszli do ogrodu, usiedli pod jabłónką i w milczeniu witali zmierzch niepotrzebnej niedzieli.

- Marian?
- No?
- Z tą dziewczyną to nawijka?
- Tak.
- Jak tam było?
- Gdzie?
- Na festiwalu.
- Jak na odpuście, tylko inną muzykę grali i inne gówna sprzedawali.
- Po co tam jechałeś?
- Dla jaj.
- Marian?
- Co?
- Naprawdę mam gruby tyłek?

Dni mijały szybko i bez znaczenia jak pociągi, na powitanie których musiał wychodzić. Zmieniały się tylko godziny czuwania i snu. Marian odkrył, że jest istotą złożoną z dwóch nie pasujących do siebie części. Nigdy nie zastanawiał się

dłaczego sumiennie jeździ do pracy ciesząc się na spotkanie ojca parzącego herbatę w surowym, ale swojskim wnętrzu budki dróżnika, a równocześnie każdy przejeżdżający pociąg odrywa z niego odrobinę radości jak wiecheć słomy z zapomnianego stracha na wróble.

Kiedy w następną sobotę wieczorem przyjechał zmienić ojca, zauważył, że stary myje obie musztardówki i kubek. W nieużywanej popielniczce z nadrukiem PKP tkwiły dwa półksiężycy wypalonych do połowy papierosów.

– Co to, ojciec gości podejmował? – spytał, opanowując drżenie głosu.

– Jacy tam goście. Dziadostwo, cholera, cygany. Włóczy się to to, na bilety nie ma, ale śmierdziuchy kopci.

– Dużo ich było?

– Jedno cudo, chyba dziewczucha. Ja tam ich nie odróżniam.

– Czego chciała?

– Cholera wie. Dzień dobry, szczęście Boże, jak się pracuje i takie tam bzdury. Pytała o drogę na Wrocław. Powiedziałem, że jak chce iść, to najpewniej torami.

– Co też ojciec, oni stopem jeżdżą.

– Normalna żebranina.

– Ja też jeździłem stopem.

– To co innego. Byłeś w wojsku. Podrzucić żołnierza to obowiązek.

Nie było sensu sprzeczać się z ojcem. Marian uświadomił sobie, że nagle zaczyna bronić sprawy, której sam nie rozumie i która jeszcze do niedawna była zupełnie bez znaczenia. Uległ fascynacji egzotyką choć przed nią uciekał. W gruncie rzeczy chodziło mu tylko o dziewczynę, ale czemu właśnie

o tę dziewczynę? Gdyby wtedy w nocy odwiedziła go zwykła wiejska dziewczucha pokroju jego siostry, nie rozpamiętywałby jej wizyty godzinami. Nie uznałby tego za wydarzenie.

– Szczęść Boże, synu.

– Cześć tata.

– I nie bądź taki markotny, może jeszcze przyjdzie – stary mrugnął do niego i dosiadł niezłomnego roweru. Czyżby domyślał się czegoś? A może to tylko żart niechcący trafiony?

Dzwonek telefonu, żółta chorągiewka, zgrzyt korby, rozklekotane roгатki. Marian wsłuchał się w ciszę. Jest. Skrada się niczym z wolna podnoszący się tuman, nabiera rozmachu, łaskocze nieruchomość drzew pierwszymi podmuchami osuwających się ścian powietrza.

– Uwaga, nadchodzi tornado – usłyszał za plecami.

Kiedy się odwrócił już biegła do niego z rozpostartymi ramionami. Rzuciła mu się na szyję i przyłgnęła do niego uginając nogi w kolanach. Trwali tak wśród hałaśliwej zamieci dudniących wagonów. Zdawało się, że to stado ciężkich zwierząt cwałuje obok, a oni zamarli w przerażeniu licząc na cud. Cisza przywróciła ich rzeczywistości. Trzymając się za ręce weszli do budynku. Marian zabrał się do parzenia herbaty.

– Przyszłam się pożegnać. To ładnie ze strony pociągu, że chciał nam towarzyszyć.

– Już koniec festiwalu?

– Nie. Wiem, że tam byłeś.

– Skąd?

– Byłam na występie Sieni Biura.

– A jednak – uśmiechnął się. – Dobrze chociaż grali?

– Tak sobie. Znasz ich?

– Co? Nie, to przypadek. Włóczęc się po rynku poznałem jednego z nich.

– Byłeś na polu namiotowym?

– Nie.

– Nie szukałeś mnie?

– Bardzo chciałem cię znaleźć, ale... uciekłem.

Uśmiechnęła się.

– Wiem, to śmieszne. Nie mogłem tam wytrzymać.

– To wcale nie jest śmieszne. Ja też uciekłem.

– Dlaczego?

– Nie podobało mi się. Czuję fałsz jak zwierzę. Wracam do Wrocławia.

– Wiem, ojciec mi mówił.

– Bardzo fajny staruszek, taki... klasyczny.

Napełnił musztardówki herbatą.

– Dzisiaj nie ma ciasta.

– Ale są pierniki – położyła na taborecie dwie paczki.

Marian wpadł w panikę. Czuł, że coś bardzo ważnego wymyka mu się z rąk. Musi zareagować teraz, przełamać w sobie niezaradność sterczącego przed szlabanem dróżnika.

– Co było fałszywego w festiwalu? – trzymał się kurczowo jedyne wspólne tematu.

– Wszystko. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Ja po prostu umiem zwietrzyć fałsz. Zapachu nie można wytłumaczyć, trzeba go czuć, a ja czuję go wszędzie.

– Tutaj też?

– No właśnie. Jediną rzeczą, która zwróciła na ciebie moją uwagę jest to, że nie czuję w tobie fałszu. Uświadomiłam to sobie dopiero wczoraj. Dlatego przyszłam się pożegnać.

– Jak to jest, kiedy nie czujesz fałszu?

– To jest tak jak z tym pędzącym pociągami.

Zarumienił się. Ładnie powiedziane i to jeszcze pod jego adresem. Nie może zepsuć rozmowy jakąś głupawą uwagą. Trzeba brnąć dalej.

– Zostań tu jeszcze – wyrzucił z siebie z ulgą.

– Dlaczego?

– Bo nie czuć tu zapachu fałszu. Ja... też, to znaczy, przy nikim nie czułem się tak fajnie.

– Dziękuję, ale ja nie mam namiotu. Zresztą, twój ojciec...

– Ojciec uprzedza się do ludzi, którzy są inni. To normalne w jego wieku. Mogłabyś zamieszkać w domku na drzewie.

Szeroko otwarte oczy przypominały dwa duże orzechy.

– W domku na drzewie? – powtórzyła zdumiona.

– Tak. Mamy duży sad i kawałek pola. Nie stać nas było na kupno namiotu, a koniecznie chcieliśmy z bratem nocować na dworze, latem oczywiście. Parę lat temu zbudowaliśmy domek, taki szalony, na potężnym orzechu. Kiedy wzięli mnie do woja, brat nocował tam całe lato, bez względu na pogodę. Teraz on jest w wojsku i nikt tam nie zagłada.

– A ty czemu tam nie sypiasz?

– Lubiliśmy z bratem gadać do późna w nocy, nasłuchiwać, gapić się w niebo. Samemu jakoś nijako, no i trzeba rano wstawać do roboty.

– Co będę tam sama robiła?

– Nie będziesz sama – wyduślił z siebie.

Zapaliła papierosa i zamyśliła się. Marian był szczęśliwy, że nie odmówiła od razu, że w ogóle rozważała taką możliwość.

– Chcesz mnie mieć? – spytała znienacka.

Marian oblał się gorącą purpurą. Oczywiście wszystko wypadło niezdarnie i głupio. Nie wiedząc, co począć z rękami sięgnął po papierosa. Dziewczyna ujęła go pod brodę.

– Spójrz mi prosto w oczy.

Siłą woli wytrzymał jej spojrzenie, czując się jak gówniarz przyłapany na wyjadaniu konfitur. Dziewczyna spuściła oczy, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła twarz do jego policzka.

– Jesteś wspaniały – szeptała – pociągi, domek na drzewie, a teraz ten cudowny rumieniec.

Odchyliła się na odległość wyprostowanych ramion. Wydała mu się dużo starsza. W ściągniętych rysach twarzy czaił się smutek. Wyglądała jak ktoś, kto szukał zapomnienia w beztroskiej zabawie i znieruchomiał nagle w połowie tańca otrzeźwiony wspomnieniem.

– Jestem w ciąży – powiedziała suchym jak kurz na polnej drodze głosem.

Marian milczał. Miał w ustach niezapalonego papierosa i zdawało mu się, że słyszy ogłuszający trzask opadających dokoła niewidzialnych szlabanów.

– Z tą wiadomością przyjechałam tutaj. Niepotrzebnie. Prawie wcale nie zwrócił na mnie uwagi. Zbyt był pochłonięty sobą i swoją pozał się Boże kapelą. Chcę złapać pierwszy autobus. Po szóstej mam pociąg do Wrocławia.

Patrzył, jak znika z jego życia. Powoli, ciężko, z kolorowym workiem przerzuconym przez ramię. Nie odwróciła się ani razu. Chciał ją zawołać, ale nie znał imienia. Wykonał ruch jakby miał puścić się biegiem. Dzwonek telefonu przykuł go do miejsca. Tego dnia pośpieszny do Poznania jechał punktualnie.

MAREK TATAR

Łękawica, wyróżnienie

Nirwana

Piąta od krawężnika, dokładnie na wysokości kratki ściekowej, ta z trochę wytartym wierzchem i nadłamanym rogiem to ja – brukowa kostka.

Nie jakaś tam, ot przeciętna, nieciekawa, nudna kostka, jakimi wyłożona jest cała uliczka. Nie. Jestem kostką... Nie, nie „myślącą”, „świadomą” – to chyba lepsze słowo.

Dlaczego akurat we mnie owa świadomość zrodziła się, a zrodziwszy rozwinęła się dość przecież bujnie? Doprawdy – nie wiem. Czasem (co zdarza się nader rzadko), gdy zastanawiam się nad tym problemem, gdy penetruję te obszary mojej świadomości, które sporadycznie odwiedzane zaciemniły się i poszarzały, w mą dawną i dawniejszą historię, wyczuwam, że stoję ledwo na początku długiego, mrocznego i wilgotnego tunelu, który nie wiedzieć dokąd prowadzi.

Bardzo nie lubię tego uczucia, staram się więc nie zapuszczać zbytnio w przeszłość. Tajemnica nie zostaje przeto rozwiązana.

Jednakże to, że nie usiłuję dotrzeć do źródła i przyczyn mego rozumowania, nie znaczy, że nie snuję na ten temat najfantastyczniejszych bywa, a czasem i zupełnie prawdopodobnych hipotez. Wszystkie one jednak w jakiś tajemniczy sposób łączą się z ludźmi. Te arcyciekawe istoty mają ze mną na pewno wiele wspólnego. Sam fakt, że potrafię je nazwać daje wiele do myślenia. Poza tym, jak zaobserwowałem, w wielu sytuacjach zachowują się bardzo podobnie do mojej hipotetycznej, całkowicie mobilnej osoby. Ten przechodząc kopnie w krawężnik, tamten stąpnie akurat na czwartą kostkę z lewej, tylko dlatego, że jest ona trochę większa od pozostałych... Tak, ta nader interesująca zbieżność uderza mnie co chwilę. Obserwuję więc bacznie każdego przechodnia. Doskonale wyczuwam to leciutkie drżenie na długo przed i na długo po jego przejściu.

Ludzie są tu zresztą dla mnie jedyną rozrywką. Gdy długo nie nadchodzą, nudzę się straszliwie. Wszystkie moje sąsiadki – bliższe, dalsze, a nawet te całkiem dalekie – są zupełnie bezmyślne. Potrafią cały dzień przeciągać się w ciepłe, nie formułując żadnej zgoła myśli. Nie cierpię ich. Staram się nawet nie myśleć o nich – inaczej do reszty obmierzłoby mi to ich chrześzczenie w południowym słońcu, te pozbawione sensu wstrząsy, które potem towarzyszą ich stygnięciu.

Jestem więc osamotniona. Całymi nocami muszę, by zabić czas, wymyślać najróżniejsze bzdury albo przeprowadzać najnudniejsze dowody dawno już przyjętych prawd. Prawdę mówiąc, całe to rozumkowanie przejadło się mi ze szczętem.

Nie absorbuje mnie zupełnie. Wciąż liczę więc czas do rana – do zjawienia się ludzi. Radosna ta pora przybliżyła się jednak niemiłosiernie wolno. Bywa, że zdaje się mi, jakoby miała nigdy zgoła nie nadejść. Przychodzi jednak niezawodnie wraz z owym charakterystycznym, rytmicznym wstrząsem, który nieodmiennie towarzyszy człowiekowi. Wstrząs ów nasila się i już po chwili poznaję stąpającego. To duży i ciężki osobnik, zdecydowanie stawiający stopy. Co rano idzie tędy, by potem wracać późnym popołudniem. Wtedy kroczy ciszej, wolniej, jakby z wysiłkiem. Jestem do niego szalenie przywiązana. Przez całą noc na jego właśnie kroki czekam. To one są dla mnie symbolem porządku, ładu świata, który pozostał, który nie pierzchł przestraszony mrokiem.

Na następnego człowieka przychodzi dość długo czekać. Jego zbliżanie rozpoznaję zwykle nie tyle po stapaniu, ile po miarowym szmerze, jaki mu towarzyszy. On też jest tu co rano. Przemierza całą uliczkę i czymś bliżej nieokreślonym przesuwą po wszystkich kostkach. Ja też dostaję swoją, porcję. Średnio trzy razy przeciągnie po mnie tym szeleszczącym przedmiotem. Bardzo to lubię.

O, właśnie się zbliży. Chociaż... nie, to nie on. Słysząc jedynie stapania. Stapania ostre, nerwowe, obce. Coraz mocniej. Bliżej. Głośniej. Głośniej! Głośniej! Wstrząsy sięgają szczytu. Dziesiątki twardych butów wałęsają się na mnie, nie wiedząc czemu tak mocno i równo, równo, równo. Nie, to nie dziesiątki stóp, to jedna potworna i straszliwa noga podnosi się i uderza we mnie w rytmie niby chodu, a przecież czegoś stokroć od chodu przerażającego bardziej i absurdalniej. Równo! Równo! Równo!...

Przeszli.

Długo nie mogłam wyjść z szoku. Niewątpliwie byli to ludzie. Szli – ale po co szli? Dlaczego tak dziwnie się zachowywali? Czy wróca?

Wrócili. Jeszcze nieraz. Co parę godzin przewalali się nade mną, budząc jednakowy, irracjonalny, choć coraz silniejszy lęk.

Dziwna rzecz. Wraz z pojawieniem się tych hałaśliwych ludzi w twardych butach, z ulicy znikali wszyscy moi znajomi. Raz tylko pojawił się ten, który pierwszy chadzał rano ulicą. Ledwo go poznałam – kroczył niespokojnie i nerwowo. Potem, gdy był już dość daleko, zawrócił i zaczął biec. Ziemia jakoś dziwnie się zatrzęsła, człowiek ciężko upadł tuż koło mnie. Poczułam dziwne ciepło. Ciekł mi po wierzchu dziwny deszcz. Dziwny – bo właśnie ciepły i gęsty.

Więcej nie spotkałam tego człowieka.

*

Od tego dziwnego zdarzenia z dawnym moim znajomym, nic właściwie się nie zmieniło. Ciągłe te równe kroki przerywające okresy, gdy po ulicy przemykali niepewnie stawiający stopy, obcy ludzie. Zrobiło się jakoś złowrogo. Nawet te idiotki – sąsiednie kostki nie chrzęszczą piaskiem na złączeniach.

Zwłaszcza dziś od rana dziwny ten stan wystąpił ze szczególnym natężeniem. Nie wiedzieć czemu, mimo przedpołudniowej pory, przemarszów jeszcze nie było. Nawet tych pojedynczych – jak ich nazwałam – „cichostępów” pod murami jakoś nie słychać. W ogóle mało słychać. A ściślej – nie słychać „nic”. Cisza...

Ktoś przebiegł przez ulicę na następnej przecznicy... Tam, dalej przebiegł pies... Coś upadło na bruk.

Te wszystkie szmery i szmerki nie zakłóciły owego niczego, które wylało się na miasto i trwa teraz uparcie nieruchomą i gęstą pokrywą, nie poddającą się nawet lekkim podmuchom wiatru, błędzącym po ulicach.

Niechże wreszcie coś się stanie! Nie wytrzymam tego dłużej! Niechże coś się stanie!

Dlaczego nie chce się stać?

Nic.

Nic.

Jakby coś?...

Nie...

A jednak?

Coś jakby leciutko wibrowało. To chyba w powietrzu. Tak, na pewno. Wibracja wzrasta z olbrzymią szybkością. Coraz...

Wstrząs. Gorąco. Czuję jak zatracą się mój dawny kształt. Jednocześnie z topnieniem przypominam sobie całą swą historię. Jest w niej również miejsce dla dziwnych, dwunogich małąp, w których jaskini byłam częścią kamienia, na którym jadały.

Chwilę potem spływam w dół uliczki, mieszając się z płynnym bezmyśleniem...

To koniec.

PIOTR WYROŻEMSKI

Warszawa, wyróżnienie

Pieskie opowiadania

* * *

Było dwóch przyjaciół. Mieli oni psa. Pewnego razu pies pogryzł jednego z przyjaciół tak, że ten obraził się na psa. Drugi przyjaciel obraził się na pierwszego za to, że ten obraził się na psa. A pies wcale się na nich nie gniewał, tylko poprosił o następną miskę jedzenia.

* * *

Były dwa psy. Miały one swego pana. Pewnego razu pan uderzył jednego z nich. Pies ten obraził się na pana. Drugi pies obraził się na psa pierwszego za to, że pies ten obraził się na pana. Ale pan nic sobie z psów nie robił i uderzył drugiego psa.

* * *

Było dwóch myślicieli. Mieli oni psa. Pewnego razu pies pogryzł jednego z nich. Drugi myśliciel pomyślał o pierwszym: jeżeli dał się ugryźć, to znaczy, że na to zasłużył. Pies nic nie myślał, tylko polizał łapę pierwszego myśliciela.

* * *

Były dwa psy myślące. Miały one swego pana. Pewnego razu pan uderzył jednego z nich. Drugi pies pomyślał: jeżeli pan go uderzył, to on zasłużył na to. A pan nic nie mówiąc uderzył drugiego psa.

Opowieść prawie prawdziwa

Stałem przed kioskiem „Ruchu” w samym centrum, gdy ktoś klepnął mnie z tyłu. Stary sie masz. Mam się kiepsko, bo pieniędzy mało, a ty? O, przepraszam, pomyliłem pokoje. Milicjant oddalił się szybkim krokiem.

Zabawa w Reymonta

Stasiek wszedł do izby. Jest Zośka? Nima – odparł mrukliwie Bogracz. A gdzie, do diaska, poszła? Nie wim, może gzi sie z Kubą. Ciężkie to były czasy dla Bograczów. Ziemia była twarda, sucha, deszczu było mało. Koń Żyr był chudy, a krowa dawała bardzo mało mleka. Tymczasem Zośka oddawała się Kubie. Kuba, a jak Stasiek się dowie?

Kto pachnie? – opowiadanie

Nie perfumuj się tak często – mówi mąż do żony – bo Kowalski już cały śmierdzi twoimi perfumami.

Skrzyżowanie

Dochodziłem już do skrzyżowania gatunku żeńsko-męskiego, gdy zza drzwi dobiegł do mych uszu dźwięk: jakby ktoś upuścił 100 zł na podłogę. Poczekaj, kochanie – rzekłem. Pocałowała mnie – poczekaj – to do mnie. Z natury zazdrosny wzdrygnąłem się. Dwóch, proszę, niech pan wejdzie. Żona tylko w męskich majtkach (mamy kłopoty natury finansowej) – zdjął je jednym ruchem. Proszę, to gość z prasy, Fryderyku. Trafił w dziesiątkę. No...

Bruner i Hans

Słuchaj Hans, powiedz prawdę.
Powiem ci haj Hitla, Bruner.
Hans, przecież ja wiem wszystko.
Napijesz się, Bruner?
Wróćmy do tematu, Hans.
Powiedzmy, że masz rację, Bruner.
Hans, twoje zdrowie.

Chłopi (powieść)

Wszedł chłop na pole i zaorał pole.

Van Gogh

Wincent siedział za stołem, naprzeciwko siedział Paul, obok Berta, a po lewej Modigliani. Toczyła się rozmowa. – Wiesz, Paul – zagadnął Wincent, bardzo cie lubię. Ach, Wincent, roześmiała się Berta, Paul jest genialny. Paul zarumienił się. Przesadzacie, kochani, jestem zwykłym malarzem. No, wtrącił Modigliani, twoje Tahitanki są fenomenalnie kolorowe. Paul poczuł się szczęśliwy. Dobrze mu było w tej kompanii. Modigliani nalał wódki do swojego kieliszka. Wasze zdrowie, malarze. Modigliani, ta wódka cię wykończy. Śmierć nas wszystkich wykończy, mruknął przygarbiony Modigliani. Wincent wyjął z kieszeni karty, ja z Paulem, Berta z Modiglianem. Oczywiście. Potoczyła się powolna gra. Przy czwartym rozdaniu Modigliani już miał tak w czubie, że nie rozróżniał kart. Oj, zdaje się, że będziemy grali z „dziadkiem”. I wtem wszedł do pokoju Pissarro. Kto o mnie mówi. – Ach, Pissarro – krzyknęła Berta, zastęp Modiglianego, bo ululał się kompletnie. Modigliani wstał i położył się na łóżku. Pissarro usiadł w jego miejsce. I co Wincent, coś taki smutny. Ach, zdradziła mnie Amy. Przecież to i tak prostytutka.

1989



WŁODZIMIERZ JĘDRZEJCZAK
Cerekwica, II nagroda

Trochę nadziei

Kończył właśnie poranną herbatę, gdy odezwał się dzwonek u drzwi. Spojrzał na zegarek, skrzywił się i niechętnie wstał z fotela, Otworzył drzwi.

– Cześć Zbyszek...

– Cześć – odpowiedział machinalnie, maskując zakłopotanie. Kto to jest, na Boga?! Twarz jakby znajoma, ale gdzie go wsadzić? Jezus Maria! Przecież to Jarek!

Stał przed nim w przybrudzonej panterce, czarnej kominiarce na głowie i wytartych zielonych sztruksowych spodniach, wpuszczonych w zabłocone wojskowo buty. Uśmiechał się niepewnie przestępując z nogi na nogę. Lewą rękę zaciskał na pasku przerzuconej przez ramię zniszczonej brezentowej torby, prawą trzymał w kieszeni kurtki.

– Nie poznajesz mnie?

– Co ty?! Jarek! Po prostu zamurowało mnie. Wchodź!

Padli sobie w objęcia, ucałowali z dubeltówki i poklepując po plecach rozluźnieni i roześmiani weszli do środka.

– Tutaj – Zbyszek wskazał drzwi na lewo. – Rozgość się, a ja zaparzę kawę.

Jarek uchylił drzwi do pokoju i zatrzymał się niezdecydowany. Jasna sosnowa ława, dwa proste fotele, kanapa z rozgrzebaną pościelą, obok na podłodze radiomagnetofon „Wilga” i porozrzucane kasety, na ścianach kilka czarno-białych grafik... To było wszystko, nie licząc wciśniętej w kąt zwykłej dwudrzwiowej szafy.

– Ładuj śmiało! – dobiegł z kuchni głos Zbyszka. – Nastawię wodę i zaraz jestem!

Jarek wszedł do środka i usiadł przy ławie. Rozpiął kurtkę, zdjął czapkę, przeczesał palcami włosy i zapalił „Popularnego”. Czuł rozchodzące się po całym ciele ciepło, rozlewniawające, senne ciepło.

– Pusto tutaj, co? – w drzwiach pojawił się Zbyszek. – Kończę właśnie przeprowadzkę, drugi pokój jest już zupełnie pusty – usiadł na drugim fotelu. – Żona z dziećmi jest od wczoraj na nowym mieszkanku, na Buczka. Wiesz, to nowe osiedle koło dworca im. Szarych Szeregów. Jeszcze zostało parę rzeczy do przewiezienia i koniec!

– Zbyszek, nie masz trochę wódki? – przerwał mu cicho Jarek. – Mam cholernego kaca i ledwie żyję! – próbował się uśmiechnąć.

Dopiero teraz zdjął kurtkę i przewiesił przez oparcie fotela, Siedział zgarbiony, w szarym porozciągany swetrze, a jego zmęczoną twarz raz po raz wykrzywiały jakieś skurcze.

– Nie... Nie mam – z wahaniem odparł Zbyszek. – Może byś się trochę przespał? – zaproponował.

– Ja wiem...

– Kładź się.

Zbyszek zgarnął pościel w jeden wielki kłęb i cisnął w kątek pokoju. Wyjął koc i małą poduszkę podał Jarkowi.

– Obudź mnie za dwie, trzy godziny... Dobra?

– W porządku. Nie martw się, śpij, potem pogadamy. No to na razie...

– Na razie...

Zbyszek przeszedł do kuchni, zaparzył herbatę i usiadł na taborecie przy stojącym pod oknem, niewielkim stole. Zapalił papierosa i sięgnął po leżącą na parapecie książkę. Próbował czytać, ale po chwili zrezygnował. Był trochę głodny, lecz z jedzeniem postanowił poczekać na Jarka. Zresztą miał tylko mały kawałek chleba i serek homogenizowany. – Skoczmy gdzieś na miasto – postanowił. – A może pójde i coś kupię? – zastanawiał się. Tak chyba będzie lepiej...

Ciągle miał przed oczami trzęsącego się Jarka. Boże, co się z nim stało! Podszedł do drzwi pokoju, chwilę nasłuchiwał, potem cicho je uchylił. Jarek spał. Skulony na lewym boku oddychał ciężko i chrapliwie. Jego twarz, cała w czerwonych plamach, złana była potem. Zamknął drzwi i wrócił do kuchni.

Jarka znał ponad piętnaście lat. Zetknęli się w czasie studiów na politechnice. Przez pięć lat mieszkali w obskurnym akademiku „Olimp” przy placu Dzierżyńskiego, tradycyjnie okupując pokój numer 206. Zmieniali się współlokatorzy, sąsiedzi, ale oni trzymali się razem. Czytali Borgesa, Ginsberga, Vonneguta, słuchali Cohena i Dylana... Po egzaminach,

niezależnie od wyniku, robili pranie mózgu hektolitrami piwa i najtańszego wina. Zarywali nocie dyskutując o filozofii konfucjańskiej, hinduizmie, buddyzmie. A rano na piwo, by przepłukać gardło. Wreszcie praca dyplomowa, ostatnia popijawa w „Staromiejskiej” i drogi ich się rozeszły. Magister inżynier mechanik Zbigniew Kowalski trafił na rok do wojska, dzielnie kończąc SOR w Olsztynie, a magister inżynier mechanik Jarosław Pobok podjął pracę w swoim rodzinnym mieście, Trzebiatowie. Potem parę listów, kilka okolicznościowych kartek i wszystko się urwało. Dopiero dzisiaj...

Zbyszek otworzył serek, skroił chleb, posmarował masłem roślinnym i zjadł spóźnione śniadanie, Dopił herbatę, pozmywał i paląc papierosa planował dalszą część dnia. Najważniejsze, żeby coś kupić do jedzenia. Może też parę piw? Nie, lepiej nie. Potem jak Jarek wstanie, zjemy i pogadamy jak czekista z czekistą. Swoją drogą fatalnie wygląda, coś z nim nie tak...

Ubrał się, przeliczył pieniądze i wyszedł. Chwilę medytował zamykać drzwi – nie zamykać, w końcu przekręcił klucz w zamku i schował do kieszeni kurtki. Prawie zbiegł po schodach, jeszcze raz przeglądając w myślach listę zakupów.

Wrócił po godzinie. Kupił chleb, pół kostki masła, dwie konserwy rybne (w oleju i pomidorach), słoik fasolki po bretońsku i dziesięć deko żółtego sera.

Jarek jeszcze spał. Wyglądał o wiele lepiej. Z jego twarzy zniknęły czerwone plamy, oddychał równo i spokojnie, leżał rozluźniony, bez śladów zmęczenia.

Też się chyba trochę zdrzemnął – postanowił Zbyszek. Z pawlacza w przedpokoju wyjął śpiwór i przeszedł do pokoju obok. Położył się wprost na podłodze. Wkrótce zasnął.

Obudził się po dwóch godzinach. Z pokoju gdzie spał Jarek dobiegała muzyka, a więc też był już na nogach. Przeszedł do łazienki, umył twarz i zęby, a po krótkim wahaniu także głowę, nastawił wodę na herbatę i zapukał do drzwi pokoju, gdzie spał Jarek.

– Wejdz, wejdz! – dobiegł go głos przyjaciela.

– Wypałeś się? – wchodząc spytał Zbyszek.

– Tak. Dziękuję.

Jarek siedział przy stole i coś pisał w notatniku, który teraz zamknął i schował do torby.

– Chodź, zjemy coś – Zbyszek wskazał głową kuchnię.

– Mam fasolkę po bretońsku, a na kolację konserwy i trochę żółtego sera. Może być? Wiesz jak to jest w takim bałaganie.

– Jasne. Bardzo lubię fasolkę – uśmiechnął się Jarek i wstał.

Przeszli do kuchni. Zbyszek odgrzał fasolkę i zaparzył herbatę. Jedli w milczeniu, unikając swojego wzroku. Stopniowo rozluźniali się i zaczęli wspominać, próbując wskrzesić tamten, sprzed piętnastu lat, czas...

Obydwaj jednak czuli swoją obcość i tam, w tamtym czasie, i tutaj, teraz. Jakby oglądali siebie w krzywym zwierciadle, zmieniającym wszystko i wszystkich, wykrzywiającym i ten, i tamten czas.

– Co się z tobą działo przez te lata? – już przy herbacie spytał Zbyszek. – Opowiadaj.

– Właściwie nie ma o czym mówić... Wszystko takie głupie i banalne – Jarek spuścił głowę i uciekł spojrzeniem w stronę okna. – Po prostu mi nie wyszło. Przegrałem i szlus! Wiesz przecież jak wyglądam, a to mój cały majątek – wskazał torbę.

– Dalej mieszkasz w Trzebiatowie?

– Nie... – zawahał się. – Już nie. Właściwie to nie mam stałego adresu.

– Piszesz jeszcze?

– Kiedy? – Jarek skrzywił się i wzruszył ramionami. – Nie jestem Grochowiak, żeby pisać na kacu, a zdrowy jestem rzadko. I tak wtedy nic z tego, bo cały się trzęsę. Widziałeś przecież... Zresztą nie mam już nic nikomu do powiedzenia. Skończyło się. Było, minęło. Ten mój jedyny tomik można o kant dupy potłuc! Komu to potrzebne?

Milczeli przez dłuższą chwilę, aż wreszcie Zbyszek, by zrobić cokolwiek, zaczął sprzątać ze stołu. Włożył talerze do zlewozmywaka i włączył gaz.

– Zrobię dolewkę – odezwał się sztucznie ożywionym głosem.

– Nie masz kawy?

– Nie... Skończyła mi się. Jak chcesz to wyskoczę i kupię.

– Daj spokój. Może być herbata. A co u ciebie?

– Nic ciekawego. Zwykła, normalna egzystencja od pierwszego do pierwszego, w układzie 2 + 2 z dochodzącą teściową.

– Gdzie pracujesz?

– Tu, niedaleko, w „Technomecie”. Jestem tam technologiem od urządzeń dozorowych.

– Ty w pracy od – do? – Jarek z niedowierzaniem pokręcił głową. – Wytrzymujesz ten młyn?

– Przyzwyczailem się, a zresztą coś robić trzeba. Muszę przecież dorzucić te parę groszy do wspólnej kasy. Inaczej byłoby ciężko.

– Ela też pracuje?

– Jest kierowniczką przedszkola na tym nowym osiedlu. Dzieci na tym korzystają, a i ona lubi taką pracę. Lubi do-
wodzić, decydować, być ponad... – Zbyszek nieco posmut-
niał. – Czasem te metody przenosi do domu i jest trochę
zgrzytów, ale jakoś w końcu się układa... – urwał.

– Ja już to mam za sobą...

– Jak to?! Byłeś żonaty?! – prawie krzyknął zdziwiony
Zbyszek.

– Tak. Prawie sześć lat... – smutno uśmiechnął się Jarek.

– Mam dwójkę dzieci. Romek ma teraz pięć lat, a Agnieszka
trzy.

– Rozwiodłeś się?

– Oficjalnie nie, ale żyję w separacji. Pewnego dnia wysze-
dłem z domu i już nie wróciłem.

– O co poszło?

– Właściwie nie było żadnego większego przegięcia...
To się we mnie nawarstwiało od dawna. Byłem zupełnie wy-
kończony nerwowo, normalnie beczka prochu. Wystarczyła
byle iskra...

– No, ale przecież nikt się nie żeni, ani nie odchodzi, ot,
tak sobie. To za poważne sprawy, by się nimi bawić, pró-
bować, kombinować na zasadzie jakoś to będzie... A o dzie-
ciach pomyślałeś? – denerwował się Zbyszek. – To nie krze-
sło, które można odstawić do kąta! Co one winne?!

– Daj spokój. Nie jestem takim zupełnym skurwysynem.
Naprawdę nie wiem, co dla nich lepsze, ze mną, czy beze
mnie... Z jednej strony obowiązek, a z drugiej bezsilność, żal
i rozczarowanie. Może byłem po prostu złym ojcem, ale na ich
wychowanie właściwie nie miałem wpływu. Z czasem coraz
bardziej mnie lekcewały, bo wyroczną we wszystkich

sprawach były żona i teściowa. Mamusia, babunia i ojciec, tak się u mnie mówiło... – zamyslił się. – I te ciągle kłótnie, a one na to patrzyły...

– Nie mogłeś iść na ustępstwa? Ja tak zrobiłem i chwaleę sobie. Przecież wspólne życie nie może być walką o swoje racje! To nie rywalizacja o czyjaś nad kimś przewagę, dominację, panowanie. Ktoś musi zrezygnować ze swoich ambicji, ustąpić...

– Kto?

– Po prostu mądrzejszy. I racje nie mają z tym nic wspólnego.

– Nie poznaję cię, Zbyszek. Przecież zawsze byłeś wojownikiem, a nie kurwą – Jarek ze zdziwieniem i niedowierzaniem spoglądał na przyjaciela. – Walczyliśmy kiedyś razem... Pamiętasz jeszcze? Szczerłość, prawda, bezkompromisowość, uczciwość wobec siebie i innych... Co z tym teraz?

– Pamiętam... – cicho odpowiedział Zbyszek. – Z drugiej jednak strony tylko krowa, podobno, nie zmienia poglądów – próbował zażartować. – Myślę, że właśnie rezygnacja ze swoich pragnień jest podstawą spokoju. A chyba to przede wszystkim w życiu chodzi – dodał po chwili. – Nic więcej przecież nie trzeba...

– Jednym słowem wolność niewolnika, tak?

– Dlaczego od razu tak ostro? Po prostu kompromis między ja – ty, moje – twoje, mozolna budowa słowa – nasze.

– Wierzysz w to, co mówisz? Wierzysz, że jest to możliwe? Że jest to wspólne budowanie, a nie twoja destrukcja, słabość, bezsilność, po prostu ustępowanie z pola?

– Wierzę – spokojnie potwierdził Zbyszek.

– A ja nie – odparował Jarek. – Każda rezygnacja pociąga za sobą następną, taka jest prawidłowość. Raz ustąpiłeś, będziesz ustępować zawsze i będzie to poczytane za słabość, a nie dobrą wolę. Nic nie zyskasz, a wszystko stracisz. Odbiorą ci. Kęs po kęsie, kawałek po kawałku, nawet nie zauważysz, kiedy!

– Nie jest chyba tak źle. Czasem się udaje. Mnie się w każdym razie udało. Można przecież uwierzyć drugiemu człowiekowi, porozumieć się z nim, zbudować jakiś most. W rodzinie to wręcz niezbędne. Wzajemne zrozumienie, tolerancja i ograniczenie własnych potrzeb na rzecz wspólnego dobra. Można utkać taki materiał. Trudne to, ale możliwe.

– Czekać, czekać! Teoria sobie, a praktyka sobie! – Jarek machnął ręką. – Nie na wszystko przecież można się zgodzić. To po prostu zdrada. Siebie, swoich ideałów, wyobrażeń...

– Właśnie o to chodzi, by tego nie odczuwać w ten sposób. Trzeba siebie samego przekonać, że tak trzeba.

– I kiedyś obudzisz się z ręką w nocniku! – ironicznie roześmiał się Jarek. – Zaczyna się zwykle niewinnie... Nie noś tej kurtki, koszuli, spodni, idź do fryzjera, zgol brodę... Wreszcie wyglądasz jak człowiek! Potem mała tresura. Przynieś, wynieś, pozamiataj... Pewnego dnia będziesz już wiedział, że nic nie znaczysz. Rozmowy ograniczą się do poleceń i wtycznych, lub wymówek typu wciąż czytasz, a dywan trzeba wyprać, co komu z twojego pisania, z tego chleba nie ma, poeta, tylko głowa nie ta... – Jarek nerwowo zaciągnął się papierosem. – I co wtedy z twoim porozumieniem i tolerancją? Dalej trzeba rezygnować?

– To u ciebie było aż tak źle? – cicho spytał Zbyszek.

– Jeszcze gorzej. Już rok po ślubie dowiedziałem się, że jestem cholernym egoistą, idiotą, debilem, że śmierdzą mi nogi, że w ogóle jestem wstrętny w myślach, mowie i uczynkach. Gdy spytałem moją ślubną, dlaczego w takim razie wychodziła za mnie, skoro jestem takim zerem, usłyszałem – bo myślałam, że się zmienisz... Wtedy coś we mnie pękło. Wyszło na to, że powinienem być kimś innym, a może prościej mówiąc, może ktoś inny powinien być na moim miejscu. Jeszcze miałem złudzenia, ale szybko zostałem sprowadzony na ziemię. W żadnej sprawie moje zdanie nie miało znaczenia, czułem się jak śmieć, który odgarnia się z obrzydzeniem na bok...

– Może byłeś za mało elastyczny, nie czułeś jej potrzeb?
– spytał zapalając papierosa Zbyszek,

– Chyba czułem – Jarek wzruszył ramionami. – Jednak cokolwiek robiłem, by było lepiej, rozbijało się to o jakiś mur, na zasadzie – oczekiwałam czegoś innego, ty nic nigdy nie potrafisz dobrze zrobić, nawet najprostszej rzeczy! Ma być tak jak ja chcę, a jak ci się nie podoba, to won! Starłem się sprostać wymaganiom, ale one ciągle rosły i zawsze było nie tak...

– Nie wierzę, że byłeś tak zupełnie bez winy – przerwał mu Zbyszek. – Prawda zwykle leży pośrodku – zauważył sceptycznie.

– Na pewno, zgadzam się, nawet całą winę mogę wziąć na siebie, tylko jest małe ale. Bo jeżeli jestem takim gównem, że tylko splunąć, to po co w ogóle jestem? Czy nie lepiej założyć bardzo ciasny krawat albo nałykać się tabletek?

– Przechodzisz ze skrajności w skrajność. Tak nie można – uspokajał go Zbyszek. – Przecież życie to naczelną wartość. Kto wie, czy jest coś jeszcze...

– Czy to ważne? – przerwał mu Jarek. – Jeśli coś jest, to nie będzie gorzej jak tutaj, a jak nie ma, to po cholere się męczyć?

– Zawsze jest po co. Zawsze ktoś może potrzebować naszej pomocy.

– Ja już nic nikomu nie potrafię dać, a i nic od nikogo nie oczekuję...

– Człowiek nie może być sam...

– Może. Byle mu inni nie przeszkadzali. Zbyt późno to zrozumiałem.

– Chciałeś być sam?

– Nie chciałem, ale wiedziałem, że w końcu muszę albo się przekręcić. To pęknięcie tkwiło we mnie, rozrastało się i w rezultacie wylądowałem w wariatkowie – Jarek spuścił głowę.

– Gdzie?!

– W wariatkowie – spokojnie potwierdził Jarek unosząc głowę. – Konkretnie w „Dziekance”, w Gnieźnie. Siedziałem tam prawie pół roku.

– Kiedy to było? – niepewnie spytał Zbyszek.

– Dwa lata temu. Jak wróciłem było trochę lepiej, ale tylko przez parę tygodni. Potem wszystko wróciło do normy. Znow nie mogłem się zmieścić w tych nie moich ramkach i słuchając ciągłych pretensji, wyrzutów, a nawet obelg duetu żona – teściowa, odpuściłem zupełnie. Przestałem liczyć na cokolwiek, że w ogóle coś jest przede mną... Dosedłem do zupełnej wewnętrznej pustki, do ostatniego ziarenka dumy i zacząłem się bronić. I wtedy nastąpiła separacja od łoża, no bo nie dla psa kielbasa. Byłem już spokojny, choć awantury nasilały się. Powód? Bardzo pro-

zaiczny. Po prostu przestałem się starać. Sprzątałem tylko rzeczy dzieci, żony zostawiając tak, jak łaskawie je pozostawiła, czyli porozrzucane po całym pokoju, robiłem tylko to, co było niezbędne. Zacząłem unikać towarzystwa żony, coraz bardziej się oddalałem. Patrzyłem, jak w każdej wolnej chwili stawia pasjansa, jak kładzie się na kanapie i niby ogląda telewizję, a za chwilę chrapie jak wozak, z otwartymi ustami, z których spływa strużka śliny... Wychodziłem wtedy do drugiego pokoju i coś czytając czekałem na koniec programu. Budzona piskiem niewyłączonego telewizora szła się kąpać, defilując w gaciach i drapiąc się jak małpa, a potem z wielkimi pretensjami, że nie zrobiłem jej łóżka trzaskała drzwiami. W tym czasie wyprowadziła się teściowa, ale to nic nie zmieniło, a nawet wprost przeciwnie. Ciągle teraz słyszałem, że wypędziłem ją z domu... – urwał i zamyślił się.

– Tak mówisz, jakby nigdy nic was nie łączyło – przerwał milczenie Zbyszek.

– Chyba nie łączyło... A jeżeli już, to niewiele – ocknął się Jarek. – Tobie się dobrze układa?

– Tak. Nie mogę narzekać. Żyjemy w miarę spokojnie i szczęśliwie, dzieci zdrowo rosną i tak powolutku pchamy wspólnie ten wózek.

– Tak... Zazdroszczę ci. Domu, rodziny, spokoju... Ja w ostatnim okresie nawet życzeń imieninowych nie otrzymywałem – Jarek zwiesił głowę. – Wiesz, cholernie się bałem. Bałem się, że kiedyś tak ją trzasnę, że nie wstanie. Musiałem odejść albo przywitać się z gąską po tamtej stronie płotu, jak mówił pewien poeta. Już kiedyś próbowałem wyjechać, ale zawsze ulegałem prośbom i argumentom typu: dzieci muszą mieć

ojca. I wracałem. Byłem potrzebny jako instytucja, na zewnątrz, na pokaz... Dopiero później to zrozumiałem.

– Nie tęsknisz za dziećmi?

– Staram się o nich nie myśleć, bo czuję, że zupełnie oszaleję. Nigdy w życiu bym nie pomyślał, że zostawię własne dzieci... Jak ja im spojrzę w oczy?

– Będziesz im musiał wszystko wytłumaczyć, gdy dorosną, gdy potrafią zrozumieć. Może ci wybaczą... Widujesz je?

– Nie... Żona nie pozwala – w oczach Jarka pokazały się łzy. – Naprawdę nie masz nic do picia?

– Nie...

– Szkoda...

Siedzieli w milczeniu, zatopieni we własnych myślach. Gdzieś na korytarzu trzasnęły głośno drzwi. Zbyszek zerknął na zegarek. Była już prawie szesnasta, powoli zmierchało. Zapalił światło, wstawił wodę i usiadł przy stole.

– Dawno odszedłeś? – spytał po chwili.

– Rok temu...

– Jak sobie radzisz?

– Ciężko jest... Jeżdżę po znajomych, parę dni posiedzę i dalej w drogę... Śpię na dworcach, po piwnicach, strychach, gdzie się da – głos mu się załamał. – Pieniądzy mam tyle co nic – kontynuował po chwili. – Jestem na wariackiej rencie i prawie połowa idzie na alimenty. To co mi zostanie przecieka przez palce nie wiadomo jak. Zresztą przy tych cenach trudno w ogóle jakoś rozsądnie gospodarować...

– Ostro pijesz?

– Chyba nawet zbyt ostro. Bułka na dwa, pół litra na raz, jak mówią w Poznańskim – skrzywił się w półuśmiechu.

– Wiem, że jestem na najlepszej drodze do pełnego upodle-

nia... Świętem dla mnie jest jak się mogę przespać w łóżku, a przedtem wziąć kąpiel. Czasem myślę, że może źle zrobiłem, odchodząc, bo jeśli już ginąć to z jakim takim honorem, a nie jak świnia.

– A może byś po prostu wrócił? – powiedział Zbyszek, patrząc na niego uważnie. – Chyba sam tego mimo wszystko chcesz...

– Nie mogę. Zresztą tamte drzwi są dla mnie zamknięte na zawsze. Nie chcę tam wracać. Nie mam już sił na dalszą przepychankę. Poradzą sobie beze mnie, nawet może lepiej... – Jarek mówił coraz ciszej. – Tak widocznie być musi – dokończył głośniej.

– Znajdź jakąś pracę na pół etatu, wynajmij pokój i wszystko jakoś się ułoży – pocieszał go Zbyszek. – Staniesz jeszcze na nogi! Zobaczysz, odmieni się!

– Chyba już nie... – Jarek pokręcił głową. – Nie dam rady, to koniec... Początek końca...

Milcząc patrzyli na siebie, kryjąc się za chmurą papierosowego dymu. Przeciągająca się cisza stawała się coraz bardziej niezręczna i przykra.

– Zostaniesz do jutra? – przerwał milczenie Zbyszek.

– Jeśli nie będę ci przeszkadzał...

– Co ty! Jarek! – oburzył się Zbyszek. – Jest tylko mały szkopuł. Ale poradzimy sobie – uspokoił go gestem ręki.

– Po prostu miałem dzisiaj spakować resztę rzeczy, bo jutro rano przyjedzie meblowóz, żeby to wszystko zabrać... Myślę, że wyskoczę na chwilę i przetelefonuję. Umówię się na południe...

– Nie, nie trzeba – przerwał mu Jarek, patrząc na niego uważnie. – Pójdę już...

– Daj spokój. Gdzie chcesz iść?! Jakoś to załatwię.

Jarek tylko przecząco pokręcił głową i zaczął się ubierać.

– No to powodzenia. Trzymaj się, stary – wyciągnął rękę.

– Cześć. Powodzenia – pożegnał go Zbyszek, uciekając z oczami.

Trzasnęły drzwi i został sam. Przeszedł do kuchni, otworzył lodówkę i chwilę stał patrząc na trzy butelki wódki. Wyjął jedną z nich, otworzył i wstrzymując oddech wypił kilka dużych łyków. Usiadł na taborecie, zapalił papierosa i patrzył w okno. Płakał. Co miał powiedzieć Jarkowi? Że dwa lata temu opuściła go żona, zabierając dzieci i od tej pory ich nie widział? Że to co mógł sprzedać na wódkę? Że pięć razy wyrzucano go z pracy za pijaństwo i teraz utrzymuje się z dorywczych prac u prywaciarzy?

Człowiek przecież potrzebuje trochę nadziei, wiary, że może być lepiej... Każdy jest sam, w samotności swojej jedyny, w wieży z kości tych, którzy byli i będą. Każdy prędzej czy później będzie sam, twarzą w twarz w okrutnej i przerażającej chwili, gdy pęka włos i słychać już świst miecza.

Jeśli nic dać nie można, nie wolno także odbierać. Nawet złudzeń...

ARTUR PAŁYGA
Bielsko-Biała, II nagroda

Deszcz

Różowa dżdżownica powoli wypełzała z błotnistej mazi. Jej obłe ciało wydawało się stworzone do takich warunków. Deszcz bębnił po przeciekającym dachu. Krople spadały na blat stołu. Młody siedział na drewnianym progu. Butem rozmazywał błoto pod nogami. Patrzył, jak noga w brudnym gumofilcu robi z dżdżownicy miazgę.

– Zastrana pogoda – mruknął Misiasty. Miarowymi ruchami nogi rytmicznie rozrzucał resztki dżdżownicy w błocie.

– Pogoda jak pogoda, przerwa w robocie! – krzyknął wesoło Rowadowski otrzepując buty o próg drewnianej przybudówki służącej tutaj za zbrojownię.

– Przerwa – burczał Misiasty. – Co ci, k... przerwa – jak na akord robisz.

– Aa... – Rowadowski rzucił narzędzia na stół. Kropla z przeciekającego dachu spadła mu na głowę.

– Cieknie – Rowadowski fachowo obejrzał dach. – Czemu sobie tego nie zrobicie?

– To my?! My to mamy robić?! – rzucił Misiasty. – My to już dawno staremu mówili, a on mówi, żeby się nie martwić, z cukru nie jesteśmy, że płaci nam po 500 tysięcy i mamy być cicho.

– Ciekawe komu on płaci te 500 tysięcy – odezwał się mały śmieszny mężczyzna z wąsami jak Lech Wałęsa.

– Kola – ucieszył się Rowadowski. – A coś ty tak sobie w kąciku usiadł? Nie widać cię, nie słychać!

– A co mnie ma być słychać? – odburknął Kola.

– Ty się Kolczuk czaisz. Oj, ty się czaisz – Rowadowski wyciągnął na powitanie rękę. Kola uścisnął ją z uśmiechem.

– Ten to, k..., zawsze wesoły – Misiasty powoli wyjął papierosa. – Zgadnij, po ile teraz popularne?

– 150 zł! Ja pierdolę taki rząd. 150 zł popularne – biadolili Misiasty.

– Nie? A miało się zmienić – podchwycił Kola.

– Nowy? – Rowadowski wyciągnął rękę w kierunku Młodego.

– Sezonowy. Nie na długo. Zarobić sobie chciałem.

– Z Kolczukiem robisz, co? – dopytywał się uśmiechnięty Rowadowski.

– No... Mógłby mnie pan poczęstować papierosem? – Młody spojrział błagalnie na Misiastego.

– Zmieniło się. Wałęsa z Jaruzelskim się pogodził i jedną lanią jeżdżą – Misiasty rzucił Młodemu papierosy i zapaliki.

- Ze mną robi, bo co?
- Bo się dziwię, jak on może z takim wytrzymać – zaśmiał się Rowadowski i zrobił oko do Młodego.
- A idź – zachnął się Kola.
- Co, nie wykorzystuje cię?
- E, nie – Młody uśmiechnął się.
- Zmieniło się, cholera – mruzczał Misiasty.
- Ty wiesz Misiasty, kiedy się najlepiej zmieni? – zwrócił się do niego Rowadowski.
- No?
- Jak walec przejedzie – zarechotał wesolo.
- Zmieniło się... – Misiasty pogłaskał mokrego czarnego kota z nadgryzionym uchem, który schronił się tu przed deszczem.
- E, patrzcie – Rowadowski rozpromienił się. – Poeta... z flachą albo mi się wydaje.
- Dzień dobry, cześć i czołem – zachrypiał wąły młodzieniec ze szczupłą twarzą i oczami deliryka. Wyjął triumfalnie z reklamówki „pół litra”.
- Od rana na gazie, co – burknął Kola.
- Ten to, k..., zawsze na gazie – Misiasty szarpnął kota za ogon.
- Wiedziałem, że z flachą – Rowadowski oglądał łakomie butelkę.
- Młody na czaty! Będiesz filował, czy majster nie idzie – zakomenderował Poeta. – A my idziemy w krzaki zalewać robaki – zataczał się lekko. – O, kotek! – ucieszył się. Wystraszony kot wyrwał mu się i schował pod stół.
- O, sukinsyn! – zdenerwował się Poeta.

Młody i Rowadowski z Kola śmiali się. Po chwili dołączył do nich skrzekliwy bas Misiastego. Poeta uganiał się za kotem pod stołem.

– Mam cię, ty świnió – kot wylądował czterema łapami w świeżej, nie zastygłej jeszcze betonowej formie. Podrapana ręka trzymała go twardo za grzbiet.

– No i co robisz?! – krzyknął Kola. – Formę zepsujesz!

– E, patrzcie – uradowany Poeta obserwował, jak łapy kota powoli zastygały w betonie. Kot miauczał przeraźliwie. Rowadowski przykucnął obok niego i patrzył ciekawie na rozpaczliwie wrywającego się kota. Młody z papierosem stał nad nimi.

Kocie wrzaski przypominały płacz niemowlaka.

– Uciszcie go, do cholery! – zagrzmiał Misiasty. Wstał i z rozmachem wcisnął głowę kota w beton. Weszła miękko aż po uszy. Nadgryzione lekko wystawało. Potrzymał dłuższą chwilę. Nienaturalnie wygięty koci tułów drgał konwulsyjnie.

– No i co teraz? – odezwał się Kola. – Spieprzylicie płytę.

– Spokojnie! – Poeta otworzył butelkę. – Chodźcie chłopaکی, bo Kola się niecierpliwi. A ty filuj! – rzucił do Młodego, który patrzył zdziwiony na wystający z betonu, jeszcze lekko drgający koci tułów. Kola wyjął zza krzaka kieliszek. Wytarł go końcem koszuli.

– I co? Jak się czujesz po wczorajszym? – zwrócił się do Misiastego Rowadowski. – Mówię wam, jak on wczoraj zapił – zaczął opowiadać nie czekając na odpowiedź. – Zasnął na stole do cięcia prętów. No szedł majster, to trzeba go było schować, nie? Cholera! W piątkę nie mogliśmy go z tego stołu ściągnąć. Musieliśmy go wystrzelać po mordzie, to jakoś się do tych krzaków dowłókl.

Poeta w skupieniu patrzył na kieliszek, który powoli krążył w kółko, aż znowu wrócił do niego.

– A ten majster to jest jakiś stuknięty – skomentował Kola.

– Abstynent pieprzony – dodał Misiasty.

– Abstynenci są pechowi. Patrzcie, kurde, dopiero miesiąc tu jest, a już sobie raz rękę poparzył, a raz złamał – Rowadowski robił się coraz weselszy. Poeta spocony wpatrywał się półprzytomnymi oczami w kieliszek, jakby zobaczył coś w brudnym szkle. Nagle ugryzł. Misiasty wytrzeszczył oczy.

– Coś ty zrobił?! – skakał wokół niego Rowadowski. Kola zdziwiony oglądał kieliszek. Młody z wrażenia zapomniał o kocie.

– Zrób to jeszcze raz!

Poeta ugryzł z drugiej strony.

– No i, k..., co?! – wściekał się Misiasty. – Z czego my będziemy teraz pić?!

– No i, kurde, zjadł kieliszek! – krzyczał bardziej zdziwiony niż zdenerwowany Rowadowski.

– Kretyn – stwierdził dobitnie Kola.

– Z gwinta – Poeta przegryzł szkło i powoli przełknął.

– Kretyn – powtórzył Kola.

Młody patrzył na Poetę jak zahipnotyzowany.

– No i co się gapisz, deliryka nie widziałeś?! – zareagował nagle gwałtownie Misiasty. – Jeśli pije denaturat i wodę kolońską jak oranżadę, to nic dziwnego, że zjada szkło jak bułkę!

Poeta wziął zniszczony kieliszek i podszedł do wystającego kociego tułowia, który tymczasem nienaturalnie napęczniał. Powoli wbił kieliszek i rozgniół go.

Gęsta, ciemna ciecz zaczęła wypływać z kota jak powietrze z przebitego balonika. Razem z krwią z rozciętej ręki Poety spływała na betonową formę i barwiła ją na brudnoczerwono.

PATRYCJUSZ PAJAŁ

Bielsko-Biała, III nagroda

Sprawa cenzora

Nie wiedział, czy uczyć się chemii, czy nie. Właściwie to było mu wszystko jedno, i tak by się nic nie nauczył. Stał przyciśnięty do ściany i patrzył bezmyślnie na tłoczących się na korytarzu ludzi. Nie zauważył nawet, jak podeszła do nich rusycystka, kobieta energiczna z lekkim zezem lewego oka.

– Spróbujcie być jutro nieprzygotowani – powiedziała z wesołością w głosie. Wszyscy uśmiechnęli się. Kleimanowi nie było wesoło, więc nie uśmiechnął się. Schował tylko zeszyt do kieszeni fartucha laboratoryjnego. Rusycystka przeniosła wzrok na niego. Kleiman zauważył, że jest obserwowany, więc nie chciał być niegrzecznym i patrzył na nią. Widocznie oczekiwała, aż coś powie, ale on nie miał nic do powiedzenia. Zamierzał nawet się odwrócić, żeby przerwać ten wzrokowy

dialog, przekręcił w bok głowę i trochę ją opuścił, ale wciąż był obserwowany, więc nie odwrócił się, tylko pozostał w tej nienaturalnej pozycji. Wreszcie rusycystka odezwała się.

– A do ciebie nic nie mówię, bo do ciebie się nie odzywam.

I nie czekając na odpowiedź zaskoczonych Kleimana, odwróciła się energicznie, przy czym uderzyła swoimi długimi włosami o jego twarz. Chłopak nacisnął na powieki, żeby pozbyć się nie milego podrażnienia spojówki. Za plecami powtarzano już między sobą zdanie rusycystki skierowane do niego.

– Może poprawiła kartki? – podsunął ktoś z tyłu, ale Kleiman dobrze wiedział, że kartek nie poprawiła, gdyż rozdawałaby je wszystkim od razu, jak zwykle robiła. Chodziło o coś innego. Sprawa wyjaśniła się na kolejnym rosyjskim.

Rusycystka weszła do klasy punktualnie po przerwie i rzuciła od drzwi:

– Nie ma w waszej klasie cenzorów?

Podeszła do tablicy i dopiero wtedy wszyscy zauważyli, że w temacie jest błąd: zamiast litery „a” wpisane było „o”. Energicznym ruchem poprawiła błąd. Lekcja zaczęła się od wykonywania ćwiczeń. Kleiman starał się na nią nie patrzeć i pochylił głowę nad książką. Pytała po kolei, przy czym zawsze urywała przed nim i zaczynała następny rząd. Wszystkim mówiła po imieniu, a imiona tych, którzy siedzieli najbliżej niego, zdrabniała, co rzadko się zdarzało. Kleiman starał się nie rzucać w oczy. Kiedy wszyscy potakiwali, potakiwał, kiedy się śmiali, śmiał się z nimi. Był bez zarzutu. Gdy zaczęło się inscenizowanie dialogu przy tablicy, zorientowano się, że brakuje „zawiadowcy stacji”. Kleiman był jedynym chłopcem, który nie brał w tym udziału.

– No więc kto będzie „zawiodowcą stacji”? – ponowiła pytanie rusycystka.

Jako chłopak, tylko on nadawał się do tej roli.

– Kazo Kleiman – podsunęła dziewczyna, która siedziała obok niego.

– Kleiman? – rusycystka skierowała wzrok na chłopaka.

– Kleiman, czy będziesz „zawiodowcą stacji”?

Zmusił się do spojrzenia jej w oczy.

– Ja? – odezwał się i przełknął ślinę. – Mogę.

– Nie pytam cię, czy możesz, tylko czy będziesz.

Na jej twarzy pojawił się półuśmiech. Kleiman przytaknął.

– Zmienisz się Kleiman?

Chłopiec popatrzył na nią zdziwiony.

– Nie, nie będziesz „zawiodowcą stacji”. Będzie ktoś inny

– wskazała na dziewczynę, która miała w zeszłym roku nie zdać.

Kleiman usiadł.

– Patrzcie, jak on siedzi! – zwróciła się do klasy.

Wszyscy popatrzyli na niego, więc szybko wstał.

– Typowa postawa cenzora. O, tak, ręka przewieszona przez oparcie krzesła – zademonstrowała – druga oparta na stole, głowa lekko opuszczona. Tak siedzi tylko cenzor, patrzy spode łba i nie wiadomo, czego chce, węszy. No i jak ja mam pracować? Nie tylko nauczyciel ma stwarzać dobrą atmosferę do nauki dla ucznia, ale mnie się chyba też coś należy z drugiej strony, no nie? A tu co? Przyjdzie mi taki na lekcję, ja cała spięta, a on tylko słucha, gdzie by mnie tu przyłapać. Jeżeli Kleiman się nie zmienisz, to przestanę się do ciebie odzywać.

Kleiman wstał.

– To już drugi przypadek w moim życiu, że spotykam kogoś tak niesympatycznego. Jak ty się na mnie patrzysz, Kleiman?

Wstał.

– Co ja jestem, robak dla ciebie, czy kto? A może chcesz na mnie donieść, co? No donieś na mnie! Ja się nikogo nie boję. Może cię zaprowadzić, gdzie masz na mnie donieść? Zaprowadzić cię?

– Nie – odpowiedział cicho Kleiman i usiadł.

– Czuję się, jakbym była w więzieniu, pod jakimś nadzorem. To nienormalne zjawisko w szkole. Czy tobie, Kleiman, powiedział już ktoś, że jesteś cholernie niesmaczny?

Chłopak wstał błyskawicznie i zaprzeczył.

– Widocznie inni wolą w ogóle na takiego nie zwracać uwagi. Tylko ja jestem taka wrażliwa, ale chyba też tak zacznę robić. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Chyba, że się zmienisz.

Po chwili dodała:

– Ale ty się nie zmienisz.

Dzwonek oznajmił koniec lekcji.

Przez najbliższy tydzień Kleiman starał się zmienić. Uśmiechał się w odpowiednich momentach, nie opuszczał za bardzo głowy i szeroko otwierał oczy. Ale sytuacja nie poprawiła się. Rusycystka nie odzywała się do niego w ogóle, a na innych lekcjach nauczyciele niechętnie go pytali, najczęściej jako ostatniego, często mówili coś po cichu do uczniów, którzy potem patrzyli na niego i potakiwali głowami. Po miesiącu zupełnie przestano zwracać na niego uwagę, a jego nazwisko pomijano przy czytaniu obecności.

Mimo to, iż nie był ani razu pytany z rosyjskiego, pewnego dnia, gdy ścierał tablicę, zauważył, że w dzienniku ma wpisane oceny. Jakie i za co – nie wiedział. Gdy doszło do tego, że wszyscy zaczęli go ignorować, postanowił przenieść się do innej szkoły. Rodzicom nic nie powiedział, żeby ich nie drażnić. Zawsze żywo interesowali się szkołą. W ciągu trzech dni oddał podanie do sekretariatu. Jednak, kiedy przyszedł tam, żeby zapytać o sprawę swojego przeniesienia, sekretarka spytała zdziwiona:

– Ty składałeś jakieś podanie, chłopcze?

Z szuflady wyjęła parę podań, ale żadne nie było Kleimana.

– Najlepiej będzie, jak spytasz o nie dyrektora – powiedziała w końcu.

Kleiman podszedł do drzwi gabinetu.

– Nie możesz tam wejść. Dyrektorowi nie wolno przeszkadzać – zwróciła mu uwagę. – Możesz go spotkać na korytarzu, na przerwie, kiedy załatwia różne sprawy.

Nazajutrz Kleiman już od pierwszej przerwy czatował pod sekretariatem, lecz za każdym razem dyrektor wchodził i wychodził z gabinetu w towarzystwie nauczycieli. Dopiero po szóstej lekcji wyszedł sam. Kleiman podbiegł do niego, ale dyrektora pochłonał już tłum, jaki zawsze zbierał się między salą polskiego a chemii. Chwycił się jego marynarki, żeby go nie zgubić. Przez chwilę dyrektor ciągnął go z rozpędu za sobą, a Kleiman ślizgał się po parkiecie.

– Co się dzieje? – odwrócił się wreszcie dyrektor. – Co ty chcesz?

Kleiman puścił marynarkę, którą jej właściciel natychmiast poprawił na sobie.

– Nazywam się Kleiman. Chciałem spytać, co z moim podaniem o przeniesienie?

– Kleiman? Czy ty czasem nie pisałeś jakiegoś podania? Zaraz, czy chodzi o stypendium?

– Nie o stypendium, tylko o przeniesienie do innej szkoły – wyjaśnił chłopak.

– A, to ty. No, tak... – dyrektor podrapał się po głowie, z której posypał się łupież. – Możesz odebrać swoje podanie w sekretariacie, a jeśli go tam nie ma, to znaczy, że zostało wyrzucone.

– Dlaczego? – chłopiec spytał tracąc oddech, gdyż chciało mu się płakać.

– Żeby się przenieść do innej szkoły potrzebna jest zgoda rodziców. Akurat tak się złożyło, że widziałem się z twoimi rodzicami. Naświetliłem im odpowiednio twoją sytuację. Nikt nie ma żadnych zastrzeżeń do nauki. Pokazałem im twoje podanie i bardzo się zdziwili. Postanowili jednak, że pozostaniesz w naszej szkole.

– Ale ja nie chcę – jęknął Kleiman, ale dyrektor już poszedł.

Gdy wrócił do domu, zamknął się w pokoju. Rodziców o nic nie pytał, bo mogłoby ich to zdenerwować. Zdziwiło go też, że oni o nic nie pytają. W pokoju przyszła mu do głowy pewna myśl. Gdyby nie zdał do następnej klasy, być może rodzice zgodziliby się, żeby przeszedł do innej szkoły. A gdyby nawet nie, to zostałby przeniesiony karnie, albo nawet wyrzucony. W najgorszym przypadku pozostałby w klasie, ale nie uczyłiby go ci sami nauczyciele. Kleiman postanowił jak najszybciej zrealizować swoje plany, co wcale nie było takie łatwe. Nie był wcale pytany, a profesorzy traktowali

go jak powietrze. Na wagary nie odważyłby się chodzić, gdyż obawiał się rodziców. Pozostawało tylko zachowanie i prace pisemne. Po tygodniu odniósł pierwszy sukces: doprowadził do szału rusycystkę, która pierwszy raz od pół roku odezwała się wprost do niego.

– Kleiman, ty cholerny gestapowcu, przestań się na mnie tak gapić!

Po skończonych klasówkach oddawał niezapisane kartki. Raz, przez przypadek, dostał dziennik w swoje ręce i nie omieszkał przy okazji wpisać sobie paru dwójek. Wśród uczniów krążyła plotka, że ma najniższą średnią, jaka kiedykolwiek się w szkole zdarzyła. Aż nadszedł koniec roku. Kleiman wystroił się w specjalnie kupiony na tę okazję przez rodziców garnitur. Chwycił opuszkami palców świadectwo i przez chwilę delectował się gładkością papieru. Potem spojrzął na oceny. Rząd z góry na dół zapisany był dostatecznymi. Pod spodem widniał złośliwy dopisek wychowawcy: „A jednak”.

– Sukinsyny! – krzyknął na całe gardło.

Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

JAKUB KAMIŃSKI

Warszawa, wyróżnienie

Drogi, które nas prowadzą

Już po wyjściu z samolotu w pasażerów uderzył podmuch zimnego, północno-wschodniego wiatru, wilgotnego i trochę niezdecydowanego co do swojej siły i kierunku. Stojąc na szczycie schodów Jan wzdrygnął się mimowolnie i od razu pożałował, że zabrał ze sobą jedynie lekkie i przewiewne ubrania. Zgodnie z prognozą pogody, w ciągu najbliższego tygodnia lato miało pokazać, co naprawdę potrafi. Pakując się przed podróżą w kilkudziesięciostopniowym upale Jan nie był w stanie wyobrazić sobie dokuczliwego chłodu.

Po dotarciu do sali przylotów szybko odszukał swój bagaż; miał tylko jedną torbę, a w niej, oprócz niezbędnych rzeczy osobistych, dokumenty sprawy, w związku z którą

właśnie przyleciał. Zarzucił sobie torbę na ramię i szybkim krokiem ruszył do najbliższego wyjścia. Kątem oka dostrzegł jakiś duży, poruszający się kształt. Zdołał wyhamować i przepuścić przed sobą otyłego, zasapanego człowieka, któremu pot zalewał oczy. Mężczyzna targał dwie ogromne walizy i parę kroków dalej wpadł na stojący samotnie zabłąkany wózek bagażowy. Niedomknięta walizka otworzyła się z cichym trzaskiem, a ze środka wytrysnął gejzer różnych drobiazgów. Plastikowe buteleczki, pudełka, skrzyneczki z grzechotem rozsypały się po podłodze. Głowy najbliższej stojących osób z ciekawością zwróciły się w jedną stronę. Jan ostrożnie wyminał zgarniającego swój dobytek, sapiącego jeszcze głośniejszą męczyznę i wyszedł na zewnątrz. Po krótkim oczekiwaniu złapał taksówkę, wsiadł i wymienił nazwę hotelu, w którym pokój zarezerwował jeszcze przed wyjazdem.

Patrząc na przesuwające się za oknami miasto, Jan myślał o zawilości ludzkich losów.

*

Dopiero miesiąc po śmierci ciotki wiadomość o tym fakcie dotarła do Marty. Po półtorarocznej nieobecności zastała w domu, oprócz zawiadomienia o pogrzebie, wysłaną później prośbę adwokata o kontakt, w celu dopełnienia paru niezbędnych formalności. Marta była jedyną krewną ciotki, ale od kiedy wyprowadziła się od niej dwadzieścia lat temu na drugi koniec kraju, ograniczały się do listownych życzeń i krótkich spotkań w okolicach Bożego Narodzenia. Z pewnością kochały się na swój sposób, ale jednocześnie nie tę-

skniły za sobą. Szanowały swoją inność i nie potrzebowały siebie na co dzień, ale w nagłej potrzebie z pewnością pospieszyłyby z pomocą. Ciotka umarła nagle i chociaż nic nie zapowiadało tej śmierci, to z telefonicznej rozmowy z adwokatem wynikało, że większość ważnych spraw uporządkowała sama, dużo wcześniej.

Klucze od mieszkania ciotki adwokat obiecał zostawić u dozorca. Co prawda, Marcie nie bardzo uśmiechało się nocowanie w tych opustoszałych pokojach, ale myśl o zamieszkaniu w hotelu wywoływała w niej kategoryczny sprzeciw.

Kiedy rano jechała na lotnisko, było zimno i jeszcze ciemno. Miała nadzieję, że za dwa dni będzie z powrotem w domu. Po wylądowaniu, bez pośpiechu wybrała w kiosku kilka pism i przeglądając je wypila w barze podwójną kawę. Nie musiała się nigdzie spieszyć, więc skierowała się na przystanek autobusowy linii biegnącej przez centrum miasta. Blisko wyjścia usłyszała eksplodujący gdzieś z tyłu hałas, przypominający grzechot pustych puszek toczących się z przewróconego śmietnika. Obejrzała się za siebie, ale przez tłum podróżnych niczego nie udało jej się dostrzec.

*

Obudził się przed siódmą. Postanowił nie zamawiać niczego na górę. Schodząc do restauracji zabrał ze sobą wszystkie papiery, których mógł potrzebować w ciągu dnia. Im szybciej upora się z załatwianiem interesów, tym więcej czasu będzie miał dla siebie. Nie chciał przyznać się nawet przed samym sobą, że chodziło przede wszystkim o czas na obudzenie wspomnień i na odszukanie śladów przeszłości.

Nie rozpoznał zmienianego wielokrotnie wnętrza hotelowej restauracji, ale natychmiast stanęły mu przed oczami wspa- niałe chwile spędzone w tym właśnie miejscu; przygaszo- ne światła, nastrojowa muzyka, przetańczone i przegadane długie godziny we dwoje. Wczoraj wieczorem wydało mu się, że dotarł do przyczyny intensywności powracających wspo- mnień.

Z pewnością głównym powodem był upływający czas i utracona młodość, będąca okresem pierwszych, erotycz- nych doświadczeń. W świetle dnia wyjaśnienie takie wydało mu się mocno naciągane. Dobrze pamiętał, że chwile fizycz- nych uniesień były zaledwie częścią (bez wątpienia ważną) całej gamy odczuć, jakich razem doznawali. Chwile kiedy odprowadzał ją przed świtem do domu były dla niego równie cudowne, jak te spędzone w pokoju na górze.

Jan ocknął się z zamyślenia, kelner powtórzył swoją kwestię. Jedząc śniadanie zmusił się do myślenia o inte- resach i delikatnym zadaniu, które zleciła mu jego firma. Już wcześniej doszedł do wniosku, że problem jest trud- ny nawet dla fachowca, ale jednocześnie dosyć przejrzysty w swoim rozwiązaniu, wymagającym żelaznej konsekwen- cji. Jan nie był zarozumiały, wierzył natomiast, że to jedy- nie lata doświadczenia uczyniły z niego specjalistę w swojej dziedzinie.

*

Marta leżała w łóżku wpatrując się w fantazyjny zaciek na suficie. Była dziesiąta, a z adwokatem umówiła się dopie- ro w południe. Nagły dzwonek telefonu wyrwał ją z zamy-

ślenia. Po chwili zaskoczenia z niedowierzaniem sięgnęła po aparat. W słuchawce panowała głucha cisza, dokładnie taka sama, jak wczoraj, kiedy Marta sprawdzała, czy telefon jest podłączony. Odkładając słuchawkę dostrzegła ślad w sklejeniu biegnący w poprzek obudowy. Przypomniała sobie dzień, gdy biegła odebrać telefon i zawadzając po drodze o sznur ściągnęła go na podłogę. Mężczyzny, który wtedy dzwonił, nie musiała sobie przypominać – jego pamiętała doskonale i przez te wszystkie lata myślała o nim bardzo często. Wszystkich późniejszych znajomych, a zwłaszcza dwóch byłych mężów, porównywała zawsze z nim. Żaden, oczywiście, nie wytrzymał takich porównań. Gdy była przy nim i z nim, wspólne noce w hotelu były pozbawione atrybutów tymczasowości i wulgarności. Od chwili rozstania nie mogła już więcej znieść hotelowej atmosfery i tylko w ostateczności zdecydowała się zamieszkać na krótko w jakimś hotelu. Trzy lata spędzone razem z nim wystarczyły, żeby wypełnić wspomnieniami następne lata jej życia. Z nikim już nie umiała tak szczerze i bez zahamowań rozmawiać o swoich najskrytszych tajemnicach, nigdy więcej nie miała tyle cierpliwości, żeby godzinami spierać się z kimś o nieistotne szczegóły, nikomu już nie udało się wpłynąć na zmianę jej sposobu widzenia świata. Mężczyźni, których wybierała, z wyglądu byli podobni do niego, ale kiedy ich porzucała, to nie za to, co robili, lecz wyłącznie za to, czego nie robili i za to, że nie potrafili zmieniać się według wzoru wyhodowanego w jej sercu i umyśle.

Pod wpływem nagłego impulsu Marta postanowiła jak najszybciej ubrać się i wyjść. Już wiedziała, gdzie zje śniadanie.

*

W drodze na umówione spotkanie Jan wstąpił do znajdującej się na tyłach hotelu wypożyczalni samochodów. Wyjechał stamtąd białym fordem z automatyczną skrzynią biegów i składanym dachem. Na wszelki wypadek zaopatrzył się w plan miasta.

W ustalonym wcześniej miejscu pojawił się pięć minut przed ustalonym czasem. Po serdecznym, jowialnym powitaniu zorientował się, że nie pójdzie mu łatwo.

Po czterech godzinach obie strony doszły do wniosku, że są już zadowolone z wyników rokowań i nic więcej nie wynegocjują. Jan czuł tętno pulsujące w skroniach od nadmiaru wypitej kawy i coraz częściej pocierał wierzchem dłoni oczy, zaczerwienione od dymu wypełniającego gabinet. Czuł się jak balonik, z którego uszło powietrze. Pozbierał skrupulatnie wszystkie podpisane dokumenty, obiecał przyjść na kolację mającą uczcić pomyślną transakcję i z ulgą wy dostał się z biura na świeże powietrze. Wrócił do hotelu, rozebrał się i wszedł pod prysznic. Poczuł jak całe dotychczasowe napięcie i zmęczenie spływają z niego wraz ze strugami wody.

Postanowił przejechać się po mieście. Miał nadzieję odnaleźć znajome kiedyś zakątki.

Rozpogodziło się. Jan z przyjemnością złożył dach i jadąc z ciekawością oglądał nowe ulice i budynki. Im bardziej zbliżał się do starszych dzielnic, tym więcej szczegółów rozpoznawał i rzadziej zaglądał do mapy. Po chwili wiedział już jak dojechać do charakterystycznego, pięciokątnego placu z fontanną pośrodku. Jechał wąskimi ulicami o niewysokiej,

ale bardzo zwartej zabudowie. Zaraz przy wjeździe na plac udało mu się zaparkować, wciskając się między latarnię a dużą, meblową ciężarówkę. Wysiadł i po chwili niezdecydowania ruszył w lewo, z postanowieniem obejścia całego skweru dookoła.

Zatrzymał się przed białą, strzelistą fasadą królującego nad placem kościoła. Wszedł do chłodnego, mrocznego wnętrza. Przypomniał sobie dzień, kiedy pewnego wiosennego popołudnia schronili się tutaj przed nagłą ulewą. Tak jak teraz, kościół był zupełnie pusty. Podeszli wtedy przed samo tabernakulum. W ciszy ogromnego wnętrza, przy dochodzącym z daleka szumie deszczu, bez obecności świadków połączyli się wspólną obietnicą. Może nawet nie obietnicą, tylko czułym, spokojnym wyznaniem sobie najskrytszych, wzajemnych uczuć. Po raz pierwszy, stojąc w tym samym miejscu, Jan tak bardzo przeżył to wspomnienie. Jeszcze wczoraj wydarzenie to wydawało mu się młodzieńczo banalne i po prostu śmieszne.

Wszedł w jaskrawość dnia, która na chwilę oślepiła go. Energicznym krokiem ruszył przez plac na ukos do znajdującego się po przeciwnej stronie baru. Właśnie tam odbyła się ich ostatnia rozmowa. Zawsze zastanawiał się, dlaczego nie zdecydowała się wyjechać razem z nim, kiedy otrzymał pracę, która była wspaniałą szansą na efektowny start we wspólne życie. Czy miała prawo poświęcić realną możliwość urządzenia się w imię wcześniejszych, wspólnie snutych planów, będących bardziej pobożnymi życzeniami i marzeniami? Jak nigdy przedtem, kategorycznie odmówiła jakichkolwiek dyskusji; jej decyzja była nieodwołalna. Wyjechał sam.

Przebudowany w nowym, krzykliwym stylu i wypełniony kolorowym rozgadany tłumem turystów bar wzbudził w nim teraz niesmak. Chciał wrócić do hotelu.

Wsiadł do samochodu i ostro ruszył z miejsca. W zamysleniu objeżdżał plac. Nieomal przegapił skręt w prawo. W ostatnim momencie z piskiem opon pokonał ostry zakręt. Nagle, parę metrów przed maską, na środku jezdni wyrosła sylwetka kobiety. Była tak zaskoczona, że stanęła jak wryta, nie próbując nawet się poruszyć. Wcisnął pedał hamulca, ale samochód nieubłaganie sunął na zamarłą w bezruchu postać. W przerażeniu, jak w hipnozie Jan wpatrywał się w jej twarz. W ostatnim momencie uświadomił sobie, że musiał już gdzieś ją widzieć.

*

Siedząc u adwokata Marta cierpliwie podpisywała podsuwane jej dokumenty i z roztargnieniem słuchała monotonnych wyjaśnień. Potwierdziła odbiór pozostałej po ciotce biżuterii i upoważniła mecenasa do zajęcia się sprzedażą mieszkania.

Po wyjściu na ulicę ruszyła wolno przed siebie, rozkoszując się ciepłem i świeżością dnia. W pewnej chwili zorientowała się, że nogi same prowadzą ją tak dobrze znanymi ulicami. Pomyślała o mężczyźnie, z którym wspólnie je przemierzali. Pamiętała jego spokojne, duże, szare oczy. Pamiętała ich wyraz, kiedy ją całował i kiedy zażądał od niej nagłej zmiany całego dotychczasowego życia w imię jego zawodowej kariery. Gdyby nie jej urażona ambicja, zrozumiałaby, że to szansa dla nich obojga. Gdyby nie jego zarozumiałość i pewność

siebie, zrozumiałby jej przywiązanie do miejsc i ludzi, wśród których urodziła się i wychowała. Czuła wtedy, że dzieci, którym poświęcała swój czas w Domu Dziecka, naprawdę jej potrzebowały. Jedną stanowczą, egoistyczną decyzją, on chciał przekreślić wszystkie wcześniejsze, wspólne plany na przyszłość. Jednak gdyby zamiast oznajmiania swojej woli poprosił ją, porzuciłaby wszystko, żeby być razem z nim.

Przyspieszyła kroku, serce biło jej szybciej. Szła uliczką prowadzącą do miejsca ich ostatniej rozmowy. Postanowiła przejść na drugą stronę. W momencie, gdy była pośrodku jezdni, zza rogu wypadł rozpędzony, biały samochód z odkrytym dachem. Znieruchomiała w paraliżującej panice. Dokładnie widziała przed sobą zbliżającą się twarz prowadzącego mężczyzny. Widziała tak dobrze znajome, otwarte teraz szeroko w niemym przerażeniu, szare, duże oczy. W ostatniej chwili wydało się jej, że dostrzegła w nich błysk zrozumienia.

MAŁGORZATA SZWED-KĘDZIA

Warszawa, wyróżnienie

Widownia

Wytworna cioteczka nie zjadła dziś nawet jednej nitki kiszonej kapusty, podanej do drugiego dania. Cezary odmówił wzięcia do ust kawałka garmażeryjnego klopsa, a co dopiero mówić o kwaśnym mleku!

Benedykt tuż przed wyjściem połknął zachodni proszek, który polecono mu, jako świetnie rozkurczowy, a Dagmara założyła spodnie luźniejsze w pasie.

Mała przerwa w żarciu i żadnych musujących win przed spektaklem. Wszystkie te zabiegi zastosowano po to, aby spokojnie i bez stresów obejrzeć przedstawienie do końca.

Bałagan w poobiedniej kuchni, pokojach, łazience... coś jeszcze zaniedbane, coś nie pasuje, psy, dzieci po kątach... czas nagli...

Trzaskają drzwi samochodów, dymią się pospiesznie papierosy... czy wzięliśmy bilety? No, że też mamuśka zawsze o wszystkim pamięta!

Neon zaprasza gości trupim światłem...

Szybko... szybko... zwinnym szatniarkom wysuwają się futra z rąk, bo zerwały się wieszaki... pobrzękują numerki...

– Może tak napić się czegoś? Przecież coli nie ma na mieście.

– Chcesz sobie krzywdę zrobić? Zapomniałeś już, jak po coli cierpisz?

Szeleszczą nowe stroje z nieodprutymi w pośpiechu metkami.

TEATR – świetnie czujemy klimat wyższych sfer... no bo kto dziś bywa w teatrze... My!

Przywracamy sobie spokój, układamy ciała w powolnych i wytwornych gestach. Wylewne uśmiechy, teatralne ukłony: panowie ręce wzdłuż ciała i sztywny krzyż, panie – dłoń na dłoni, na wysokości talii. Grubo położona pomadka do ust, zbyt czerwono zaznacza zęby, głowa prosto od fryzjera sztywna razem z karkiem... Panowie mili dla pań, panie roześmiane nad wyraz...

Kupić program czy nie? Eee, przecież i tak dowiemy się co będzie... po co wydawać jeszcze te 100 złotych...

Tylko skulony chłopak, w rozciągniętym swetrze, choć tak nie wypada wyglądać, żółtymi od tytoniu palcami sięga po ulotkę.

Ciekawi go Gombrowicz.

– Czy coś z tego zrozumie?

Trzy dzwonki. Raz, dwa, trzy...

Już państwo siedzą?... a to przepraszamy... tak tu ciasno... naprawdę... trzeba będzie wstać kolano... miły dekolt pani... i jeszcze kilka krzeseł... dość.

Zapachniało perfumą, niepewne spojrzenia po sali, wszyscy tacy elegancy... pewnie się lekko rumienię... ciekawe, kto z mojej prawej... kto nas już widział... No, wszystko jest tutaj inne... tyle ludzi naraz! Chyba wyglądam nieźle, bo... Zosia, na przykład, mocno się posunęła, już widziałam ją ostatnio może nie aż tak... ale jak się dobrze przyjrzyć?

Gaśnie światło. Westchnienie. Wkręcamy się wygodnie w fotel. Ciekawe czy zasłaniamy komuś z tyłu... kulimy ramiona... że aż się o tym pamięta... inni nawet nie pomyślą.

Scena. Wyszedł On. Ile już razy powtarza to samo przed nami... że kocha ten zawód!... (wydęcie ust)... Ile razy można powtarzać to samo!... Chyba rozumiem o co mu chodzi, ale właściwie mówi o niczym... autor chyba był zboczony...

Podobno wszyscy artyści są zboczeni... żeby tylko za dużo nie pokazali... przecież to wstyd – na widowni jest młodzież!

A Cezary chyba tylko na to czeka... zawsze był erotomanem... Jak on się nie wstydzi tego czekania!...

Kątem oka obserwuję jego reakcje... obrzydliwy... I jest z czego się śmiać... głupi... Poważnie wygląda w tym ciemnym garniturze, a taki głupi...

Coś niebezpiecznie zbulgotało pod żołądkiem... O matko! Może się mylę?

Powolny dialog aktorów odbywa się niemal w ciszy... A jednak. Znowu... kurczenie jelit wydało najwyższy ton... a przecież tak się wystrzegałam wszystkiego, co po zjedzeniu „gra”!

Niecierpliwie poruszyło się pół sali.

Wciążam brzuch i spinam wszystkie jelita siłą woli... Narastający ból pogarsza moją sytuację... Z niepokojem rozluźniam się... O nie!... Tak mnie ten lewy dźwięk zaskoczył...

Szarpnęłam się z fotelem do przodu. Niestety, mój nie skrzypi – zazdroścę sąsiadowi z lewej... Mam jeszcze wizytową torebkę. Nie stłumi tego, co dzieje się w mych wnętrznościach!... jest płaska i mała... ale może chociaż trochę zaszeleści...

Zupełnie już zapomniałam co oni tam mówią, na tej scenie.

Może teraz odchrząknę albo nawet zakaszlę... co ja tu jeszcze mogę wymyślić?

Burczenie słyhać również z przeciwległego końca sali...

Ktoś mocno szeleszcząc, rozwija cukierek... głośne westchnienia... I znów jakieś fotele zatrzeszczały. Zmiana pozycji... albo może się nie ruszać... Noga zdejmowana z nogi, noga na nogę, otwierania i zamykania torebek, ogólny, przeciągły szmer...

A ze sceny mówi do nas Gombrowicz – do głuchych, umęczonych i zaprzątniętych bez reszty przyziemną troską o wyciszenie emocji wywołanych chorą perystaltyką jelit.

Tylko skulony chłopak z żółtymi od tytoniu palcami trwa w swojej ciszy... zasłuchany...

URSZULA SKIBA

Katowice, wyróżnienie

Szok

– Zostaw to wreszcie – ostrym tonem powiedział mężczyzna, wychodząc. Zostały same. W oczach Moniki, gdy patrzyła na matkę, widoczna była niechęć. W ostatnich tygodniach matka sprawiała jej wiele kłopotów. To wychodziła z domu na długie godziny, bez celu krążąc po osiedlu, to siadała na ławce przy skwerku i zaczepiała przechodniów. A przecież nie była taka stara. Zaawansowana choroba tak mąciła jej umysł. Chwilami nagłe poczucie własnej niemocy budziło w niej silną agresję. Ludzie omijali ją wtedy z daleka. Wyzywała ludzi i los, zawodząc rozpaczliwie. Początkowo patrzyli na nią ze współczuciem, później przyzwyczaili się do „pomyłonej”.

Nie wszyscy. Michał Srebrzysty, tak przezywany w osiedlu dla pięknych, siwych włosów, zawsze przystawał, gdy przechodziła i próbował nawiązać rozmowę. Jak gdyby nie dostrzegał zaszłej w niej zmiany, umyślnie przybierał żartobliwy ton. – Pamiętasz, Oluśka, uczyłem cię pływać – przypominał. – Miałaś taki niebiesciutki kostium. Na jednym cienutkim ramiączku – uśmiechał się pobłaźliwie. – Chłopaki zakładali się między sobą, że urwie ci się kiedyś. I czekały, głuptaki. Ładna byłaś, oj ładna. Taka zgrabniocha, że napatrzyć się nie można było. Dobre to były lata. Trzy lata. I dobrze nam było ze sobą. Do czasu – wzdychał. – Gdybyś ze mną została, nie byłoby tego teraz – ściszał głos. – No, cóż, było, minęło. Ale już zaraz pocieszał, mówiąc z naciskiem: – Przejdzie ci to, przejdzie. Musi, wierzę w to. I ty musisz uwierzyć.

Kobieta nie odzywała się. Patrzyła przed siebie oddalona myślą jej tylko wiadomą. Od czasu do czasu sięgała ręką do skroni, czoło marszczyła w skupieniu. Prawda, raz zdarzyło się. Spojrzała na mówiącego. Wielkie, brązowe oczy błyszczały połyskliwie, z czułością. Poznała go. – Michał, Michał – powtórzyła miękko. A już potem cofnęła wyciągniętą rękę, skuliła się i na nowo zapadła w niepamięć.

* * *

W odrętwieniu mijały dni, bez nadziei. Mąż Moniki coraz częściej nalegał, aby teściową oddać do zakładu chorych psychicznie. Przecież mało nie zatrula Baški, gdy dziecko wróciło z przedszkola. Niby chciała ugotować małej mleko, a zostawiła palnik gazowy otwarty, niezapalony. Kiedy indziej

nieznajomym robotnikom oddała klucze od mieszkania. Trzeba było wstawić nowy zamek. A Zosia od sąsiadów to zapytała nawet, czy jak Basia dorośnie, to też będzie „taka”. A Zbyszek, czy nie przypatrywał się ostatnio tonie ze wzmożoną uwagą? Dwa dni temu uparcie wmawiał Monice, że nie pamięta, gdzie złożyła ostatnie rachunki, których przecież pilnowała zawsze, jak oka w głowie. A i wyraz ulgi, który rozjaśnił mu twarz, gdy w ostrych słowach udowodniła mu pomyłkę, dużo dawał jej teraz do myślenia.

W milczeniu siedziały sobie naprzeciw siebie. Baśka była w przedszkolu, Monika miała dzień wolny od pracy. Pamiętała słowa męża. „Zostaw to wreszcie”. Nadszedł więc czas, aby podjąć jakąś decyzję. Ale ciężko było Monice mówić z chora na ten temat.

Położyła rękę na kolanach matki i zduszonym głosem zaczęła. – Mamo, on chce, abyś poszła do – zająknęła się – szpitala przyzakładowego. Tam cię wyleczą. Oni wiedzą, jak ulżyć w takiej chorobie. Bo tak dalej być nie może – mówiła teraz twardo. – On mówił, że to nie jest życie, że zmarnujemy się wszyscy. Cała rodzina, mamo. Powiedz, czy można tak żyć?! Powiedz coś, pomóż mi, mamo. Słyszysz? – pochwyciła rękę matki. – To ja, Monika, pytam się ciebie, co z tobą zrobić?! Powiedz, przemów nareszcie! – podniosła głos.

Matka odsunęła ją, wstała z miejsca. Słowa córki nie dochodziły do jej świadomości. Czuła tylko, że były to słowa niedobre, zagrażały jej osobie, trwożyły. Podeszła do drzwi. Monika doskoczyła, zasłoniła sobą przejście. – Dokąd, dokąd chcesz iść? – krzyknęła. – Znowu się gdzieś włóczyć? Zostań, nie wychodź – nalegała, przytrzymując matkę za rękaw. Ta silnym pchnięciem odrzuciła ją. Nagle znieruchomiała.

Po chwili powiedziała proszącym głosem: Podaj mi mój niebieściutki kostium, o ten – wskazała zwinięty na tapczanie, przeznaczony do wyrzucenia stary, wypłowiały strzęp.

– Po co ci taki stary, zniszczony łach? – sprzeciwiała się Monika. – Wyjdźmy na powietrze, do kąpieliska – prosiła matka nadal. – Wiem, lubisz tam chodzić. Pójdziemy tam – zgodziła się Monika. – Taki piękny dziś dzień. Może nareszcie uda się nam coś ustalić – myślała z nową nadzieją.

Wyszły obie. Do starego, opustoszałego kąpieliska droga z osiedla nie była daleka. – Tyle lat naprawiają te baseny – odezwała się Monika do milczącej matki. – Chodziłaś tu ze mną, gdy byłam mała, pamiętasz, mamo?

Matka uśmiechnęła się łagodnie. Parę razy spojrzała na pytającą.

– Może nie jest tak z nią źle, może jeszcze nie pora oddawać ją do zakładu – myślała Monika. – Wygląda i zachowuje się normalnie. Czepiała się każdego bardziej normalnego gestu chorej. Szkoda, że Zbyszek jej teraz nie widzi. Na nowo rozważała słowa młodego psychiatry, który wspominał jej o jakichś wstrząsach elektrycznych. – Taka choroba to jak zły sen – mówił. – Człowiek nagle z niego wyprowadzony może wrócić do rzeczywistości.

* * *

Monika szła za matką zamyślona. Na pustym kąpielisku nie było nikogo. Matka doszła do pierwszego basenu. Był najgłębszy, zamulony dawno niezmienianą wodą. Gwałtownie odwróciła głowę w stronę Moniki. Wysokim, piskliwym głosem przeciągle powiedziała: – „Niebieściutki”. Zanim

zaskoczona Monika zdążyła krzyknąć, przeszkodzić, matka skoczyła do wody. Wynurzyła się szybko, sprawnie. Lecz już po chwili Monika zrozumiała, że matka nie utrzyma się na powierzchni. Rozglądała się wokoło. Z rumowiska porzucanych cegieł wystawał długi kątownik. Silnym pociągnięciem wyrwała go i wybrawszy dogodne miejsce, skierowała w stronę matki. Ta, zanurzona po szyję, wielkim wysiłkiem starała się utrzymać głowę nad wodą i pochwycić zbawczy pręt.

A Monikę po uprzedniej panice ogarnął nagle paraliżujący chłód. Widziała wysiłki matki. Usłyszała teraz jej krzyk. – Moniu, Moniu! – w którym zawarła całą żądzę życia i wzywając córkę dawno nie wypowiedanym imieniem błagała o ratunek. Monika jednak stała bezwolna, nieczuła. – Teraz, teraz – szeptało w niej coś przemożnego, złowieszczego. Monika uniosła wysoko trzymany kątownik i okrągłym ruchem odrzuciła daleko w krzaki. Potem rozglądnęła się wokoło. Było cicho, nic i nikt nie zmącił rozległej ciszy. – Przecież nie umiem pływać – Monika powiedziała to bardzo wyraźnie i głośno. I dalej, bez krzty emocji myślała: I tak wszyscy wiedzą, że lubiła tu chodzić. Po prostu wypadek. Takie wypadki zdarzają się niezrównoważonym psychicznie. To jedyna pomoc, prawdziwa pomoc, jakiej mogę jej udzielić. Skończą się wymówki Zbyszka. To życie bez życia, ta bezsilność ich wszystkich wobec cierpień matki, wobec tego jej otumanienia – tłumaczyła sobie. Spojrzała na matkę walczącą z topielą. Wstrząsające było trzepotanie jej rąk. Monika rzuciła się na ziemię. Nic nie widzieć, nic nie słyszeć – szeptała. W udręce zaczęła tłuc ziemię pięściami.

Wtem nowy krzyk poderwał ją z miejsca. To Srebrzysty biegł na ratunek. Przypadł do basenu. Rzutkiem skokiem znalazł się blisko już teraz tonącej. Już podpłynął, bezwładne ciało przerzucił sobie na barki i w parę chwil dosięgnął brzegu. Tu złożył oszołomioną na murawie.

– Oluś, Oluśka, co to, zapomniałaś jak się pływa? No, już dobrze, dobrze – powtarzał serdecznie. Otoczywszy ramieniem podtrzymawał targaną ostrym kaszlem. Wolno przychodziła do siebie. Gdy już wykrztusiła dławiącą ją wodę przeciągnęła spojrzenie po kołyszących się topolach, po ciętych równo krzakach, westchnęła głęboko. Szeroko rozwarła, przytomne oczy zatrzymała teraz na swoim wybawcy. Zupełnie świadoma swoich gestów delikatnie dotknęła jego włosów. – Posiwiiałeś, Srebrzysty – powiedziała. – Michał, Michał – dodała czule. – Wiesz, ty jeden mi tylko zostałeś. Chodźmy stąd – z trudem się podniosła. Silnie opasał ją ramieniem. Całym ciężarem ciała wsparła się na nim. – Już cię nie opuszczę – zapewniała. Jej głos był zdecydowany, pewny. Na Monikę nie spojrzała.

1990



AUGUSTYN BARAN

Izdebki, I nagroda

Lato leśnych złudzeń

Międzywzgórza przesiąknięte mgłą ubitą na szarą pianę. Dobrze, że widzisz poruszające się przed sobą buciorki, jeszcze wczoraj eleganckie miejskie buciki. I słyszysz ściekającą po sobie wilgoć. Jesteś zimniejszy od burej mgły. Ale wiesz, że żyjesz. Bo ciągle idziesz.

Nikt jeszcze nie czeka na ciebie w barakowozie. Równie przemokniętym, pustym i śmierdzącym jak kotlina, którą zostawiasz w dole za sobą mimo jej woli.

Umówiłeś się – więc przyjdą. Jesteś ich pewien. Lato – więc nie pójda, na pewno nie pójda do „Raju”. Tak nazywają niezły hotelik zakorzeniony betonem w dole, gdzie zaczyna się wzgórze. Które się nigdzie nie kończy. Pomnożone przez dziesiątki innych podobnych, potargane w łańcuchy, kudłate lasami i bliznami wyrębów.

Tamten „Raj” służy im dopiero od późnej jesieni przez całą zimę aż do wiosny. Która to przychodzi, to cofa się o tydzień, dwa a nawet trzy tygodnie i brną wtedy po pas w śniegu (...) zimy.

Normalnie żyją w jednym z trzech baraków, które mającą jeszcze wysoko nad tobą, to giną, gdy wpadasz w jary sięgające dna Ziemi. Ale nie ma w żadnej kartotece, w żadnej ewidencji nie ma tych baraków. Zostały komisyjnie zniszczone. Więc nie istnieją. Podobnie jak ty, który opuściłeś wczoraj swoje miasto i tysiąc lat dziejów swojego kraju, przyjechałeś tu i nie ma cię nigdzie.

Ich jest ten pierwszy. Pod strzaskanym bukiem. Złapał iskrę bożą, która odwaliła mu potężne ramię butwiejące obok. Odpychające jeszcze martwą dłonią przegrane niebo niegdyśszych szumnych modlitw.

Okna – trochę szyb, trochę dykty. Dykty i szyb zielonych od glonów. Może delikatnego mchu. Nie jesteś botanikiem – nie jesteś pewny.

Dzisiaj wszystkie pory roku. Wczoraj jeszcze, kiedy wyjeżdżałeś, na pewno było lato. Normalne, choć też podłe. Tu jest to, co jest. Cichociemna mżawka zagłusza zegarek. Również upływ czasu wtopionego w wieczność. Jak w każdej dżungli, jak w tajdze, w której pozostała twoja Matka. A jednak – skowyt psa? Równie prawdopodobny zduszony pisk kobiety w sąsiednim baraku. Popołudnie. Nawet głębokie. Więc może to być i kobieta. Bardziej potrzebna tu i wszędzie niż pies.

Więc zasnąłem – kiedy? Zmęczenie. Gdzie jestem?... Cudze łóżko, przeżarte grzybem ściany. Otwierają się drzwi trącone skrzynką piwa. I zaraz zamykają się przed następną.

Bo sunie ta następna i jeszcze trzecia. Barykada – polska barykada.

Okocim – ale Igloopol... nie to, co chcieli, ale to – co było. Widać po ich minach. Są nareszcie: Michał, Dziadek i trzeci, młody. O którym nie wiedziałem, że jest. Tu i na świecie.

– Pochwalony!

– ... ten, co stworzył świat zielony!

– Zalany! – poprawia Dziadka młody.

Kładą piły pod łóżka. Młokos ociera siekierę i również rzuca ją pod wyro.

– Doszło się? – pytają.

– Doszło. Trafiło – mówią z ulgą.

– Nas też trafiło...

– Będzie nas więcej, może słyszałeś?

– Nie...

W baraku jakby od razu cieplej. Poza tym pachnie słonina, chleb, nawet woda.

– Skąd woda?

– Z nieba! Prosto od Boga Deszczów.

– Swój chłop – dopiero teraz przedstawia mnie Michał kumplom.

– Każdy jest swój – mruczy Dziadek.

Michał ma zaledwie ponad czterdziestkę. I jest z miasta, czyli znikąd. Pilarz. Dziadek też pilarz. Tną. Rzną. Piją. Żyją. Bo tak trzeba. Bo taki jest porządek ludzi i rzeczy Lasu i Boga Lasów. I wielu pomniejszych bóstw. Które sprowadzają piwo, wichurę i kurwy. Naprowadzą cię też na poroże, za które dostaniesz „melona” w twoim mieście, lub dzięki nim trafisz na polanę ekstra borowików. Ale oprócz nich są Złośliwe Jebańce. Masz wyobraźnię – dobrze wiesz, czym pachną w Bieszczadach.

Michał był tu pierwszy, kiedy jeszcze nie było „Raju”. Aż tu wyrzuciło go Morze. Tak mówi. To było jeszcze w siedemdziesiątym pierwszym. Przedtem miał tam dom. Była szkoła. Kawiarnia z kinem i dziewczynami. Jej już nie pamięta, tylko zapach jej perfum. Drogich. Kupiła od marynarza. Pachniała Wielkim Morzem, może nawet wszystkimi oceanami naszej ziemi. Ale zaraz był „Grudzień”. A po „Grudniu” – krótka rozmowa:

– Spływaj stąd! Lepiej będzie dla ciebie.

Tyle usłyszał, ale wszystko zrozumiał. Dziesięć lat później mógł wrócić. Nawet nieco wcześniej... potrzebowali go tam. Był potrzebny innym i sprawie. Wiedzieli przecież, gdzie jest. Po obu stronach wiedzieli... Pamiętali go.

– Gdańsk? Gdynia? Elbląg? – zgaduję.

– Nieważne! Niech będzie gdziekolwiek.

– Co jeszcze było?

– Gówno! Nie twoja sprawa – odpowiada za Michała ten trzeci, młody. Szwanc – przedstawił go krótko Michał. Łysy, strąki brody. I tik, który rzuca się w oczy.

– Ćpałem – to wszystko o mnie. Reszta – to sprawa twojej wyobraźni. Masz ją – napiszesz coś.

– Nie masz – będziesz miał spokój ty i czytelnik.

– Musiałem tu – dodaje jednak po chwili. – Dlatego, tylko dlatego żyję. Naprawdę, nic więcej... Może jeszcze to, że ja tu na zawsze. Lub tylko do końca, choćby ten koniec był bardzo daleko, choćby go nigdy miało nie być.

Patrzę na niego. Uśmiecha się. Ręce ma pewne. Dlatego dostał piłę. Piła to pieniądz i zawód. Długo nie wierzył, że kiedykolwiek będzie miał ją w łapach. W swoich łapach. Które telepały się. I były do niczego. Uleczyła go piła. Naj-

pierw w nią uwierzył. Długo, długo później w siebie. Michał mu pomógł. Tylko Michał. Zgarnął go z miejskiego asfaltu i przygarnął. Nawet przyodział na początku. I nakarmił. Przypadek to. Jak wszystko. Jak zawsze.

Pozostali przyjaciółmi. Choć to słowo być może nigdy między nimi nie padło. Nie są przecież kawiarnianymi bubkami. Ani babami. Ani pedałami, żeby sobie mówić jakieś pieprzone pieszczochy.

W lesie trzeba być we dwóch, gdy wali się drzewo. A zwłaszcza na wykrotach. Normalne, wiesz gdzie upadnie. Tam, gdzie chcesz. Podbijesz klinem – i umiera na linii twojego oka. A wykrot – to kolejny przypadek. Los. Tak, bracie.

Michał nic mi nie mówił o Szwancu. Nie wspomniał nawet. Trochę patrzę na niego z wyrzutem. I prawie wcale nie zwracam uwagi na nieustanne docinki i drwiny młokosa. Ignoruję przyglupa, choć prowokuje mnie przy każdym zdaniu. Taki gówniarz – dwadzieścia parę – obliczam. Na pewno grubo przed trzydziestką.

Wylewa ostatni sik bladej herbaty z termosu, na którym pierzasty smok obco lśni w tym baraku. I gryzie jego dłoń. A on przegryza jakieś marne ochłapki, które pozostały mu z lasu i popija tą lurą barwy słomy dojrzałego owsa cały czas zezując na piwo.

Dzisiaj piątek. Dziś napije się tyle tego piwa, ile pomieści jego pęcherz. Na cały tydzień mu starczy. Bo pijany do lasu nie pójdzie. Nawet z siekierą. A tylko siekierę ma Szwanc. Z dobrej kwaśnej stali. Znam je – kuja na Śląsku. Tu sprzedają za pół basa kręconej.

Za oknami ciemniej popołudnie... Zgarniam palcem zieloną pleśń szybki.

– Nie patrz – chwytam moje spojrzenie i nerwowy ruch paluchem po oknie Michała. Jeszcze dziś wieczorem będziesz w „Raju”. Ktoś cię sprowadzi. Może Nienasycona?

– Nienasycona? Co za jedna?

– Nie udawaj, że jej nie słyszałeś... Taka jedna... mści się na swoim życiu... A że do pełnej zemsty ciągle daleko ... Może nawet dalej niż po pierwszym sztochu – więc stąd.

Uśmiecham się. Mają rację – trudno nasycić zemstę. Zresztą – tak wyborną. Dobrze wiedzą, że musiałem ją słyszeć. „Daje głos” – tak tu mówią o takich...

Nie bójcie się o mnie – pocieszam ich. – Sam zejść. I odnajdę wasz „Raj”.

– Nic z tego, dobrze wiesz, że mrok zmieszany z mgłą daje ścianę mazi lepkiej jak błoto. Nie wiesz, czy jeszcze idziesz, czy spływasz w odwieczne bagno. I tak dzisiaj nie pojedziesz. Dopiero jutro rano, koło południa...

Michał pierwszy sięga do pojemnika i wyciąga dwie butelki, które otwiera zahaczając kapslami. Tamci powtarzają ruch Michała. Szwanc wypija piwo jednym tchem. Nigdy się tego nie nauczyłem.

Daleko do świata – przerywam gulgot ich gardeł. Michał uśmiecha się złym grymasem. Dziadek kończy kolejną butelkę i delikatnie wkłada ją do transportera.

– Świat jest tam, gdzie ty jesteś – mówią prawie obydwoj patrząc na mnie. – I tam też jest twój czas. Poza tym – możesz zgnoić się w najlepszym świecie. Najelegantszym. W szampanie i koniaku, w kawiarnianych „a” i „e”, w literaturze i sztuce. Także w swojej dziennikarce. Nie myśl, że my tu nic nie myślimy. Nic nie czytamy. Nic nie wiemy o świecie i o sobie. To tylko tak wydaje się twoim kolegom. Może i tobie też.

Czytamy to, co napisali o nas. W tym roku było ich tu z pół kopy... Nie liczymy ciebie, ale na pewno nie jesteś ostatni. Choć pierwszy, który wychylił nos poza „Raj”.

Nie nadaje się do czytania to wasze pisanie. O nas, Bieszczadach, lesie, baranach, nowych szaleńczych pomysłach. Wiesz dobrze o co chodzi... Nikt, żaden z was nie przyjechał tu chwycić za siekiere, choćby łopatę lub motykę, żeby porobić dzień przy sadzonkach z babami.

Żaden z was nie słyszał ich języka. Najmniejszej ich troski czy żalu. Babskiej tęsknoty za dzieciskami zostawionymi w dalekich stąd wioskach. Każdy natomiast przelicza nasze butelki po wódce lub piwie. Liczy dupy, które tu przychodzą. Albo niucha za baryłką goniuchy.

– Piszecie o nas knoty – żali się Dziadek.

– Mity! – ostro wtrąca Szwanc.

– Mam cię, Szwanc – mówię sam do siebie. Ze starannie maskowaną radością. Już cię mam i już jesteś mój.

– Ty też napiszesz o nas wielkie gówno. Nie gniewaj się, że tak mówię – mięknie Michał. – Obijesz delegację po nadleśnictwach i pojedziesz w pizdu. A później przyślesz nam, albo i nie, tę swoją gazetkę. I przeczytamy w niej po raz dziesiąty, że żyjemy tu bez szans na życie. Bez kobiet. Skazani na ostatnie kurwy – oprychy po sezonie. Na to, i na tamto jeszcze...

A to bajda. Bo nasz świat jest tyle wart, co i wasz. Tak samo sześniemy w razie czego. W razie Tego... Pachnące zaś dziwki są tyle warte, co i nasze leśne Mamuny. A robić trzeba wszędzie. Dziś piątek, więc nieco luzu.

Jutro skoczmy z tobą do Sanoka. Nie musisz się martwić. Wyciągniemy cię z „Raju”. Wiemy, że w nim nudno, jak w każdym.

– Odprowadź go, Szwanec – mówi, może rozkazuje Michał. Wstaję. Skrzypią za mną drzwi baraku. latarka z okiem Cyclopa oświetla zaledwie nikły krąg wokół nas.

– Co piszesz? – atakuję niespodziewanie Szwanca opierając się o zgnojony konar buka.

– Skąd wiesz? – zdradza się znowu. I potwierdza moje przypuszczenie. – Żałuję tylko, że nie widzę jego miny. Ma zista ciemność między nami.

– Mit... powiedziałaś po kolejnym piwie. Zdradziłaś się wtedy po raz pierwszy. Wszystkie twoje gówniarskie zgrywy poszły na marne. Nabierałaś mnie do czasu tego słowa. Ktorego nikt tu nie używa. I nikt nie zna.

– Wszyscy jesteśmy nieopowiedzianym mitem – mówi z żalem chłopaka przyłapanego z dziewczuchą. I bierze mnie twardo, pewnie pod rękę.

Szept mżawki zagłusza wezbrany San.

Głupcy wierzą w poranek

Dawno wyszedłem z domu, kiedy słońce na pewno zaszło. I wiem, że już nie wróci. Że nic się nie stanie, co mogłoby zakłócić porządek nowego świata. Więc i ciemność zapadła między wzgórze i napełnia wieś kwadratami żarzących się okien. Dlatego widać krawędzie wsi biegnące obrzeżami wzgórze na styku pól i kosmosu.

Nie jest łatwo wyjść z domu, kiedy dawno zgaśnie słońce. Matka nie wierzy mi wcale. Inni też nie. Mówią, że sprawiam im kłopot. Że wszędzie mi źle: w mieście, na studiach,

na wsi, w domu, a nawet w naszej podłej knajpie, gdzie wszyscy czują się najlepiej na świecie. Ano – muszą mnie pilnować jak dzieciaka. Bo gadam o ciemności i uciekam.

Tak więc niełatwe mam wyjście z domu, gdy słońce zaryje się w tarninę po niewidzialnej stronie wzgórza, najwyższego w dzień i osłaniającego wieś przed zachodem. Ale dobrze – kiedy zauważą, że mnie nie ma – będzie już za późno. A dla mnie bezpiecznie.

Zostawiam zapalone światło w narożnym pokoju i błędę chwilę po asfaltowej dróżce. A później można iść pewnie, bez obawy zasupłania się w niewidzialną sieć mroku dziurawionego świetlnymi punktami okien i rozpylonym światłem chłopskich zagród.

Teraz ominę las i popłynę w soczystej ciemności, w jej gęstniejącej z każdym krokiem mżawce. Już mnie nie zobaczą, nie wytropią psy waszych oczu.

Siadam na chwilę na miedzy zoranej na żyłkę. Ginę w pomroce i słabo jeszcze słyszalnej muzyce ciemniejących sfer. I znowu idę powoli na to wzgórze, z którego stoczyło się słońce i już nie było dla niego powrotu. Nie, nie szukam go wcale. Mógłbym zawsze chodzić w nocy. I nigdy go nie oglądać. Nie jest aż tak bardzo tego warte. Zastępują go błyski rodzących się gwiazd i kapryśne wędrówki księżycy.

Nie mam w tej chwili nic przy sobie. Nawet ułamek tamtej w dole wsi. Ani pyłka cywilizacji. Ja, pierwotny mieszkaniec tej pustej jeszcze ziemi. Może pierwszy, może ostatni. Wszystko poza mną: wieś i miasto. Imitacje zapisanych pergaminów. Wszystkie radości wsi – wesela, chrzty, pogrzeby – wędrujące tą samą drogą. Nawiedzające te same domy, choć w różnej kolejności. Teraz powoli gasną w nich światła.

Coraz wygodniejsza jest moja droga. Kończą się głębokie i kręte wąwozy, ścieżki zaczynają się szerokie i pewne dla moich nóg. Spadają też pierwsze gwiazdy tnąc późno-sierpniowe niebo szybko zablizniające swą próżnię.

Ja – cząstka kosmosu, porowata plazma pnąca się na wierzchowinę – z której widać to, co mnie już nie obchodzi.

Tu także, jak wszędzie nie mam nic dla siebie. Tylko sam jestem oblepiony podczernią niedoskonałej jeszcze ciemności. Bo próżnia wszechświatów rozprasza światło gwiazd – niewyobrażalnych słońc o pustych wypalonych wnętrzach.

Już jestem na tej łagodnej kopule wzgórza. Po obu stronach – wszystkich stronach ciemności – to samo. Inne tylko wioski, inne dogasające bezpiecznie okna.

Widzę swoją ciemną przeszłość. Niezgodę na świat. Na siebie przede wszystkim. I nie wiem, czy chcę siebie ocalić, czy tylko odnaleźć? A może jeszcze raz wybrać siebie z miliona możliwych „ja”.

Nareszcie zgasły światła po wszystkich stronach wzgórza. Część gwiazd spadła także, reszta daremnie usiłuje się zerwać z granatowego błękitu.

Trzeba wreszcie usiąść. Zmęczonym wypatrywaniem stópom dać odpoczynek. Wokół mnie puste bezboża. Szarociemne, od dawna jałowe pola zostawione na poligon zwierzętom i upadającym gwiazdom.

Kiedyś – przecież pamiętam – rosły tu moje lasy pełne brzoź wytępienie na chlebne łany kłosistych zbóż. Teraz są to półciemne, dniem zaś zielone pastwiska, na których zostaną do rana. Choć nie wierzę w poranek. Głupcy wierzą.

Nie wiem nawet kiedy usiadłem. Kiedy położyłem rękę pod głowę i zasnąłem tak twardo, że rankiem zbudziły mnie gło-

sy gromady ludzi albo słońce nachylone nade mną. Tuż przy mnie. Jakbym usnął w samym środku światła.

Wiatru nie było i rosa zaperliła się na mojej sennej dłoni, a wokół pastwiska zieleńsze były od rosy. Podniosłem się i usiadłem. Chłodny pot rosy spłynął z mojej twarzy.

Tak, jednak nadeszli. Znaleźli mnie. Więcej ich było niż trzeba i ucieszyli się mną, jakby znaleźli okruch gwiazdy.

– Dzień dobry – słyszę obłudną pochwałę zaczynającego się dnia.

– Jak się spało? – pyta ten, co jest władzą w gminie.

– Uciekłem od was... To wszystko, co mogę wam powiedzieć.

– Zejdziemy, Ił później pojedziesz z panem doktorem – tłumaczy się Matka.

Tyraliera ludzi straciła rosę z pastwisk, gdy spojrzałem za siebie. Na miejsce mojego snu i słońca. Nie opierałem się. Nie było sensu. Ranek we wsi był jeszcze chłodny, ale mgła unosiła się ku górze. Bo wzgórze parowało już z rosy.

– Będzie deszcz – pomyślałem, że tak powie Matka i przyspieszy kroku.

II.

Najlepiej czuję się w lesie. W wiejskim lesie, dalekim od miasta i ludzi. Od ich rąk, butów i oczu, od których umiera mój las.

Jestem w tym lesie, w miejscach tylko mi znanych – czy na pewno – nie wiem. Chodzę, przenikam pomiędzy brzezina wrośniętą kadrami z filmu Wajdy. Potykam się o dobrze zamaskowane, ukryte przez rębaczy pnie skradzio-

nych im drzew – drewna na ogień, popiół i dym. Zapadam po kolana w doły po wypróchniałych pniach, dawno wymarłych drzew. Płynę w paprociach, to siadam na butwiejących kłodach brzóz o silnej jeszcze, prawie do końca białej korze.

Jestem tu, czy nie? Jeśli jestem – dobrze. Jeśli to sen – w takim razie dobry sen, letni. Sen nocy jeszcze letniej lub marzenie senne uciekiniera ze wsi i miasta. Jeśli za chwilę pojawi się dziewica moru – to śnię na pewno. Ale nie: nie pojawi się ani ona, ani fraza muzyki z sali koncertowej, ani werset poezji. Nic z radia, telewizji, żaden rekwizyt teatru czy antyteatru. Chodzę niemy, odgarniam rzęsy paproci, napinam do wytrzymałości nici pająka przeciągnięte najczęściej na wysokości twarzy. (Tego naprawdę nie lubię). Idę niekoniecznie dalej, idę przed siebie, może po błędnym okręgu koła. Aksamit mchu pod nogami, chore dywany ubiegłorocznych liści i tych umarłych przed czasem, tego już lata. Żadnych odgłosów zwierząt ani ptaków – cisza kliniczna. Cisza sterylna. Bezbolesna i nieskończona.

– Hej, lesie! – Wołam niespodziewanie dla siebie.

– Hej! Ja! – Nic nie odpowiada w kotlinie, w bagiennym jarze. Umarło echo? Tu nic nie umiera. Pasma życia i śmierci niezauważalnie przylega do siebie, nakłada się – pachnie spokojem trwałości.

Siadam na brzegu dróżki. Ślady kół chłopskich wozów, zasnęte odciski końskich kopyt. Indianin odczytałby miniony czas. Wiem, że nie odczytam nic. Nie mam czasu.

Zapalam papierosa. Delikatnie skrzypi zapalka. Ciemniej od niej wokoło. Dlaczego ciemniej? Skrzypnęła zapalka czy sprężyna łożka? Kobięca ręka zapala światło.

– Nie śpimy? Źle się czujemy?

– Śpimy i czujemy się dobrze. Jesteśmy w lesie, siostrzo. W pięknym lesie, piękniejszym od Piękna.

– Mówi pan głośno i pali papierosy – nie ustępuje. – Dlaczego pan znowu mówi o lesie? Nie wie pan, gdzie się znajduje?

– Wiemy doskonale – drażnię ją liczbą mnogą, której nie znoszę w żargonie tego domu, najsmutniejszego miejsca pod światłem.

– Niech pan śpi, bo pomożemy – grozi uśmiechem.

– Nie trzeba. Wypalę ostrożnie, tu nie wolno palić, wiem.

Gasi światło – tłumi las, który nagle szarzeje od chmur nadciągających z zachodu. Daleka jest droga do siebie – mówię stając ostrożnie stopą na nie bardzo wyschniętej koleinie. Daleka droga nim się odnajdę w ponownym zagubieniu. A są przecież gotowe, proste i gładkie drogi moich współczesnych. Wybiorą więc gotową i – spokój. Może warto spróbować, skapitulować? Zgodzić się na siebie byle jakiego – bezpieczną dla wszystkich i siebie nijakość. I nie będę się więcej trudził omijaniem białych, jaśnie pań białych brzoź. Jeszcze kilka garści wielobarwnych piguł polykanych regularnie i – wyjdę z lasu o świcie. O poranku, żeby tylko był. Wtedy, gdy zaczyna się światło.

Tymczasem przede mną – jasna polana. Jasna od brzasku brzoź, choć chmury nadal spływają ze wzgórze na zachodzie. A polana tak jasna, że mógłby tu umierać Lew Tołstoj, a nawet stado komputerów tworzących wojnę i pokój.

– Czy to dobrze, że zawsze się idzie ze sobą? – pytam siostry.

– Co pan robi? Obiecywał pan zasnąć.

– Śnię przecież. Śnię najpiękniejszy sen, siostrzo – Paprotko.

– Wszyscy śpią. Tylko pan przeszkadza...

– Nie przeszkadzam – przekonuję łagodnie. Tylko szukam siebie, choć ciągle ze sobą chodzę. I niby już jestem blisko siebie, a jednak – zawsze nie tam i nie taki, którego chciałbym znaleźć. By móc być sobą... A tamci – macham ręką – śpią snem chemicznym. Ich megatony nie obudzą. Zgadzą się na wszystko. Także na samych siebie. Na takich – jakimi są. A ja szukam i szukam...

Odprowadza mnie do salki o ścianach przesiąkniętych obcym bólem, malowanym co jakiś czas chloropromazyną. Jestem coraz dalej od bezdrzewnej polany o wybujających paprociach skąd prowadzą aleje dróg żłobionych wodą, kołem i kopytami konia. Kłębowisko dróg tutaj. Jak ci chłopci poznają drogę do siebie, do swych zagród, gdzie czyha na nich Los?

Dobrze, że chmury rzedną. Słońce znów widać różowy dysk rzucony przez Boga na bezdroża Mlecznej Drogi. Gdzieś wśród nich zagubiła się Ziemia – moja planeta.

Jeszcze kłęby mgieł, promienie i nieostatnia droga przede mną. Naturalne więc, że korony brzóz bieleją, że brzask się wzmacnia i ogromnieje z każdym krokiem, a soczyste pnie brzóz stają się czarne, hebanowe. Szkoda tylko, że nie ma tu siostry Paprotki. Pokazałbym jej te gęsiego wędrujące brzozy. A może warto spróbować wprowadzić ją w mój sen – autentycznie ogromny las brzóz malowanych bielą rzeczywistej chloropromazyny, Siostrzo! Siostrzo Paprotko! Kruszyńko Prawdziwa, wrosłaś w krzesło i nic nie widzisz. Główkę przekreśla ci pasemko żalu za tymi, którzy nigdy siebie nie szukali. Siostrzo, wróciłem z pięknego miejsca mojego snu... Chcę ci pokazać w nim wszystko.

– Ale pan uparty – nie wierzy mi. – Wszystko się w panu p o t a r g a ł o – cedzi przez zaciśnięte wargi. – Już myślałam...

– ... że nie wrócę. Wrócę, wróciłem pokazać brzozy. Mają białe głowy jak czepek siostry...

Delikatnie gra radio w jej kryształowej salce, VEF 222 – czytam srebrne znaki liter i cyfr w przyćmionym, chorym świetle lampki. I patrzę na jej bezsilność. Siostra – Paprotka, siostra – Kruszynka – powtarzam cicho.

– No, dobrze – posłuchamy razem jak śpiewa Maryla – mówi do mnie prawie błagalnie:

Przytul mnie
Noc jest wielkim, kosmatym
pajakiem
który czyha na nas
Tylko we dwoje
mamy jakąś szansę...

– Słyszysz, siostró – przeszkadzam...
– Tsss – kładzie palec na ustach. – Przecież słuchamy...

Przytul mnie
lampą nocy mi bądź
Przytul mnie
Prowadź poprzez noc
Tam daleko jest brzask
aż nie widać go stąd
Przytul mnie
Z twych ramion zbuduj schron.

- Coś dla pana – mówi wreszcie, choć absurdalnie.
- Nie, to wyłącznie dla siostry, Mnie nic nie trzeba.
- Ale szuka pan ratunku!
- Nie ma go w nikim... Nikim poza mną.
- Już nad ranem. Przyjdzie doktor i pomoże panu.
- Sam wrócę do siebie.
- Pomóc?
- Nie. Nie trzeba. Poza tym – nie wierzę.

Na polanie od razu wyczuwam niepokój lasu. Nagle ogromnieje i rośnie ta niewielka polana bez lasu i życia. Drzewa uciekają w popłochu i wreszcie dzieje się nieprawdopodobne: niepokój drzew, moich przecież brzoź, wybucha niespodziewaną siłą niszczącą te łagodne, duże rośliny. Wałą się nagle same od siebie. Na siebie. Padają i niszczą.

Te przygniecione o korzeniach sterczących w beznadziejne niebo chwytają rosnące, motają i pomagają w upadku. I wszystko w ciszy. Ani szeptu bólu płaczących koron. Młódź tylko ucieka spod walczących olbrzymów.

- Ocalcie dzieci! – krzyczę. – Ocalcie się!

Nikt nie słucha. Moje drzewa, jak nierozumni ludzie drzgotają siebie i spokojnych sąsiadów na drzazgi. Strzaskane pnie spływają sokiem, przeźroczyście krwią lasu. Panika. Muszę ocalić las.

- Chodźcie do mnie – wołam z nadzieją. – Chrońcie się!

Wierzą mi. Garnie się kto może. Więc zagarniam do siebie otwartymi ramionami, otwartymi oczami...

- Jak śpimy? – przeszkadza mi już na początku ocalenia stłoczona wokół mnie grupka ludzi.
- Dziękuję, doskonale.

– Nie spał całą noc – informuje siostra najstarszą, zupełnie białą brzoźkę, cenionego tu doktora o silnym hebanowym dwupniu wyrastającym momentalnie z puszystego dywanu mchu.

– Spałem i ocalałem las – mówię prawdę. – Schronił się we mnie...

I zaraz, nie słuchając mnie, powoli wychodzą. Nie wszyscy mieszczą się w wąskich drzwiach.

W okna tnie deszcz usiłując zmusić tafle pleksiglasu do dźwięku szkła. Zaciskam to otwieram bezradne dłonie powleczone naskórkiem brzozowej kory. Zieleniejąca się zaledwie korona mojej głowy zwisa bezradnie poza poręcz łóżka. Ale nade mną stoi już siostra ze strzykawką. Na igle perli się rosa chloropromazyny.

– Sok z brzozy, siostró Jakaś Tam...

– Naturalnie...

III.

Rodzina wstydzi się mnie. I za mnie. Trwa to od czasu, kiedy tam pojechałem skacowany dotychczasową egzystencją. Więc wszyscy wiedzą, wszystkim interesuje, że ja tam byłem. A mnie to obchodzi bardzo mało. Znacznie więcej intryguje to moją rodzinę, choć i ona jest dla mnie bez większego znaczenia. Staram się jednak nie sprawiać jej kłopotu swoim istnieniem. Nie chodzę do lasu, ani nie wspominam o nim. Zrezygnowałem też z nocnych wycieczek, które oni nazywają ucieczkami. Nadal jednak śledzą każde moje słowo, jakby moje słowa były jeszcze chore. Rozgryzają je i wąż na niewidzialnej wadze wiejskiego rozsądku. Nie przeszkadzam im w tym zajęciu. Równie dobrym jak każde inne.

Kiedyś podsłuchałem: mówi jeszcze głupio, poza tym czuje się dobrze. Niezła diagnoza, a jednocześnie aforyzm wart dobrej pamięci. Dalsza część podsłuchu również interesująca:

– Wyjdzie z tego – pocieszała sąsiadka Matkę – ale się tu nie ożeni. Musi koniecznie gdzieś pojechać.

Prawdopodobnie więc gdzieś pojedę. I to wkrótce. Na pewno do sanatorium, bo coraz częściej jeździ się ze wsi do uzdrowisk, które zresztą są w pobliżu. Wątpię jednak w wyjazd do rodziny w mieście. Nie chcą mnie widzieć od tamtego wydarzenia. Nie, nie spodziewali się tego po mnie.

Na razie rzadko wychodzę z domu, bo poza domem wszędzie są ludzie. A w domu na wsi najczęściej nikogo nie ma. Zwłaszcza w lecie, też jesienią kiedy wieje pustką.

Najdoskonalszą pustką wieje w prawie każde niedzielne popołudnie. Wszyscy wtedy uciekają z domu i odświętnie ubrani idą przez wieś, żeby jej nie odczuć u siebie. Żeby nie dać się jej owładnąć i pożreć. Bo stać ją na to. I dlatego, gdy tylko przejdą – wychodzę na ławę przed dom. Nie rośnie przy niej żadna grusza – czas jej minął, lecz sumak octowiec, krzew zza oceanu. Ziele fatalne w krajobrazie ale sumuje tęsknoty i marzenia ogółu mieszkańców nie tylko mojej wsi.

Jeszcze chwilę patrzę na spóźnialskich lub zmotoryzowanych, i gdy tylko przejdą lub przejadą idę powoli do ławki, gdzie pustka uderza frontalnie. I czuję ją tam w pełni od paru już dobrych lat.

Przyjemny jest naturalny chłód drewnianej ławki. Otwieram brulion i naciskam najnowszy typ długopisu „Zenit 13”. To ich denerwuje, ale faktycznie denerwuje ich

wszystko we mnie. Cały mój świat, każdy mój krok, gest i słowo. Ale ich niezgoda dla mnie jest zaledwie częścią mej niezgody na siebie samego. Najpierw trudno jest cokolwiek pomyśleć. Nawet marzenia są uciążliwe. Musi zapać cisza. Trzeba więc poczekać, aż w kotlinie nad wsią pięknie dzwoni ciszy prawie już jesiennej. Nie drgnie wtedy nawet liść sumaka, i tylko ostatnie motyle lata przelecają nad rowem w głąb ogrodu. Jeśli można tu mówić o jakiejś „głębi”. Najwyżej o jego tajemnicy znanej wszystkim dzieciom wracającym ze szkoły. Jednak te motyle poświadczają istnienie życia. Że coś trwa wokół mnie. Bo oczy Matki stygnące przez kuchenne okno na moich plecach to przecież za mało. Dopiero w samo południe dojrzeźwa słońce na niebie, zawieszona między wzgórzami na linii nieznanym mi praw. Ale dla mnie najważniejszym prawem jest odpoczynek dzisiaj między dwoma dawno zapomnianymi faktami – narodzeniem i śmiercią.

I najważniejszy jest dla mnie fakt – że jestem. Na tej ławie i wszędzie. Więc jestem. I to jest dla mnie sprawą podstawową. Zasadniczą kategorią pobytu wśród ludzi, zwierząt i roślin. Także nieświadomych odłamów gwiazd, które rysują sierpniowe niebo, jak i kamień na polnej drodze – odwiecznych tubylców – rodzących się co roku. Po każdej tęgiej ulewie, pod końskim kopytem i bosą nogą mojej Matki.

To wszystko uświadomiłem sobie już dawno, gdy umarł już przez wszystkich zapomniany człowiek. A ja go pamiętam: jego nie było, choć był jeszcze. Podniósł mnie Ojciec i odsłonił jego twarz nakrytą tanią chustą. Przecież był taki sam, jak wtedy, gdy uciekałem spod jego gruszy.

Ta dziwna przemiana, pierwszy raz wtedy, pierwszy raz w życiu uświadomiona, dała świadomość i mnie. Mojego zagrożenia i potwierdzenia rodzącego się we mnie absolutu, nowego „ja”.

Później pogrzeb przeszedł drogą. Teraz stoi tu moja ławka. Silny wiatr niepokoił żałobne chorągwie. Mżawka spływała po twarzach. Nie wiadomo, kto płakał.

Wiedziałem, że zaraz pobiegnę na jego cierpkie ulęgałki. I już nie będę musiał uciekać.

A teraz cisza. Cisza, która jest duchem pustki. Więc wieje pustką i napełnia się nią kotlina wsi aż po wierzchołki wzgórz spokojem nieba i ziemi. Aż czas zastyga w wieczności i nieruchomieje. Nie ma też ani jednego obłoku chmury. Pustka tego nie lubi.

Wtedy spadają okruchy czasu. Przemielone kości pokoleń, posoka wszystkich wojen i cichnie zawsze pomrukująca machina zagłady. W tej pustce jestem sobą. I pełen siebie. Opada czas, całe epoki, jestem ponad wszystkim co było, jest i będzie.

Spoglądam do tyłu. W tym momencie cień drgnął. Rośnie na północ. Dzień pęka. Ciężar słońca spada na wzgórze, w rzeczywistości poza nawias wzgórza. Za kaplicę z przydrożnym bóstwem w kępach tarniny. Zaraz stan rzeczy potwierdzi motocyklista, później liczniejsi rowerzyści. Na końcu przejdą stare kobiety, które mogły ofiarować się tylko Bogu. Zaraz też wyjdzie Matka. Już wyszła... z kuchni napełnionej żarem i zapachem pierzastego ptaka. Przechodzi obok mnie czule rozmawiając z kotem. To znak, że pora zamknąć zabazgrany notes i zejść ludziom z oczu. W brulionie pozostał już tylko margines. Pozostało więc

miejsce na błędy, które popełnię – ja, człowiek z marginesu wsi – miasta.

Pustka cichnie. Ludzie wracają tłumnie, uginają się pod ciężarem plotek, to pokrzepieni cudzymi nieszczęściami. Ponaglany wzrokiem idę szybko do swego pokoju. Pełnego bałaganu. Od dłuższego już czasu.

W pokoju brata drzwi otwarte na korytarz. Przyszedł jego kuzyn i opowiada o sukcesie z dzisiejszego meczu – miał okazję strzelenia bramki. Już dawno takiej okazji nie miał. Ale nie udało się. Dlatego przyniósł butelkę wódki. Dlatego dzwoni szkło i krztusi się Grechuta na zdartej płycie:

... kto pierwszy był człowiekiem,
a kto chciał zostać Bogiem...

Pustki już nie ma. Popołudniowym autobusem przyjechał On ze stolicy. Do siostry. Dawniej przyjeżdżał do mnie i długo rozmawialiśmy o zasadniczych podstawach bytu i poznania. Teraz siedzi u niej w pokoju. Siostra dużo mówi i owija go niebieską przędzą słów w kokon niezauważalnej niewoli.

Tak mi go żal, a taki jestem bezsilny. On zapewne też, bo skinął mi zaledwie głową.

Pustki na pewno już nie ma. Najmniejszego jej powiewu. Dzień, jeszcze w południe pęknięty i milczący czas. Milionami ziarenek w klepsydrze świata wyklaruje się szarością o zmierzchu. Znowu gęstnieją piski opon ściemniałych motocykli, mieszają się z piskiem dziewcząt i nawoływaniem chłopców. Znowu przyjdzie wieczór, jak każdego dnia przy-

chodzi do mnie ze zbawienną samotnością. Wtedy zasłonię okna w narożnym pokoju przed wdzierającą się ciemnością i przejrzę brulion z dzisiejszymi zapiskami o pustce. Przede wszystkim o sobie. O swojej kondycji i możliwości poranka.

IV.

Nareszcie doszedłem donikąd. I siedzę obok swego cienia. A gdy się tak siedzi, wtedy jest się nigdzie i naprawdę samemu.

Jeszcze nie tak dawno każdy mógł to wypróbować, sprawdzić na sobie, choć to nic przyjemnego. Ale wtedy byli jeszcze wszyscy i z takiej sytuacji łatwo było wybrnąć. Po prostu – zbratać się – jak to mówiono. Pomieszać swój cień z cieniem przyjaciela, kobiety, choćby przypadkowego człowieka.

A teraz – to jestem nigdzie, więc prawie mnie nie ma. Gdyby nie ten ból oczu, który każe mi je otwierać lub zamykać – zapomniałbym już dawno o sobie w ostatnim śnie na Ziemi. Bo wszystko zaciera się w pamięci, nawet rodzinny dom, moja wiejska chałupa na nieistniejącym już Podkarpaciu.

Ale boli mnie dzisiaj ten piach mroku pod powiekami! Ocieram, drażni soczewkę oka i powieki mam spuchnięte. A oczy – puste: bez rzęs i brwi. Nie wiem, kiedy się widziałem po raz ostatni. Bo lustro stłukło się jak tamten świat – przez nieostrożność. Deszcze padają rzadko a kałuże parują natychmiast w upalne dni. Wyschną, nim zdążę się przyjrzeć sobie – żeby móc siebie zapamiętać.

Te wzgórza naprzeciw mnie – to już nagie gołoborza. Pustynne. Trawę zjadła szarańcza. Potem sama padła z głodu; tak dziwnie nogi skrzypiały w jej kilkucalowej warstwie. Nie można jej było ominąć – leżała wszędzie. Wbijają się między palce nóg. Bolały od niej stopy i oczy. Silny wiatr sypał z niej wydmy i w następnych porywach huraganów przenoślił coraz dalej. Na tym zaś miejscu pojawiała się nowa. I długo to trwało.

Dlatego pustynia rosła aż po zastygły skrzep horyzontu, a pusta półkula widnokregu wypełniała się o zmroku, który zapada nagle. Niespodziewanie, nie jak dawniej pozwoli, że mogłeś iść wieczorem z dziewczyną gwizdząc melodię lub słuchać jej słów, a wieczór stawał się, przechodził nie wiadomo kiedy w noc. Twoją noc. A teraz nie ma wieczorów i nie ma kobiecych słów. Bo nie ma i kobiet. Jak dotąd – nie spotkałem żadnej w swej półnagiej wędrówce donikąd.

I nie ma też zimy. Pada tylko lód. Drobny jak kasza manna – kiedyś utrapienia dzieci do lat trzech – aż po bryły lodu trzaskające po kamiennych wzgórzach rozległym łoskotem. A kiedy łomot ustaje – wychodzę z jamy i patrzę na barwne gruzowisko nieba. Mieni się potrzaskaną tęczą.

Kiedy słońce gaśnie – gaśnie nagle, upiorne jak Zła Gwiazda. I razem z nim znika mój cień. Zapada się we mnie. Nie widzę go, nie słyszę, nie włączę się za nim. Nie staję mu po piętach i nie próbuję dogonić jego pustej wydłużonej głowy. Dobrze mi, że jestem bez niego. Niewidomy to i głuchoniemy świadek, zresztą – ostatni jaki mi pozostał w podobnej do niego pustyni. Świadek bez płci i imienia, całkowicie zależny od moich coraz powolniejszych ruchów

i ostatnich sucharów w torbie. Cieszę się, że niemy. Bez słowa skargi czy życzeń pod moim adresem. Jedyne, co włości się za mną, ja za nim.

Więcej nie mam nic. Może jeszcze ta stara brezentowa torba – prezent Joanny na moje 44. urodziny. W niej zaś dwa płaskie kamienie do mielenia sucharów ocalałych z ostatniej ludzkiej bitwy. Kiedy to wybili się o idee bardzo ważne dla istnienia świata.

Patrzyłem się bez politowania i ciekawości, czekałem tylko aż ustaną, aż wykończą na sobie zapasy amunicji i będę mógł iść do lasu zanurzyć się w paprocie i pierwsze rośliny mojej ziemi. Ale, kiedy już nie było nikogo poza mną – ich Broń nadal trajkotała w kotlinie mojej wsi, to na wzgórzach pod dawnym błękitem wisiała przemielając wieś na piasek pustyni.

Musiałem długo siedzieć w kryjówce odchudzając swój cień w płomieniu łójówki, bo Broń strzelała do przelatujących ptaków, już ostatnich, które mogły lecieć do umierających – niegdyś moich lasów; zabijała zdziczałe koty i bezpańskie psy. Chmary szarańczy, jakichś mutantów wielkości nietoperzy i pluskwiaki pożerały odradzający się chlorofil traw, liści i korzenie lasu, wszystkiego, co miało choćby okrusz życia w sobie.

Ile to mogło trwać? Jak długo? Nie szukam teraz odpowiedzi. Nie jest już ważna żadna odpowiedź ani żadna przeszłość, kiedy nie ma terażniejszości. I tak jest zawsze, gdy żyje się poza czasem, gdy jedynym jego pomiarem jest suchar kruszony dwoma kamieniami i miejsce na kałużę drążone w niegdysiejszej ziemi.

Teraz znowu noc, Niebo jest bardziej czarne niż dawniej, pewnie dlatego, że Broń spaliła błękit. Więc i noce są zimne,

dnie zaś bardziej upalne niż być powinny. Niż kiedyś były, gdy nie miałem nic prócz teraźniejszości.

Wyschniętą i splekaną dłonią dotykam głowy i twarzy. Nie mam włosów ani zębów. Brezentowa torba jest jeszcze silna, choć spłowiała z niej ostatnia zieleń mojej kiedyś ziemi. A w torbie – tyle, co powiedziałem. Kiedyś, zaraz po tym co się stało, miałem w niej resztki cywilizacji. Ogryzki ołówków, skrawki papieru, który burze niosły po Wielkim Ogniu. Papieru było szczególnie dużo, raczej niedopałków jakichś książek ze wszystkich dziedzin ludzkiej mądrości; gazet, w których odmieniano przez wszystkie przypadki, sytuacje i języki słowo „pokój”. Na diabła się to zdało, kiedy spalono niebo i ziemię.

Ja już wtedy pisałem. Na przekór sobie i nadziei. Sobie i światu, który musiał zginąć. Bo coraz więcej było doskonalszej broni i coraz mniej oczu, które ją widziały. Starą broń publicznie niszczone przy poklasku tłumu w lunach jupiterów, a nową, jeszcze doskonalszą – wieszano nad nami.

Więc najciekawsze moje zdarzenie było wtedy, po tym wszystkim, co zniknęło, gdy znowu wróciłem do swej pierwszej bazy, i wśród szpargałów znalazłem maszynopis swego wiersza z uwagami redaktora działu poezji. Tuż pod tytułem, lekko osmalonym, przeczytałem słowa recenzenta: „Wiersz nieco strzelony”...

Napisałem go tamtej jesieni, gdy była jeszcze jesień i pokój był pewny. Pamiętam – okrągły, mahoniowy stół, coca-cola, braterskie uściski jutrzejszych wrogów na śmierć i życie. Na śmierć życia i śmierć śmierci. Nie pamiętam, kiedy otrzymałem go z powrotem. Znowu trafił do mnie. I po raz pierwszy uśmiechnąłem się, czytając zapomniane słowa:

Głupcy wierzą w poranek
w promienną przygodę
wydartą umarłym
w namioty pachnące obcymi
kobietami, wino i goździki
gwiazd miłosnej nocy

jak dzieci, jak skauci

świat się nigdy nie zaczął
i zawsze się kończy
pewność, że zobaczysz się w
lustrze rosy – jest złudna

...

w poranek wierzą głupcy –
zapisane wieczorem bez daty.

Wyszedłem z tym wierszem dalej od swej jamy, na pustą przestrzeń, pewny, że wisząca nade mną w resztkach powietrza Broń wystrzelała się już ze wszystkiego do wszystkiego, co żywe i w ruchu; dawno jej przecież nie słyszałem. I wtedy, świecąca nocą blisko ziemi Gwiazda Zagłady, odezwała się po raz ostatni właśnie do mnie. Ale niezbyt już celnie. Pociski koziółkowały po moim cieniu i zapaliły go. Rzuciłem się mu na ratunek. Wtedy jeszcze nie mogłem zostać sam. Nie umiałem. A potem, z każdym dniem żałowałem cienia i siebie. Że Broń pomyliła mnie z nim. Bo cień nie skoczyłby mi na ratunek. Zginałbym razem z nim. Ale wtedy z pewnością nie było między nami żadnej różnicy.

Pamiętam – śmiałyśmy się obaj. Trwało to parę, może kilkanaście sekund, kiedy na naszych pustych oczach baterie Złej Gwiazdy wyczerpały się i nastąpiło jej zaprogramowane samozniszczenie. Daleko od nas posypały się krople metalu – zastygłe lzy. Byłem ostatnim celem.

A potem był poranek. Uwierzyłem, głupi. Wyszedłem na drogę, którą zawsze chodziłem do najbliższego Miasteczka. Była pokryta jakąś dziwną powierzchnią. Stałem ostrożnie i zaraz porwałem stopę. Jakieś bakterie, może glony wielkości włoskiego orzecha pożerały asfalt. Bąble wypełniała parząca substancja zapalająca się fioletowym płomieniem w ukropie poranka. Od tamtej pory omijam drogi umarłego świata.

W Miasteczku nie było miasteczka. Nic i nikogo. W kolegiacie grzmiącej dawniej wszystkimi modlitwami nadziei, znalazłem – nigdy bym nie sądził, że historia się powtórzy – obraz Matki Boskiej Ognistej. Kiedyś cudownie ocalał w jednej z wojen. Zabrałem go ze sobą i powiesiłem na fragmencie domu, na którym został ślad – cień Joanny.

Uparta była jak żona Lota. Nie zdążyła dobiec do bazy, gdzie na nią czekałem. Ciągle za mało było jej Rzeczy...

Po wielu miesiącach, gdy wyszedłem z ziemi, zauważyłem na murze jej cień. I ślad uciekającego warkocza. Nie umieraj Hiroszimo... nie umieraj Joanno – powtarzam zawsze, kiedy tam przechodzę z pustymi dłońmi. Bo wraz z nią umarły wszystkie kwiaty.

Śniła mi się wczoraj. Śni mi się od kilku nocy: biegnie do mnie z wrzosami tamtej jesieni...

Znowu otwieram oczy... jakby mniej bolało... wokół mnie znani lekarze z Miasteczka. I Joanna – nachylona nade mną.

– Zabrałam cię stamtąd. Nie jesteś już w szpitalu. Nigdy więcej nie będziesz... Ale mówisz przez sen – zaczyna znów trajkotać jak Zła Gwiazda – takie straszne rzeczy. Uciekasz... Co się z tobą dzieje?

– Opowiem ci jak doszedłem donikąd – zaczynam.

Ale choć oczy już mnie nie boją, zamykam powieki. Wyciągam jeszcze rękę po ostatniego suchara, ale jest już tak słaba, że nie wraca do mnie nawet pusta.

– Wszystko już się zdarzyło – mówię szeptem – więc czas i na mnie.

Wokół pękały kamienie.

MACIEJ ANTONI SUSZEK

Biedrusko, II nagroda

Laluś

– Piasek. Znowu piasek. Odbija słońce i razi w oczy. Jestem głodny i chce mi się pić. – Pić! Pić!

– Znowu gapią się na mnie. Wszyscy czterej. Buła, Jacy, Gruby i Marek. Marek... – tego jednego mi trochę żal. Nieprawda! Wszystkich mi żal! Jak długo można uciekać? To żelastwo jest coraz cięższe. Ale potrzebne. Żywym mnie nie wezmą...

Nogi w spodniach „moro” i w butach na grubej, gumowej podeszwie, niemal w miejscu mieszają piach stromego podejścia w sosnowym lesie.

– Muszę trochę odpocząć. Ale dopiero na górze – wycharczał.

Dokładnie obmacał wzrokiem okoliczne krzewy. Niby nikogo nie widać, ale to nic nie znaczy. Przesunął bezpiecznik do pozycji „ogień pojedynczy”. Nabój jest w lufie cały czas.

Na wierzchołku położył się w płytkim wykrocie, z głową opartą o szorstki pień sosny. Oddychał ciężko, chrapliwie. Powoli zatracił poczucie czasu. Płynące przez głowę majaki spletały się z rzeczywistością.

– Jak długo jeszcze wytrzymam? A może by tak od razu? Przecież i tak z tego nie wyjdę – spojrzał w ciemny otwór lufy. – Szukają mnie już pewnie wszędzie. I nie będą się bawić. Zastrzelą. Właśnie! Oni mnie... Po co mam to robić sam?

To Buła zaczął. Pikuś wyznaczył go dowódcą drużyny. Już po kilku dniach się zaczęło:

– Te, Lalus! Jak jeszcze raz przez ciebie podmoczę dupę, to pożałujesz!

Lalus... I tak już zostało. Lalus. Miał być oficerem, nie lalusem. A jak się ma dwadzieścia lat, to się czasami dostaje małego rozumu.

– Te, Lalus! Dzisiaj przyjmiesz za mnie służbę – oświadczył w sobotę Gruby. – Pan podchorąży idzie sobie p..., a ty pewnie nawet nie wiesz, po co baby mają te sikaczki między nogami!

Dobrali się do niego. Dlaczego akurat na niego musiało trafić? Do kogo miał iść na skargę? Do zastępcy? Jeszcze nie zgłupiał. Tak. Wtedy jeszcze nie zgłupiał.

– Lalus!? Co jest? Podkablowałeś nas? Nie? Jak to nie? Pieprzysz. Lalus, przecież tylko ty wiedziałeś, że się urywamy w nocy. Chodź, no chodź, pogadamy sobie!

– Lalus! Stary cię woła! – i znacznie ciszej:

– A podpierdol na drugi raz, to pożałujesz, że cię mać porodziła!

– Obywatelu kapitanie, szeregowy podchorąży Cienkosz melduje się na rozkaz!

– Siadaj Cienkosz! Nie mam czasu na długie pieprzenie się z tobą. Wojsko to jest twarda szkoła. Gadaj zaraz – dostałeś po pysku? Od kogo? Od kolegów? Za co?

– Jak to – nie dostałeś? Te oczy to ci krasnoludki podbiły, co? Nie chcesz gadać, Cienkosz, to nie. Wasza sprawa, podchorąży. Ale zapamiętajcie sobie, że już nie tacy jak wy u mnie pękali. Spojrzał na niego koso i dodał:

– Z taktyki macie dwóję. No to się pouczycie. Zatrzymuję wam przepustki, dopóki nie poprawicie tego baniaka. Jasne?

– Obywatelu kapitanie, przecież miałem jechać...

– Macie rację, Cienkosz mieliście jechać do domu – podkreślił.

– Ale, obywatelu kapitanie, proszę...

– Dosyć! Jesteście wolni!

A Kasia czekała. Zresztą nie tylko wtedy. A żaden z tych wypasionych byków na pewno nie wiedział, bo nie mógł wiedzieć, co to znaczy, jak z każdym dniem dziewczyna przecieka ci między palcami. Jak woda.

Taaak. Ale to było dawno. Na pierwszym roku. To już historia. Wydaje się, jakby to było sto lat temu. Teraz ucieka dopiero trzeci dzień, a wydaje mu się, jakby uciekał przez całe życie. Uciekał przez całe dwadzieścia jeden lat.

Trzasnęła złamana gałązka. Drgnął i jak żądło wysunął lufę karabinka. Ktoś szedł przez zarośla. Jeszcze daleko.

– Dostali mnie – pomyślał i zdziwił się, że nie budzi to w nim emocji. – Chciałbym się porządnie najeść. Jestem

głodny. I chce mi się pić. Gdybym tak wstał, podniósł ręce nad głowę i pozwolił się wziąć, to może daliby coś zjeść. I może daliby mi coś zapalić. A potem? A potem sąd, wyrok i kat. Kat – wzdrygnął się przerażony i silniej ścisnął kolbę. – Żadna różnica – z pełnym czy pustym brzuchem. I tak przecież wszyscy trafimy do piachu. Ale kat?! Nie! Nigdy! Jak tylko wyjdą z krzaków pociągnę długą serią nad głowami i odsłonię się. Mają chyba dobrych strzelców. Przy odrobinie szczęścia nawet nie poczuje bólu – szeptał spieczonymi wargami. – Pomodlić się! Szybko! Pomodlić się!

W głowie miał pustkę. Nie mógł sobie przypomnieć żadnej ze znanych kiedyś modlitw. Zupełnie tak, jakby On, Ten, tam w górze, nie chciał wysłuchać jego modlitwy. Nie chciał, bo gdyby wysłuchał, to musiałby mu przebaczyć. A przebaczyć nie mógł. To znaczy, mógłby przebaczyć, ale nie chce.

Wzrok skakał z jednej kępy leszczyn do drugiej. Z której wyjdą? Palec lekko przycisnął spust. Daleki trzask gałązek ustał. Teraz słyszał wyłącznie dzwoniącą w uszach, majową, przedwieczorną, pachnącą życiem ciszę. Lewa dłoń, przytrzymująca magazynek broni, zaczęła nagle drżeć. Utrzymywana na przedłużeniu wzroku, w jednej linii muszka i szczerbinka, rozbiegły się.

– Jak On, Ten, tam, w górze, się nazywa – starał się sobie przypomnieć, a wyobraźnia podsuwała wychylające się spośród gałęzi, zielone hełmy. – Jak On się nazywa, do cholery, jak On się nazywa...

Cisza trwała nadal. – Przyczaili się – pomyślał, równocześnie gorączkowo szukając w pamięci imienia Boga. Bezskutecznie. Policzek przyciśnięty do kolby zdrętwiał, a na

palcach ściskających lakierowane drewno wyczuł wilgoć. Płakał. Łzy same wypływały z kącików oczu, przedzierały się przez trzydniowy zarost i kapały na palce trzymające gotową do strzału broń.

Nadal było cicho, ale nie dawał się zwieść pozorom. Był pewien, że po niego idą.

(...)

Znowu trzasnęły złamane gałązki. Jakby bliżej. Idą. Serce skoczyło mu do gardła. Poczul ból i odruchowo podniósł drżącą, lewą rękę do twarzy. Zęby miał głęboko wbite w dolną wargę. Chciał otworzyć usta i nie mógł. Starł z brody krew i oddychał, ciężko sapiąc, przez szeroko rozwarte, drgające nozdrza.

Krzew leszczyzny jeszcze się nie poruszał, a stąpanie po uschłych gałązkach stale się przybliżało. Nadal nie mógł sobie przypomnieć żadnej modlitwy. W zakamarkach pamięci pojawił się krzyż. Wbił się w niego, próbując o coś prosić, za coś przeproszać. Twarz wykrzywił mu bolesny skurcz. Tężejące guzy mięśni na policzkach odsłoniły zakrwawione zęby. Zwierzęcy strach zjeżył mu włosy na głowie. Dłonie przestały go słuchać. Całą resztą woli próbował nacisnąć język spustowy. Bezskutecznie.

Krzewy gwałtownie rozstąpiły się i we wnękę między drzewa wyszła dziewczynka. Dziecko przykucnęło nad kępą konwalii i małą rączką pogładziło białe kwiaty.

Przez chwilę nie wierzył oczom. Kilka razy gwałtownie zamknął powieki, starając się spędzić widziadło. Dziewczynka nadal gładziła kwiaty. Wyraźnie widział małe paluszki, dotykające białych, pienisto kwitnących roślin. W przeblasku świadomości uzmysłowił sobie co by się stało, gdyby mniej

się bał, gdyby oporny palec na zimnym spuście... Z ust wyrwał mu się przeciągły, wibrujący strachem łęk.

Mała poderwała się przerażona:

– Dziadku, dziadku! Tu leży pan! – usłyszał i zapadł w ciemność. Znowu był w szkole. Z nimi. Marek miał oczy jak żaba. On jeden zwracał się czasami do niego po imieniu i w jego ustach to brzmiało normalnie, nie zmuszało do ostrożności. Jeżeli zwracali się do niego w ten sposób pozostali, to należało być czujnym. Z czasem nauczył się żyć na granicy dwóch światów. Pierwszego, realnego, z pobudkami, capstrzykami, zajęciami, posiłkami, nauką i całym codziennym młynem i drugiego, świata, w którym nie odkrywał się, nie wchodził nigdy w otwartą przestrzeń. Świata, w którym musiał być czujnym, gotowym do natychmiastowej ucieczki. Nawet w nocy. Przyzwyczał się. Tylko słowo „Laluś” nadał trząskalo w niego jak batem.

Kasia przyjechała w sobotę około czwartej.

– Cienkosz! Laluś! Jakaś dupa do ciebie! – krzyk dyżurnego niósł się korytarzem jak pohukiwanie sowy. Drgnął nad rysowaną mapą. Zielona kredka, którą starannie wyrysował brzeg lasu, zjechała ostrą linią w dół. Udał, że nie słyszy. To też była metoda. Nie reagować. W końcu im się znudzi i dadzą spokój.

– Laluś! Co jest? Głuchy jesteś?

– Odpieprz się – mruknął nie podnosząc wzroku.

– Jak chcesz! Ale z dyżurki dzwoniли, że ktoś na ciebie czeka. Jakaś – spojrzał na karteczkę – Dziwnowska.

– Jak? Może Milnowska? – zapytał z nagłą nadzieją i ugryzł się w język. Buła i Jacy przyglądali mu się z kąta sali.

– Może. Mogłem źle usłyszeć.

– Te, Laluś! Przedstaw nas narzeczonej – wrzasnął Jacy.
– Chłopaki! Wesele w rodzinie! Laluś będzie się żenił – dodał Gruby.

Trzęsącymi się rękami złożył kredki. Przy wyjściu zatrzymał się na moment i spojrzął na nich:

– Słuchajcie... Dajcie mi dzisiaj spokój – poprosił.
– Człowieku, Marianku, jasne! – krzyknął Buła. – Nawet mapę za ciebie skończymy!

Wybuchnęli śmiechem. Ścierpła mu skóra.

Kasia miała ciepłe, suche wargi i pachniała znajomo. Usiedli przy stoliku w poczekalni. Trzymał ją za ręce i nie bardzo wiedział co mówić.

– Marian, nie przyjeżdżasz, co się stało? Teraz też nic nie mówisz... Słuchaj, jak masz mnie dosyć, to może ja sobie pójde...

– Zostań! – prawie krzyknął. – Zostań.

Gorączkowo mówił jej o nawale zajęć, o egzaminach, poligonach, o tym, że do świąt pozostało już tylko kilka dni. Opowiadał, przerażony tym, że mogłaby wstać i po prostu sobie pójść, a równocześnie kątem oka obserwował drzwi. Wiedział, że przyjdą. I przyszli.

Najpierw Jacy. Zajrzał do środka, otaksował dziewczynę uważnym spojrzeniem, później, nie zwracając uwagi na jej pytający, zaskoczony wzrok, podniósł z uznaniem kciuk i mrugnął do niego.

– Stary – powiedział – o niebo lepsza od tamtej i wyszedł.
– Twój kolega? Dlaczego go nie przedstawiłeś? Co on mówił? O jakiej „tamtej”?

Zaczerwienił się jeszcze bardziej. – On tu wróci – mruknął patrząc na ziemię. – Oni wszyscy tu przyjdą.

– Kto przyjdzie? Marian, o czym ty mówisz?

– Nieważne.

Przyglądała mu się przez chwilę, trochę zaskoczona i trochę zła. – Jesteś jakiś taki... dziwny. Co się stało?

– A co się miało stać? Wydaje ci się – odparł szybko.

Wszedł Buła. Poczul w piersiach kawał lodu.

– He, he, Marian! – udał zdziwionego. – Co jest? Już sobie nową lalę namotałeś? Szybki jesteś – powiedział niby z uznaniem i poszedł.

– Słuchaj – powiedział szybko – to taki zwyczaj. Oni tak wszystkich. Tak się wygłupiają.

Spojrzała na niego bez słowa, tylko jej oczy stały się nagle zimne.

– Cześć Marian! – Gruby uśmiechnął się w progu.

– O! – zdziwił się. – Nowa sztuka? Dobra! – pochwalił i wyszedł pogwizdując pod rzadkim wąsem.

Wyjęła palce z jego dłoni i pochyliła głowę.

– Kasiu, wszystko ci wytłumaczę! – szepnął rozpaczliwie.

– Nie trzeba. Wszystko rozumiem.

Próbował ją zatrzymać, prosił, namawiał, przekonywał.

– Do widzenia, Marian.

Płakała.

Zimna wściekłość ogarnęła go nagłą falą. Zacisnął pięści i ruszył w stronę kompanii.

Musiał dziwnie wyglądać, bo kiedy wszedł, w sali zapadła nagła cisza. Podszedł drewnianym krokiem do siedzącego najbliżej Grubego, nerwowo przełknął ślinę i z całej siły, pięścią, uderzył go w twarz.

Do wieczora czuł ból w wykręconych ramionach i chłód wody, którą oblali go w toalecie.

Woda. Chłodna woda. – Pić! – poprosił.

Szyjka butelki z herbatą zadzwoniła o zęby. Chłodny strumyk spłynął po szyi, pod kołnierz munduru. Otworzył oczy. Zielone korony sosen nabrały wyrazistości. – Mają mnie! – przeraził się i usiadł. Wystraszonym wzrokiem rozejrzał się wokół. Spodziewał się tłumu wpatrzonych w niego postaci w mundurach, trzymających gotową do strzału broń. Las był cichy i pusty.

– Leż spokojnie, synu. Odpoczywaj – stary spróbował popchnąć go z powrotem na ściółkę. Pokręcił przecząco głową i podniósł do ust butelkę. Nie czując smaku, wypił chłodny płyn do ostatniego łyka. Zdyszany, po raz drugi przecząco pokręcił głową.

– Nie trzeba. Już mi lepiej.

– Na ćwiczeniach jesteście? – dopytywał się stary.

– Tak – skinął głową, uważnie lustrując wzrokiem krzaki.

– Zgubiłem się – wycharczał. – Jak dojść do szosy?

– A będzie z kilometr – stary machnął ręką w stronę prześwietającego przez gałęzie, zachodzącego słońca. – A głodny nie jesteś? – dodał przyglądając mu się z uwagą. – Nie wyglądasz dobrze i krew ci leci z ust. Możeś chory?

Z wysiłkiem dźwignął się na kolana i sięgnął po broń. Odłączył magazynek i spojrział do środka. Żółtozłote naboje były na miejscu.

– Jakaś zgłodniał, to chodź z nami, tu zaraz mieszkamy, niedaleko. No i umyjesz się trochę, bo cię ci twoi nie poznają – zaprosił stary.

– Nie, nie – powiedział szybko. – Nie mogę zejść z posterunku, wie pan, rozkaz!

Stary przyglądał mu się gładząc jasne włosy dziewczynki.

– No to może przynieść ci, chłopcze, coś do jedzenia?

– Tak – wyrwało mu się. – Tak – poprosił ciszej. – Może nawet trochę więcej... Kto wie jak długo przyjdzie mi tu jeszcze czekać? Nic specjalnego, wystarczy mi chleb i może trochę wody.

Poszedł za nimi. To mógł być wybieg starego. Z oczu patrzyło mu chytrze. Po chwilach panicznego strachu przyszło odprężenie. Kręciło mu się w głowie i miał miękkie kolana. Z trudnością skradał się od pnia do pnia za majaczącymi w dali sylwetkami.

Leśniczówka była niewielka. Na piaszczystej drodze nie zauważył świeżych śladów opon. Było cicho. Stanął za kępą krzewów z bronią w trzęsących się dłoniach. – Jeśli tam są, to właśnie teraz powinni wyjść – pomyślał. Nadal było cicho. Czekał.

– No, to co macie, Cienkosz na swoją obronę? – Pikuś spojrzał niecierpliwie na zegarek. – Jak zwykle nic? Tak po prostu walicie kolegę w twarz i nie macie nic do powiedzenia? – A wy? – spojrzał na Kowala.

Gruby spuścił głowę. – Nie wiem, obywatelu kapitanie. Czasami ludziom odbija. Ale właściwie to nic się przecież nie stało – dodał.

– W porządku, Kowal. Nie ma skargi, nie ma sprawy. Spiejrajcie stąd. Obaj. Ale ty, Cienkosz, nie myśl sobie, że ci to puszczę płazem. Jeszcze sobie pogadamy – zagroził.

Długi korytarz był ciemny. Wytarł spocone czoło i zauważył, że drżą mu dłonie. – Przecież teraz to oni mnie wykończą – przyszło mu do głowy. Pikuś dał im wolną rękę. Nawet mi nie wstrzymał przepustek.

– Widzisz, ty...? Z nami, Lalus, nie wygrasz – gorący szept Grubego na karku. – Lepiej od razu pisz raport, że rezy-

gnujesz ze szkoły, bo i tak będziesz musiał spieprzać stąd. Myślisz, że możesz mnie bezkarnie uderzyć?

– Czego, kurwa, chcecie ode mnie?! Za co się na mnie mścicie?! Co ja wam takiego zrobiłem? – krzyknął.

– Podchorąży Cienkosz! – Pikuś stał w otwartych drzwiach kancelarii. – Chodźcie no tu!

Podszedł posłusznie, pociągając nosem. Czuł jak lewa powieka skacze w mimowolnym skurczu.

– Słuchajcie. Cienkosz! Bijecie kolegów po twarzy, ciągle są z wami jakieś kłopoty, a teraz jeszcze na dodatek wrzeszczycie w kompanii, jakbyście byli w lesie. I jakby tego było mało. używacie wulgaryzmów. Miesiąc bez przepustek, Cienkosz – dokończył ciszej. – Jasne?

– Obywatelu kapitanie, chciałbym porozmawiać – zdecydował się.

– Nie mam z wami o czym gadać. Porozmawiamy jak się poprawicie.

Całe popołudnie wkuwał taktykę. Nie szło mu. Wiedział, że to zaliczenie jest bardzo ważne, ale długie rzędy liter w skrypcie pozostawały nieczytelne. Przed kolacją podszedł do niego Roman:

– Marian, przyjdź na chwilę, chcemy z tobą pogadać.

– Kto?

– Noooo, my. Drużyna.

– Kto cię przysłał?

– Nieważne. Jesteśmy wszyscy. Pikuś chce, żebyśmy z tobą pogadali.

– O czym? – zapytał i pomyślał: – Napuścił ich na mnie. Wszystkich.

– Cholera jasna. Marian, nie utrudniaj mi. Myślisz, że nie widzimy co się z tobą dzieje?

Siedzieli na łózkach. Stał przy oknie i popatrzył na nich obojętnie. Buła coś mówił. Nie słyszał go. Przed oczami miał jego podnieconą twarz, kiedy przyprowadzili tę blondynkę, wtedy, kiedy go przywiązali do łóżka. Buła skończył gadać i zapadło milczenie. Stał nadal pod oknem w milczeniu, z rękami z tyłu, aż któryś z nich chrząknął niezręcznie.

– Słuchaj, Marian – Lufa wstał z łóżka. – Wygląda na to, że z tobą jest coś nie tak. Co jest grane?

Co miał im powiedzieć? O tym, jak ci czterej robili z niego mężczyznę? O Kasi? O tym, że to właśnie oni nazwali go Lalusiem? Że się z niego śmieją?

– Podobno wiecie o co chodzi? – zapytał chrapliwie. – A jak wiecie, to przecież nie ze mną powinniście rozmawiać.

– Te. Luluś! – Lufa złapał go za klapy. – Ty rozrabiasz, a Pikuś nam wszystkim dobiera się do piór!

– Spokój. Lufa! – przywołał go do porządku Ruda. Buła uśmiechał się pod nosem.

– Co spokój, co spokój – Lufa puścił go i odwrócił się. – Chodzi nadmuchany, gada z nami jak z łaski i jeszcze podpierdala! Sam przecież mówiłeś, że was podkablował, może nie? Słuchaj, Luluś! Masz być od dziś normalny! Od zaraz, rozumiesz? Bo jak nie, to pogadamy z tobą inaczej!

Wzruszył ramionami i wyszedł. – Masz być normalny – tłukło mu się po głowie. – Normalny... może rzeczywiście nie jestem normalny? Usiadł nad skrypcem i patrząc na czarne rzędy liter raz jeszcze przypomniał sobie wszystko. – To przecież nie ja, to oni są nienormalni! – doszedł do wniosku.

Trzasnęły drzwi w leśniczówce. Drgnął i mocniej przycisnął do policzka kolbę broni. Stary wyszedł przed próg, zmrużył oczy i przełożył pękata reklamówkę z ręki do ręki.

Cały czas celując w drzwi cofnął się głębiej w las. Stary był sam. Wolnym krokiem wszedł między pierwsze drzewa. Cienkosz odczekał kilka sekund. Nadal nic się nie działo. – Mógł przecież zadzwonić – przyszło mu do głowy na widok rzędu słupów przy drodze – a oni kazali mu pewnie, żeby go zatrzymał. Żeby zagadał chociaż przez kilka minut. Żeby dał im czas na to, żeby mogli go zabić. Przez moment chciał podbiec, wyrwać staremu torbę z jedzeniem i uciec.

Jedzenie. Wizja świeżego, kwaśno pachnącego chleba była tak silna, że jęknął mimo woli. Jeszcze jako dziecko czekał aż matka ukroi przylepkę ze świeżego bochenka:

– Masz. Maryś! Rośnij duży i mądry, mamusi i tatusiowi na pociechę. Kim będziesz, jak dorośniesz? – pytała za każdym razem.

– Oficalem – odpowiadał, czując w ustach smak chleba.

Śmiała się wtedy. – Mój ty mały oficelku – mówiła wicherząc mu pieszczotliwie włosy. Podobnie jak chleba, zapragnął nagle dotknięcia jej palców. Czuł, że wszystko od razu byłoby łatwiejsze, bardziej proste.

Stary zniknął za krzakami Cienkosz przyspieszył. Słyszał tętniącą w głowie krew i nogi miał nadal jak z drewna. – Hej! – próbował krzyknąć. Nie udało się. Ze spieczonych ust wydobyło się ledwie słyszalne mruknięcie. Nabrał powietrza w płuca i spróbował jeszcze raz: – Panie!

Dziadek zatrzymał się i czekał na niego nie spuszczając oka z broni:

– Co to, synku, strzelać do mnie będziesz? – zapytał podnosząc brwi.

Cienkosz zmieszał się. – Nie, to tylko takie przyzwyczajenie – wychrypiał. – Zresztą mam tylko ślepaki – skłamał.

Stary podał mu ciężką, plastikową torbę. – Masz, chłopcze, i jedz na zdrowie. A jak długo jeszcze masz tu stać? Może ci twoi o tobie zapomnieli?

Nie zapomnieli. Nie mogli zapomnieć – pomyślał. Wolną ręką przycisnął paczkę z jedzeniem do piersi. Skurcze żołądka nasiliły się, usta miał pełne śliny.

– Dziękuję panu, to ja już sobie pójdę.

– Z Bogiem, żołnierzyku.

Całą siłą woli zmusił się, żeby iść spokojnie. Dopiero za kępą leszczyn przyspieszył. Nogi nadal nie chciały go słuchać, a przed oczami pojawiła się ciemna mgła. – Jeszcze tylko do tamtej sosny – wyznaczał sobie etapy. – Jeszcze tylko do tamtego jałowca...

Drżącymi palcami, z bronią na kolanach rozerwał plastikową torbę i wbił zęby w kwaśny miąższ chleba. Jadł łapczywie, połykając z trudnością, drapiące gardło, ledwie przeżute kęsy. Powoli wracały mu siły i zdolność myślenia. Zjadł jeszcze kawałek pachnącej czosnkiem kiełbasy i popił mlekiem. Wraz z uczuciem sytości powrócił paralizujący wół strach. Czuł jak wpycha mu serce do gardła i podnosi włosy na głowie. – Szukają go, żeby go zabić! Uciekać!

Długo szukał kryjówki. W zapadającym zmierzchu każdy krzew, każdy pień wyglądał jak człowiek składający się do strzału. Jak ktoś, kto zaraz pośle w jego kierunku serię. Dwa razy o mało nie zaczął strzelać. Szedł przez ciemniejący z każdą chwilą las, z resztą żywności pod kurtką mun-

duru, z odbezpieczoną bronią w dłoniach i płakał. Przypomniał sobie nagle strzęp modlitwy i nie zdając sobie sprawy ze znaczenia słów, szeptał między jednym a drugim pociąganiem nosa:

– „Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków amen, wieczne odpoczywanie...”.

*

Sarnowski podniósł głowę znad mapy. W oświetlonym słabą żarówką wozie sztabowym było ciemno od papierosowego dymu. Skrzywił się i wytarł wierzchem dłoni spocone czoło.

– Nie ma prawa się wymknąć – powiedział nie patrząc na nich. – Nie ma prawa się wymknąć – powtórzył. – Cholera, zupełnie tak, jakbym mówił o zwierzęciu, a nie o człowieku – przyszło mu po raz któryś do głowy. – Z drugiej strony – rozgrzeszył się – czy można go jeszcze traktować jak człowieka? Po czterech morderstwach?

Oficerowie w milczeniu obserwowali kierującego obławą. Cisza przedłużała się. Niski kapitan, z ciemnym zarostem na szczupłych policzkach kaszlnął znacząco. Pułkownik ocknął się. Przejechał dłonią po zaroście i zapytał wstając:

– Wszystko jest jasne? Przypominam – pilnować kwadratu – dotknął palcem mapy. – Żadnych działań w nocy. Chyba, że... No, sami wiecie. Pogadajcie z ludźmi, niech uważają. Żeby się przypadkiem nie postrzelali. Przeczesywanie zaczynamy o czwartej trzydzieści. Sygnał podam przez radio. Śmigłowiec będzie wisiał nad lasem od piątej. Jeszcze raz dokładnie sprawdźcie mapy. Ludzie muszą wiedzieć o każ-

dej górcie, o każdym bagienku. I jeszcze jedno – pamiętajcie, że to jest obława na człowieka. Na mordercę, ale na człowieka.

– Cholera jasna, jest w wieku Tadka – przypomniał sobie syna.

*

W wykrocie pod sosną było ciepło. Jeszcze było ciepło. Wiedział, że po północy ochłodzi się, że będzie siedział zwinęty w kłębek na pograniczu snu i jawy, że będzie szcząkał zębami z zimna i że będzie się bał. Teraz też się boi, ale później będzie bał się jeszcze bardziej. Stopniowo zapadał w odrętwienie. Oczy nadal wypatrywały w ciemnościach, dłonie ścisnęły kolbę karabinka, las szumiał i pachniał, gdzieś daleko huknęła sowa, ale myślami był znowu tam. Z nimi. Na torze przeszkód.

Widział wszystkie te kołyszące się kładki, ściany płaczu, liny, łańcuchy i bał się. Oni też tam byli. Pewni siebie, traktujący zajęcia w „małpim gaju” jak swojego rodzaju rozrywkę. Byli w grupie. On był sam. Nie wyszedł mu ten bieg. Uśmiechali się drwiąco, jakby mówili – „Właśnie tego mogliśmy się spodziewać po Lalusiu”. Nawet mu nie przygadali, a Jacy pomógł mu wejść na ścianę płaczu. Trochę go to zdziwiło, nie musiał przecież, ale potem domyślił się. Jacy to zrobił, żeby podkreślić swoją wyższość. Był lepszy i ot, tak sobie, pomógł szmaciarzowi. Cała czwórka była od niego lepsza. Nawet Marek. Tylko to się liczyło. Dali mu wtedy spokój. Do końca tygodnia. Zupełnie tak, jakby to, że pokazał własną słabość fizyczną, im wystarczyło. Nie za-

czepiali go. Dawali mu spokój zawsze po wyrządzeniu jakiegoś szczególnie paskudnego świństwa. Jak wtedy, kiedy przyjechała Kasia.

Następny sprawdzian był po miesiącu. Padało i mokre, skopane wieloma butami drewno ściany wyslizgiwało się z rąk. Pikuś rozstawił dowódców plutonów ze stoperami.

Pierwszy raz pobiegł na luzie. Nie wysiłał się zbytnio, a i tak miał drugi czas.

– Odpocznij, Cienkosz i pobiegnij jeszcze raz – głos Pikuś.

Cała czwórka szeptała gorączkowo. Patrzył na nich spode łba, jeszcze zdyszany po biegu i wietrzył kolejne świństwo. Później obserwował ich jak biegli, w jaki sposób pokonywali przeszkody i zauważył, że starają się robić to jak najszybciej. Podchodzili do Kozaka, zaglądając mu przez ramię na poplamioną deszczem listę z wynikami, krzywili się i odchodzili na bok. Czuł, że tego mu nie podarują.

W drugim biegu poszedł na całość, biegł tak, jakby od tego miało zależeć życie.

– Nooo, Cienkosz! – krzyknął Pikuś wyraźnie zadowolony.

– Jak chcesz, to potrafisz! Dlaczego udawałeś na pierwszym sprawdzianie?

– Nie udawałem – wysapał. – Po prostu trochę trenowałem – powiedział i zrozumiał, że popełnił błąd.

– Trenowałeś, powiadasz? – Pikuś pomyślał przez chwilę i mruknął przyglądając mu się ciekawie...

Na apelu południowym wyciągnął go przed szyk:

– Za duży wkład pracy i osobiste zaangażowanie, wyróżniam...

Nie spodziewał się tego... – Ku chwale ojczyzny!

– A teraz posłuchajcie, podchorążowie! Cienkosz udowodnił wam, że każdy może być dobry. Za dwa tygodnie są mistrzostwa szkoły. Tradycyjnie już nasza kompania była w sporcie dobra. Od dziś do odwołania codziennie dodatkowy trening w „małym gaju”. Godzina dziennie, zgoda? A może ktoś jest innego zdania? Nie chcę wam niczego narzucać, to jest tylko propozycja.

Oczywiście, nikt się nie wychylił. Kilka razy przyłapał, rzucając w jego stronę, krótkie, złe spojrzenia. Przez całe popołudnie spodziewał się jakiejś akcji z ich strony. Nic się nie działo. Gruby, Buła, Jacy i Marek nie zwracali na niego żadnej uwagi. W trakcie czyszczenia broni nie wytrzymał Rudy:

– Te, stachanowiec! – krzyknął. – Może jeszcze pobijesz rekord w oddawaniu stolca?! Potrenuj trochę! Może trafisz do Ginesa! Jak będziesz dobry, to może uda ci się zrobić kupę przed jedzeniem!

Zignorował zaczepkę. Dziwne było to, że żaden nawet się nie zaśmiał. Tylko te rzucające z ukosa spojrzenia...

Przyszli w nocy. Nie spał. Czekał. Wiedział, że przyjdą. Nie bronił się. Okręcili mu głowę kocem i zaczęli bić. Pasami. Musieli to robić wszyscy, cały pluton chrapliwie oddychających ludzi, bo spadł na niego grad uderzeń. Kilku z nich było spinkami. Zaciśnął zęby i pięści, żeby nie krzyknąć. Kiedy klamra pasa trafiła w kostkę u nogi, nie wytrzymał.

Potworny ból promieniujący wzdłuż kręgosłupa, rozwarł mu usta w głośnym krzyku:

– Aaaaaaaa!

Uciekli. Trzasnęły drzwi. Ciężko dysząc usiadł w ciemnościach na skrzypiących sprężynach żelaznego łóżka. Nagła

cisza wydawała się dziwnie irracjonalną. Udawali, że śpią. Jeden, chyba Ludwik, nawet lekko pochrapywał pod oknem. Gdyby nie ból skaleczonej kostki, mógłby przysiąc, że to wszystko mu się śniło. Leżał do rana nie śpiąc. Przez całą noc, dzień po dniu, godzina po godzinie, przypominał sobie ze szczegółami wszystko to, czego od nich doznał. Widział nie tylko twarze Grubego, Jacego, Buły i Marka. Pojawiła się złośliwie uśmiechnięta twarz Lufy, ironiczne spojrzenie Rudego, pogardliwe machnięcie ręką Kozła. Przypomnił sobie ciężki wzrok dowódcy plutonu i – „Nie mam czasu na pieprzenie się z wami” – Pikusia. Oni wszyscy są przeciwko mnie – przyszło mu do głowy.

*

Na oświetlonej reflektorami szosie było widno. Robacki uważnie przejrzał swój odcinek. Światło tańczyło na ciemnej ścianie rosnącego tuż za rogiem młodnika, pobudzając wyobraźnię. Karabinek strzelca wyborowego ciążył w zmęczonych dłoniach. Odsunął rękaw. Fosforyzujące wskazówki zbliżały się do północy. Sekundnik niestrudzenie odmierzał czas. Uciekający czas. Czas życia.

– Może to czas jego życia, a może mojego – pomyślał. Dwunasta. Do zmiany jeszcze godzina. Co by się stało, gdyby teraz, nagle, wyszedł na mnie? Jest rozkaz, żeby strzelać. Nie na postrach. W niego! Czy mógłbym strzelić? Ot, tak po prostu go zabić? A gdyby się okazało, że zabiłem jednego z naszych? Jest przecież ciemno. Jeszcze raz przypomniał sobie powiększone zdjęcie twarzy mordercy. Cienkie usta, jasne brwi, jasny wąsik i nieco zbyt szeroki u nasady nos.

Na moment przywarł okiem do lunety celownika. Sosny wydawały się być w zasięgu ręki. – Powinienem go rozpoznać. Jest trochę podobny do mnie. Oderwał wzrok od falującej gałęzi i zastanowił się. – Rzeczywiście, jest podobny do mnie. Do diabła – serce zabiło mu mocniej – przecież łatwo mogą mnie wziąć za niego. Wszyscy jesteśmy mocno zmęczeni i nerwowi. Swoją drogą, co oni mu takiego zrobili, że ich zabił? To chyba nie może być normalny człowiek. To wariat. Niebezpieczny wariat. A jeśli nie? Jeśli mu się tak dobrali do skóry, że nie wytrzymał? Albo jeśli to był wypadek, a nie morderstwo? Do cholery, stale jakieś jeśli, a jeśli... Jest rozkaz – strzelać? Jest! A oni, tam, na górze, chyba wiedzą co robią? Ale czy na pewno? W porządku. Jak wyjdzie na mnie, to będę celował w nogi. A jak on zacznie strzelać pierwszy? E, musiałbym mieć pecha, żeby wyszedł akurat na mnie. Jest tu przecież parę tysięcy ludzi. Szczelniej zapiął kurtkę. Ochłodziło się.

*

Zeschłe kawałki gałązek raniły ręce. Nie zważał na to. Szczękając zębami oburącz zgarniał ściółkę moszcząc legowisko. Wisząca na szyi broń przeszkadzała, ale jej nie odłożył. W ciemności mógłby jej nie odnaleźć. Walcząc z zawrotami głowy, nagarniał coraz więcej sosnowych igieł. Byle było choć trochę cieplej. Zwinięty w kłębek w kupie igliwia zmusił się do zjedzenia paru kęsów chleba. Wypił resztę mleka. Spojrzał na zegarek. Tarcza była ciemna, nie widział wskazówek. Tylko zimnobłyszczące gwiazdy pozostawiały na szkiełku nikle refleksy.

– Będzie chyba po dwunastej – pomyślał. – Zaczyna się czwarty dzień, czwarty dzień do wyrównania rachunków.

Znowu pojawiły się majaki.

Zastępca dowódcy plutonu do spraw politycznych nosił bujne, rude wąsy. To chyba od ich koloru przewali go „lisem” lub „mykitą”. Spojrzał na niego mrużąc, jak to miał w zwyczaju, lekko wylupiaste oczy.

– Siadajcie, podchorąży – mruknął bawiąc się starannie za-temperowanym ołówkiem. Patrzył przez cały czas w okno, jakby zastanawiał się, od czego zacząć.

Marian zdecydował się. – Opowiem mu wszystko – postanowił. I tak pewnie nic nie pomoże, ale ciekawe, jak na tę „spowiedź” zareagują tamci. Z Pikusiem włącznie. Bo że Lis o wszystkim Pikusowi powie, to pewne jak w banku.

Ołówek wysliznął się z bawiących się nim palców. Długi, czarny grafit złamał się z suchym trzaskiem. Major skrzywił się, potarł dłonią czoło i nadal patrząc w okno powiedział:

– Skargi są na was, podchorąży. Jesteście niekoleżeński, ordynarny i dokuczacie kolegom.

– Ja dokuczam? No, to już szczyt wszystkiego...

– Nie przerywajcie, teraz ja mówię! No więc dokuczacie kolegom, nie bierzecie udziału w życiu kompanii, a przecież oficer to przede wszystkim wychowawca. Jak chcecie wychować, kiedy sami nie potraficie albo – to jeszcze gorzej – nie chcecie żyć w kolektywie? Wprawdzie wyniki w nauce macie dobre, no, nawet bardzo dobre – przyznał niechętnie – ale to nie wystarczy. Już dawno dowódca kompanii powinien was ukarać, a jednak nadal wierzy, że się poprawicie. To tak mu się odwdzięczacie?

– Zaraz, zaraz, obywatelu majorze, nie bardzo wiem, o co chodzi!

– Czyżby, Cienkosz? – uśmiechnął się ironicznie. – A uderzenie w twarz kolegi? A głośne przekleństwa na korytarzu? I jeszcze parę innych rzeczy to mało? Jak chcecie u nas zostać, Cienkosz, to będziecie musieli się zmienić. No to jak będzie, podchorąży? – zapytał wyraźnie zniecierpliwiony i spojrział na zegarek.

Opowiedział mu wszystko. Po kolei. Dzień po dniu. Nie ukrywał niczego. Ani swoistej inicjacji, ani zajścia z Kasią, ani ostatniej „kocowy”. Lis spoglądał coraz częściej na zegarek, kręcił się, wycierał czoło, ale nie przerywał.

– ... I widzi, obywatel major, oni wszyscy są przeciwko mnie.

– Wyście, podchorąży, powinni pisać książki. Fantazji wam nie brakuje. Może macie mnie za niespełna rozumu? Przecież takich rzeczy nie dałoby się ukryć. Musiałbym o tym wiedzieć. Ani jedno wasze słowo nie pokrywa się z tym, co o was wiem. Macie oczywiście prawo do tego, żeby się bronić, ale zrzucanie winy na dowódcę i kolegów tylko pogarsza sprawę. Tak się zastanawiam – powiedział po chwili – co ja mam z wami zrobić. Cienkosz.

– Może obywatel major sprawdzić to, co powiedziałem.

– Wy mnie, podchorąży, nie będziecie uczyli tego, co mam robić. Jesteście wolni. Na razie – podkreślił. – Jeszcze do tego wrócimy.

W piątek Pikuś wyłączył go ze składu warty.

– Dla was, Cienkosz, mam inne zadania – powiedział.

Ucieszył się. W końcu warta to przecież żadna frajda. Tylko fakt, że pozostali przyjęli to bez zwykłych docin-

ków, bez przezywania go od dekwoników, zaniepokoił go trochę.

Dowódca wezwał go rano. Nie patrzył mu w oczy i był wyraźnie zmieszany. Pewnie coś knuje – przyszło mu do głowy i poczuł, jak cierpnie mu skóra.

– Słuchaj, Cienkosz, chcę ci coś zaproponować – zawiesił na moment głos. – Ostatnio zachowujecie się tak jakoś dziwnie. Nie jesteście przypadkiem chorzy?

Poczuł, że się zaczerwienił. Doskonale wiedział, co Pikuś ma na myśli.

– Nie, skąd, nic mi nie jest – wyjąkał.

– Nie, nie – przerwał mu szybko. – Nie chodzi o jakieś grypy, czy inne tam... Czasami człowiek, rozumiesz, rozkleja się psychicznie. Nie mówię, że tak jest naprawdę, ale może dalibyście się przebadać? Dzisiaj akurat przyjmuje e... specjalista.

Psychiatra miał już relację zastępcy dowódcy batalionu. Rozmawiał grzecznie, jeszcze raz wysłuchał jego opowieści, później trochę popytał i zaczął pisać.

– No to dziękuję, podchorąży. Możecie wracać... – mruknął znad papierów.

– I co, panie doktorze, jestem zdrowy?

– Zdrowy, zdrowy, nie znam żadnego zdrowego człowieka – mruknął.

Nigdy nie dowiedział się, co naprawdę stwierdził lekarz. Zauważył, że Pikuś i dowódca plutonu przyglądają mu się uważniej. I nadal nie wystawiali go na warty. Buła, Jacy, Gruby i Marek nie zaczepiali go. Domyślał się, dlaczego. Musieli szykować na niego coś szczególnie paskudnego. To się może łączyć z niedawną wizytą u psychiatry. Zaczął się bać.

Codziennie czekał na to wielkie, z każdym dniem większe świętowanie z ich strony, a kiedy dzień się kończył i nic się nie wydarzyło, to spodziewał się jakiegoś wyjątkowo paskudnego kawału w nocy. Nie spał. Czekał. A w nocy też się nic nie działo. Wstawał więc niewyspany i czekał pewny, że tego dnia wreszcie się to wydarzy. Bał się coraz bardziej. I opuścił się w nauce.

– Nie poznaję cię, Cienkosz – mruknął niechętnie taktyk.
– Dotychczas miewałeś same piątki, a teraz... E, szkoda gadać. Siadaj. Dwója.

Niewiele go to zmartwiło. Wiedział, że nadgoni bez wysiłku. Nadgoni, jak tylko oni skończą. Jak będzie już po wszystkim i wreszcie dadzą mu, jak zwykle, parę dni spokoju. W środę siedział jak zwykle w kącie i udawał, że uczy się filozofii, a tak naprawdę, to się bał. – Niechby już zaczęli – myślał.

– Miałbym już to wszystko z głowy. No, zacznijcie – prosił ich w myślach. Spojrzał pod okno. Cała czwórka, jak zwykle razem, rozmawiała o czymś cicho. Pewnie szlifują ten kawał, jaki mają mu wyrzucić. Niechby to było już dzisiaj. Nie spuszczał oczu z siedzącej pod oknem grupki. Nagle Gruby podniósł głowę i spojrzał na niego. Szybciej uderzyło serce. Zwykle odwracał wzrok, dzisiaj nie. Spojrzał mu wyzywająco w oczy i chyba po raz pierwszy głowę odwrócił Gruby. Pochylił się i szepnął coś pozostałym. Po chwili Jacy, a później Buła i Marek spojrzeli na niego szybko, niemal natchmiast odwracając wzrok. Nadal ich obserwował. Pierś rozsadzała mu duma. Boją się go! Pierwsi odwrócili głowy, a to się dotychczas nie zdarzało! A może tylko udają? Może to jest jakaś część chytrego planu, jakieś przygotowanie do

gigantycznego świństwa? To możliwe – pomyślał i zacisnął pięści w nagłym wybuchu wściekłości.

Gruby i Jacy wstali i podeszli do niego. – Zaczyna się – pomyślał i poczuł, że spociły mu się dłonie.

– Można, Marian? – Jacy ruchem głowy wskazał krzesła.

Nic nie mówiąc przełknął ślinę. Serce rwało galopem.

– Słuchaj, stary – Buła nerwowo poprawił pas. – Dobra jest, niech już będzie między nami zgoda. Dajemy ci definitywnie spokój, możesz nam wierzyć. Co było, to było... No co, Marian, zgoda?

Bez słowa uściśnął spoconymi dłońmi wyciągnięte dłonie. Teraz był już pewien. Coś przygotowują. Wyjątkowo perfidne s... Chcą go uspokoić, żeby później tym bardziej zaskoczyć. To już chyba niedługo, bo próbują go uspokoić. Nagle majaki zniknęły. Przejście do rzeczywistości spowodowało kilka chwil amnezji. Było potwornie zimno. Trzęsąc się całym ciałem, zdziwiony, patrzył na bledniejące niebo, poplamione czarnymi zarysami koron. Pamięć wróciła nagle, jakby wybuchem. Przede wszystkim strachu. W sekundzie uzmysłowił sobie wszystko. Wydarzenia ostatnich dni lawiną przeleciały mu przed oczami i jak przy użyciu „stop klatki”, zatrzymały się w pamięci ich twarze. Buły, Jacego, Grubego i Marka. Zerwał się z kupy igliwia i jęknął głośno. Zesztywniałe mięśnie zareagowały gwałtownym bólem. Opadł na kolana i czekał aż miną skurcze ud. Popatrzył na zegarek. Dochodziła czwarta trzydzięści. Coraz bardziej chciało mu się pić.

*

– Kornik, Rokita, Malawa i Rybacki, do starego!

Rosołowski przyglądał się im bez słowa. Przedświt wydobywał z mroku zmęczone twarze. Wszyscy mieli podkrążone i niewyspane oczy i czterodniowy zarost.

– No, chłopaki, zaczynamy za dziesięć minut. Jest z całą pewnością w okrażonym kwadracie. Uważajcie. Wie co go czeka i na pewno nie będzie żartował. Jest rozkaz strzelania bez ostrzeżenia. Tu macie rozkazy na piśmie.

Papier jakby sparzył Robackiemu palce. – Trzymam w rękę wyrok śmierci – przyszło mu do głowy. – Nie, to jest rozkaz wykonania kary śmierci – poprawił się.

– Wiem o czym myślicie. Trudno. Jesteście dorośli i wiecie, że nie ma innego wyjścia. To morderca. Z całą pewnością użyje broni. Tylko od was zależy, czy zdoła zabić jeszcze kogoś. Jeśli się zawahacie, to może to kosztować ludzkie życie. Musicie polegać na sobie, nie mogę być wszędzie. Strzelać wolno tylko po dokładnym rozpoznaniu celu, nie wcześniej. Żadnego strzelania wzdłuż linii i przez krzaki. Może będzie chciał się poddać, wtedy każcie mu daleko odrzucić broń. Nie dajcie się nabrać. Są pytania?

– Ja mam – wyrwał się Robacki.

– O co chodzi? Boisz się?

Roman zaczerwienił się.

– Trochę – przyznał. – Ale nie o to chodzi. Jestem bardzo podobny do niego. Do tego, no...

Rosołowski spojrział i wzruszył ramionami.

– Może trochę. I co? Myślisz, że cię nasi wezmą za niego?

Przełknął ślinę i skinął głową.

– No dobra. Pójdiesz obok mnie. I tak jednego z was muszę mieć pod ręką. Cholerne życie – mruknął i ruszył w stronę radiostacji.

Robacki westchnął i poprawił broń na ramieniu. Był na siebie zły, że nie odważył się prosić starego o zwolnienie z akcji.

Pojaśniało. Gdzieś daleko wzeszło słońce.

*

Bał się. Nie był to zwykły strach, do którego przez trzy doby uciezki zdołał się przyzwyczaić. Było to nowe i straszne uczucie ni to nicości, ni przeczucie nadchodzącego końca. Narastająca gorączka wywołała dziwne wizje. Oto zza krzaków wychodzą do niego. Cała czwórka. Wyciągnęli ręce jak do przywitania, a Buła mówi:

– Cześć Laluś! Niepotrzebnie uciekasz, myśmy tylko udawali, że nas zabiłeś! – i uśmiecha się złośliwie.

Zjawy są bardzo realne. Widać nawet zacięcie przy goleniu na twarzy Grubego i słychać chrzęst ściółki pod stopami.

– Jak to? – chrypi z wielką, olbrzymią ulgą. – Więc to tylko kawał?

I w momencie, kiedy dotarł do niego sens słowa „kawał”, wściekły, podnosi broń:

– Znowu się ze mnie wyśmiewacie! – wydawało mu się, że krzyczy, ale ze spieczonych ust wydobył się tylko zachrypły szept. – Zaraz się policzymy!

Celuje w zjawy, a one rozwiewają się. Znowu jest sam pośród obojętnego szumu sosen i woni żywicy. Otaczający go świat nagle przestał do niego docierać. Zupełnie tak, jakby znalazł

się nagle wewnątrz przeźroczystego klosza. Zdał sobie z tego sprawę i przyspieszył. To znaczy – wydawało mu się, że przyspieszył. Nadal szedł jednak bardzo wolno, zataczając się na nieposłusznych nogach, z chrapliwym odgłosem wyrrywającego się z trawionych gorączką płuc powietrza. Nagle poczuł wilgoć i chłód w kroczu. Zatrzymał się zdziwiony i obojętnie patrzył na rozlewającą się po nogawkach, ciemną plamę. Równocześnie odczuł ulgę. Ustało ostre pieczenie w podbrzuszu, z którego dopiero teraz zdał sobie sprawę. Oczy skakały przez cały czas od krzewu do krzewu, od pnia do pnia. Wszędzie mogli być, czekać na niego z palcami na językach spustowych...

– Uwaga, podchorążowie! Język spustowy należy ściągać płynnie, po starannym wycelowaniu, najlepiej wstrzymując przy tym oddech. O, tak!

Dowódca plutonu zamknął oko, wycelował, nabrał powietrza i płynnie zgiął palec na spuście. Sucho trzasnęła iglica.

– Jeżeli nie będziecie popełniali błędów, to wykonacie każde strzelanie.

– Każde strzelanie... każde strzelanie... – powtarzał pnąc się stromym, piaszczystym zboczem. Na szczycie zwałił się bezwładnie na ziemię i ciężko dyszał. – Odpocząć, muszę trochę odpocząć – pomyślał, ale oczy nadal myszkowały po zaroślach.

Nagle, poprzez dudnienie krwi w głowie, dotarł do niego daleki jeszcze, inny od otaczającego go, dźwięk. Wstrzymał oddech, zasłuchany w dalekie brzęczenie i odnalazł jego źródło.

– Samolot! Nie, śmigłowiec!

Gorączkowo, z wyrrywającym się bezwiednie z gardła skowytym strachu doczołgał się go kępy jałowców i wcisnął się

w nią, nie zwracając uwagi na dotkliwie drapiące twarz, zeschę i twarde jak druty igły.

Brzęczenie narastało, zmieniało się w grzmiący łoskot. Nie wytrzymał. Krzycząc ze strachu wcisnął twarz w ściółkę i zakrył uszy rękami. Łoskot śmigieł powoli oddalił się i przycichł, ale nie zamarł. Śmigłowiec nadal krążył nad lasem. Uświadomił sobie nagle, że mają go. Że wiedzą, gdzie jest i że teraz to już tylko kwestia czasu. Że idą po niego. Że idą na pewniaka. I że lepiej zrobi, jeśli tu na nich poczeka.

Najważniejsze jest mieć dobre pole ostrzału, a samemu pozostawać niewidocznym – wykładowca szkolenia ogniowego ma na nosie śmieszny narośl, przypominającą ziarnko pieprzu.

– Pieprzy ten „pieprzyk” – krzywi się Buła i mówi półgłosem do Jacego: Urywamy się!

Siedzą półkolem na jesiennej trawie i ciężko dyszą. „Pieprzyk” dał im na poty, a sam też się nie oszczędzał. Marian widział, że Buła z Jacym, chyłkiem, za plecami wykładowcy dopadają krzaków i w tym momencie „Pieprzyk” się odwrócił. Zaśmiał się i zawołał do nich: Widzicie teraz, co to znaczy mieć dobre pole ostrzału, właściwie usytuowany punkt ogniowy?

Gorączkowo zaczął kopać dłońmi w piachu. – Punkt ogniowy, punkt ogniowy – tętni w głowie z każdą wyrzuconą garścią. Starał się przypomnieć sobie wymiary okopu do pozycji „leżąc”, jakby praca ta miała być oceniona przez wymagającego wykładowcę. Jakby to miało jakieś ważne, bardzo ważne znaczenie. Oczy penetrują każdy krzew w dole, uszy łowią wszystkie otaczające go dźwięki, a ręce, jakby poza

świadomością, wybierają wilgotny piach, usypują przedpiersie i przyklepują, gładzą żółte skarpy. W powietrzu stale wisi to głośniejsze, to cichnące brzęczenie.

*

Widział kiedyś taki film. Długi rząd milczących ludzi, najeżony wysuniętymi do przodu łufami broni, uważnie, niespokojnie patrzące oczy, ocienione okopami hełmów i nogi w butach na grubych, gumowych podszwach, zapadające się w wilgotną ściółkę. To był tylko film, a powodował dziwny, nieznaną dreszczyk emocji. Dzisiaj sam szedł w rzędzie zdenerwowanych ludzi i też czuł dreszcz emocji, tylko inaczej. Jeszcze do wtorku dumny był ze swych umiejętności strzeleckich. Wyborowy strzelec, to swego rodzaju nobilitacja. Teraz przeklinał w duchu każde z wykonywanych na piątkę strzelań. Gdyby tylko można było cofnąć czas pudłowałby raz za razem i dzisiaj nie musiałby trzymać w dłoniach tego morderczego żelaza, z czarną tubą celownika optycznego, który przybliży każdy cel na odległość, z której po prostu nie da się spudłować. Każdy cel. A więc i każdego człowieka.

– Robacki, nie zostawaj w tyle!

Posłusznie przyspieszył kroku.

*

Słońce podniosło się wyżej i nawet tutaj, w cieniu gęstych jałowców, zrobiło się ciepło. Wilgotny piach wysychał szybko i osypywał się do środka, zostawiając w fałdach munduru żółte ścieżki.

Rzeczywiście dali mu spokój. Był przekonany, że to tylko taktyka poprzedzająca atak. Przestał sypiać. Całymi godzinami leżał w ciemności łowiąc uchem każdy głośniejszy szmer. Mogli do niego przyjść w każdej chwili. To znaczy, niezupełnie tak, bo przecież do niego przychodzili. Jacy, Buła, Gruby i Marek. Razem lub pojedynczo. Stawali nad łóżkiem, patrzyli na niego drwiąco, odczytywał słowo Lалуś z ruchu ich warg i znikali natychmiast, kiedy tylko otworzył oczy. W dzień zachowywali się poprawnie, a nawet udawali przyjaźń. – Cześć Marian! Jak leci, Marian? – pytali. Czekał. Wiedział, że to wszystko to tylko gra. Że czekają, aż zupełnie się odsłoni. I wtedy uderzą. Na warty nie chodził nadal.

We wtorek zaczął się alarm. O dwunastej w południe mieli już w nogach prawie dwadzieścia kilometrów. Trochę ćwiczyli z mapami, było kilka zadań z taktyki. Było jak zwykle. Jak dziesiątki razy. Po obiedzie miało być strzelanie. Byłoby nawet znośnie, gdyby nie słońce. Pierwsze dni maja były gorące, a wtedy jeszcze zanosilo się na burzę. Duszne, parne powietrze wyciskało siódme poty, byli więc mocno rozdrażnieni. Obiad przywieźli im, kiedy odpoczywali na skraju lasu, tuż za wałem poligonowej strzelnicy.

Spocony Buła podszedł do niego, kiedy usiadł z menażką, jak zwykle trochę z boku.

– No i co tak siedzisz, jak mnich? Chodź do nas! – wskazał ruchem głowy grupę leżącą w cieniu drzew.

– Teraz chyba zaczną – myślał gorączkowo.

Chce mnie ściągnąć, żeby mieć widownię. No i dobrze. Jak mają zacząć, to niech zaczynają – zdecydował się.

– No co, idziesz, Maryś?

To „Maryś” w ustach Buły smagnęło go tak samo, jak Lulus. Wstał i bez słowa podszedł do nich. Usiadł na zmurszałej kłodzie i czekał. Wiedział, że oni zaraz zaczną. Że za chwilę wyskoczą z czymś takim, co stanie się legendą szkoły, a jego ośmieszy na wiele lat. Mechanicznie podnosił do ust łyżkę nie czując smaku jedzenia. Czekał.

Zmęczeni rozmawiali przyciszonymi głosami, trochę wymiewając się z Lufy, który obtarł sobie nogi. Żaden z nich nawet słówkiem nie pisał o tym, co mu przygotowali. Niech ich jasna cholera – pomyślał. – Znowu zwlekają. To się na pewno wydarzy w drodze powrotnej.

– Marian, blady jakiś taki jesteś, może źle się czujesz? – zapytał Rudy.

– Nie, wszystko w porządku – burknął. – Gorąco – dodał po chwili.

To będzie na pewno dzisiaj, są wyjątkowo grzeczni. I to co na mnie przygotowują będzie też wyjątkowe – myślał. – Złatwią mnie dokładnie. I nic nie mogę zrobić. Zupełnie nic.

Kozioł był amunicyjnym. Chodził od jednego do drugiego i podawał naboje. Ciężkie, ostre groty śmierci, osadzone w złotawych, połyskujących w słońcu tulejach łusek.

– Zmiana! Na linię ognia marsz!

Ułożył się na stanowisku i odszukał wzrokiem swoją tarczę. Dokładnie wycelowal i nagle posłyszał za sobą śmiech Jacego. Charakterystyczny, nieco piskliwy, denerwujący śmiech. W taki sam sposób śmiał się, kiedy przyprowadzili tę blondynę. Tylko, że wtedy nie mógł się bronić. Teraz może. Teraz miał przewagę. Teraz nawet mógł ich uprzedzić. Mógł nie dopuścić do tego wielkiego, przygotowanego przez nich świństwa. I teraz mógł im zapłacić za to wszystko, co mu

zrobili. Za Kasię też. Przede wszystkim za nią. Załadował broń, uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu dni i wstał.

– Cienkosz! Podchorąży Cienkosz! – krzyk Pikusia. – Połóż broń! To rozkaz! Połóż broń na stanowisku! – przerażony, wibrujący panicznym strachem głos dowódcy.

Nie zwrócił na niego uwagi. Cały czas uśmiechając się podszedł do stojących jak zwykle razem Jacego, Buły, Grubego i Marka.

– Nie uda wam się – powiedział do nich. – Za słabi jesteście – mówił spokojnym głosem, już zdecydowany i widział jak bledną ich twarze. Później zobaczył, jak w suchych trzaskach wystrzałów łamali się w pół i padali na rzadką trawę porastającą piasek strzelnicy.

To wszystko wydarzyło się w ułamkach sekund, jakby bez jego udziału. Zupełnie tak, jakby było ich dwóch. Jeden z nich strzelał, a drugi przyglądał się temu obojętnie, z daleka, chociaż z satysfakcją. Dopiero w zapadłej ciszy stali się znowu jednością. Znowu nadlatywał śmigłowiec. Leciał wolno, niewidoczny przez korony sosen. Tylko po stale narastającym grzmocie silnika i jeżącym włosy na głowie wizgu łopat wnioskował, że jest nad nim. Przyleciał, żeby go złapać. Żeby go oddać w ręce tych tam. Żeby mogli zrobić z nim to samo, co zrobili z blondynem w „Krótkim filmie o zabijaniu”. Zobaczył jak na ekranie swoją twarz przeciętą ciągnącą się od szyi linią stryczka. Przestał nad sobą panować. Wizja była tak realna, tak prawdziwa, że zerwał się i wystrzelił w niego długą serię. Huk wystrzałów zlał się z rykiem silnika w przeciągły grzmot. Potem skierował broń na zbocze, omiół je wzrokiem i przypadł do ziemi ciężko dysząc.

*

– Widzisz go?

Robacki dokładnie naprowadził celownik na wskazany punkt. Między gałęziami jałowca zobaczył żółty wzgórek przedpiersia, ponad nim lufę broni i niżej jasną głowę.

– Nie. Nic nie widzę. Za daleko – skłamał.

– Źle patrzysz. Zobacz przez lornetkę. W kępie jałowca, przy samej ziemi!

– Nie, nic nie widzę – powtórzył. – Ale jak tam jest, to może by do niego zawołać? – zaproponował. – Może wyjdzie?

Rosołowski podniósł do ust tubę. Robacki przywarł do okularu celownika.

– Cienkosz! Słuchaj, Cienkosz! Jesteś otoczony! Nie masz żadnych szans! Wstań trzymając broń za lufę, odrzuć ją daleko od siebie i wyjdź z rękami nad głową! Słyszysz Cienkosz?! – głos z trudnością przebijał się przez warkot krążącego śmigłowca. Jasna głowa w czarnym krzyżu celownika przypadła do ziemi.

– Wyjdź z podniesionymi rękami! Zajmą się tobą lekarze! Człowieku, jesteś po prostu chory! Nie zrobimy ci krzywdy!

Robacki zobaczył w lunecie, jak leżąca w płytkim wykopie sylwetka drgnęła i podniosła się powoli. Krzyżek celownika zjechał z bladej twarzy, w której zabłysły na moment oczy i zatrzymał się na piersi. Cienkosz zatoczył się i podniósł do oka karabinek. Składał się do strzału.

– Strzelaj! Robacki, strzelaj! – syknął zdenerwowany Rosołowski. – Strzelaj, bo nas wszystkich tu wykończy!

Cienkosz, ciągle stojąc, wystrzelił dwa razy. Robacki widział jak przy strzałach podnosił do góry lufę broni.

– On nie strzela do nas – powiedział gorączkowo.

– On chce, żebyśmy go zabili!

Rosołowski chwycił tubę:

– Nie mamy zamiaru zrobić ci krzywdy! Odrzuć broń i podnieś ręce!

W lunecie celownika majaczyła blada, brudna twarz z wytrzeszczonymi ze strachu oczami.

– On... On płacze – zauważył Robacki. Poczul nagłą słabość i napływ słodkiej śliny do ust.

Sylwetka obok kępy jałowców nagle zgięła się wpół i oparła pierś na lufie broni. Jeszcze na moment w celowniku zamajaczyła blada twarz i Robackiemu wydało się, że ich spojrzenia, skoncentrowane lunetą, spotkały się na moment. Zobaczył jak ciało podchorążego podskakuje, uderzone od dołu serią pocisków, a później z rozłożonymi rękami wali się na żółty piach.

W zapadłej ciszy odezwał się dalekim stokatto czarny dzięcioł. Las nadal był pełen życia.

AGNIESZKA MILERSKA

Łódź, III nagroda

Tamte dni

Siedziałam naprzeciwko ciebie i patrzyłam w twoje oczy. To były już inne oczy niż te, które poznałam dziesięć lat temu. Właściwie nic się nie zmieniłeś. Ten sam trochę zacięty, surowy wyraz twarzy, włosy jeszcze całkiem ciemne, dumny chód, tylko oczy, puste, wypalone, smutne. A wtedy widziałam w nich radość, gdy biegłam na spotkanie z tobą, pożądanie moich nóg, ramion i ust. Śmiały się do mnie albo wilgotniały od gniewu. Żyły. Nigdy nie umiałam wyczytać prawdy z twoich oczu. Słowa wypowiedane przez ciebie zawsze mnie okłamywały.

Mówisz coś. Nie słucham. Obserwuję twoje dłonie. Kiedyś pragnęłam, by dotykały mnie stale. Drżałam na myśl o nich, przesuwających się po moim ciele. Ciągłe masz takie smukłe

palce i ciągle palisz. Popiół spadł na podłogę. Tak, słowa, które kłamały, były moją nadzieją. Nie wiedziałam nic o ich nieprawdziwości. Głęboko w nie wierzyłam. Wierzyłam tobie.

Pewnej nocy kazałam ci przyrzekać, że mnie nigdy nie zostawisz, jakbym chciała tym co powiesz, przypieczętować moje wyobrażenie o twojej wierności. Pamiętam – przyrzekłeś – NIGDY.

Nie starałam się panować nad emocjami ani hamować marzeń. Pozwoliłam im na wszystko. Dzięki nim ułożyłam całe swoje życie. Z tobą. Bałam się tylko, czy ty też masz takie same myśli, ale gasiłam niepokój w przekonaniu, że musisz czuć to co ja, gdyż wniknęłam w twoje wnętrze, płynę w twojej krwi, mieszkam w twoim sercu, śpiewam w twojej głowie – jestem tobą. Byłam pewna, że jesteś mną. A jednak straszylam się brakiem wiadomości od ciebie, brakiem twojej obecności.

Podnosisz wolno kieliszek napełniony złocistym musującym płynem. Taka okazja wymaga szampana! Lubiłam z tobą żyć. Nigdy nie wiadomo było, co się zdarzy. Jak skończy się noc, jaki kolor będzie miał dzień. Odbijaliśmy różne barwy w naszych twarzach. Otaczaliśmy się czerwienią w miłości, bladym różem w odpoczynku, sądziłam, że bielą w rozmowie. Pamiętasz, nie było między nami czerni, najwyższej niebieski smutek, czasami.

Roześmiałeś się. Cóż cię tak rozbawiło? Staram się siedzieć spokojnie. Nauczyłam się już kierować imaginacją.

Widzisz, jestem o dziesięć lat starsza. Nie mieliśmy wspólnego świata, to znaczy, tworzyliśmy go sami, na parę chwil.

Chwila to takie ładne, nieokreślone słowo. Czy zgodzisz się ze mną, iż może znaczyć: wiek? Odgradzała nas od siebie przepaść czasu, dla ciebie taka istotna, dla mnie nieważna. Pytałeś o moich kochanków. Z kim śpię, kiedy cię nie ma. Cieszyła mnie twoja zazdrość. Pragnęłam jej jak najwięcej. Sam powiedziałeś, że chcesz mieć taką młodą żonę. Zgodziłam się na starego męża.

Dotykasz lekko mojej ręki. Cofam ją odruchowo. Zapominam, że przestałeś już być niebezpieczny. Wtedy chwyciłabym twoją dłoń łapczywie. Wyglądiała, wiecznie niezaspokojona wilczyca. Zawsze przeżywałam ciebie na nowo, setki razy, nawet we śnie podnosiłam słuchawkę telefonu i słyszałam twój głos. Zapisywałam każdą rozmowę, spotkanie. Notowałam słowa, zdania. Zobacz, mam tu to wszystko dziś z sobą. Możesz przeczytać, przypomnieć sobie. Tak długo – dziesięć lat. Mieszkam tam, gdzie wtedy. Przy tej samej ulicy, na tym samym pięttrze. Nie wiem czy mogłabym wrócić. Siedząc z tobą niepewność zakrada się w moje serce i strach, że nie wytrzymałabym widoku znajomych miejsc. Czy ten park nazwany przez ciebie moim imieniem ciągle istnieje? Nie był ładny, nawet ławki w nim chorowały na brak oparcia i nóg. Chodziliśmy w to miejsce prawie za każdym razem. Niedaleko domu, kryjówka dla naszych schadzek. Zawsze myślałam, że może stanie się coś takiego, co pozwoli zostać nam w niej na zawsze. Nienawidziłam powrotów. Ty chyba też ich nie lubiłeś, bo odwlekaliśmy moment rozstania czasem nawet o godzinę. Ciekawiło mnie, czy wchodząc do domu uśmiechasz się do niej i całujesz ją.

Mówiłeś ze złością, że to wcale nie tak, że zdrada nie na tym polega.

Pytasz czemu milczę. Trudno jest sobie uzmysłowić, że minęło aż dziesięć lat. Wydajesz się taki sam jak wtedy. Robisz identyczne miny i gesty, nawet używasz tych samych sformułowań.

Jednak pamiętasz. Pamiętasz dokładnie, jak się pozna-
liśmy, gdzie bywaliśmy, co robiliśmy. Tak, zostawiłeś pod
drzwiami mojego mieszkania, jednego razu, kwiat. Dzisiaj
już go nie mam. Wyrzuciłam twoje rzeczy, zatrzymałam tyl-
ko swoje zapiski. Nie chciałeś mieć ze mną dziecka. Bałeś
się tego. I jeszcze mojej matki. Przerażała cię myśl, że była-
by w stanie rozpoznać twoją twarz w tłumie, przyjść do jej
mieszkania, zrobić awanturę. Matka szczerze cię nienawi-
dziła. Mówiła, że przechodzi na drugą stronę ulicy, kiedy cię
widzi. Miała więcej szczęścia, niż ja. Spotykała cię częściej.
Włóczyłam się po mieście, by zobaczyć jak wracasz do domu,
wsiadasz do samochodu, idziesz do sklepu. Oczy mnie bola-
ły od wyławiania twojej postaci spośród innych mężczyzn.
Robiłam to specjalnie, jak gdybym pragnęła jeszcze bardziej
rozognić swój ból, rozjątrzyć ranę... Chciałam, by twój wi-
dok mnie zabił. Byłam pewna, że umrę, jeśli odejdziesz.

Wstaję. Podchodzę do okna. Czuję na sobie twój wzrok.
Ale dzisiaj jesteś obcy, daleki, to chyba te oczy, a właściwie
wyzierająca z nich obojętność.

To było dziesięć lat temu, wiosenny wieczór. Spacerowa-
łam. Podszedłeś... Znałam cię z widzenia. Snułam mrzonki,
jak byłoby to pięknie, gdybyś któregoś dnia zechciał zawrzeć
znajomość ze mną. Naprawdę, myślałam o tym i chyba
po raz pierwszy w życiu coś mi się spełniło.

Opieram się o parapet. Wstajesz. Podchodzisz tak blisko.
Twoje dłonie są chłodne na moich rozognionych policzkach.

Nasze pocałunki nie są już tak spragnione siebie jak wówczas, prawda? Po tym wieczorze długo się nie odzywałeś. Sądziłam, iż wszystko mi się po prostu przyśniło. Od początku, jak pamiętam, czekałam na ciebie. Potem to oczekiwanie było coraz niecierpliwsze, rozdrażnione. Czułam, że cię nie mam, nie należysz do mnie. Ona zawsze wygrywała ze mną. Do niej wracałeś. Z nią spędzałeś wiele godzin, mnie poświęcając okruchy swojego nieocenionego czasu. Ta świadomość wpędzała mnie w depresję. Dlatego często zauważałeś w moich oczach smutek. Z dnia na dzień brakowało mi ciebie coraz bardziej. Wysuwam się z twoich chłodnych objęć. Są zimne i nie pragną mnie wcale. Tylko uprzejmość każe ci mnie przytulać. Nic już nie odnajdziemy. Zgubiłeś wszystko, kiedyś, dawno. Zniszczyłeś swoim milczeniem. Tak, mogłam starać się cię odnaleźć, wyjaśniać. Nie zrobiłam tego. Także zamilkłam, lecz nie znaczyło to, iż godzę się na twoją nieobecność w moim życiu. Moje ciało spokojne i ciche kryło w sobie rozkrzyczaną istotę, której rozpacz wydawała się niezmierna. Ból rozszerzył moje źrenice. Jeszcze wyraźniej cię dostrzegałam. Szedłeś za mną, przede mną. Już nigdy obok. Cierpienie zamieniło moje wnętrze w zgliszcza. Na nich dopalał się płomień mojej miłości. Cóż ty wiedziałeś o moich nocach szarpanych wyimaginowanymi brzęczykami telefonu? Nie znałeś słów szeptanych przez okrągłą dobę, powtarzanych rozmów, odtwarzanych spotkań. Odszedłeś zostawiając mnie z bagażem wspomnień podsycających twoim codziennym widokiem. Ty z nią na ulicy, sam w samochodzie, ona i ty, ty, ona, ty i ona... Byłeś okularami osłepionej miłością dziewczyny. I nagle zabrano jej okulary. Nie potrafiła bez nich żyć, nie wiedziała dokąd iść.

Wiesz, okulały koń jest niezdolny do ścigania się, trzeba go zabić. Byłam właśnie taką klaczą, więc zanim zdecydowałeś się do niej wrócić należało mnie dobić, a nie zostawiać ciężko zranioną pośrodku drogi.

Siadam z powrotem w fotelu. Piję szampana i uśmiecham się leciutko słysząc twoje pytanie o rodzinę. Domyślasz się, że wyszłam za mąż. Musiałam się upewnić, że nie potrafię kochać już nikogo. Popatrz, udowodniłam to swoim nieudanym małżeństwem. Trzy lata temu się rozwiódłam. Jesteś ciekawy, czy mam dziecko? Tak. Dziewczynkę. Skończy siedem lat w październiku. Młodsza od twojego syna tylko o trzy lata. Masz rację, inaczej niż z nami. Nie, nie zbliżaj się. Zostań tam, gdzie byłeś. Płacę na myśl o córce, ty nie jesteś powodem tych łez. Mam tak mało czasu dla niej. Czy podobna do mnie? Nie wiem, musiałbyś sam zobaczyć. To moje jedyne szczęście, że ją mam. Znowu mnie o coś pytasz, zawsze umiałeś tylko zadawać pytania. Z trudem przychodziły ci wszelkie wyznania, jakbyś asekurował się używając dwuznaczników. Dzisiaj wiem, że zabezpieczałeś się w ten sposób, bardzo sprytnie. Wtedy wierzyłam, gdy mówiłeś, że nie chcesz mnie stracić i... Przyglądasz mi się. Czyżbym aż tak się zmieniła? Postarzała? Zaprzeczasz. W każdym razie dorosłam, a może raczej dojrzałam i umiem znosić ból, łagodzić przeciwności losu, potrafię sobie pomóc. Nigdy nie słyszałeś, jak bardzo cię kocham. Nie powiedziałam ci tego. Na niewiele by się zdało. Pewnie i tak bym cię nie zatrzymała. Musiałeś o tym wiedzieć. Wyzierało to z moich oczu, gestów, z każdego centymetra mojego ciała. Mielśmy razem spędzić wakacje. Wyjechać. W końcu ja pojechałam gdzie indziej, ty miałeś swoje kolonie. Czy wyrzuciłeś listy,

które do ciebie pisałam? Pamiętam, że podobały ci się. Tęsknota wyzwalala we mnie głębokie treści. Nie było w tobie wiary od początku. Wiary w swoją odwagę, w odpowiedzialność podjętych decyzji. Czułeś się trochę jak zagubiony statek pośród wielkiej wody ludzi, zdarzeń, codziennych spraw. Nasze nastroje objawiały się podobnymi stanami i dlatego potrzebowaliśmy się. Wtedy. Co miałam zrobić? Zaczęłam znowu grać rolę znajomego z widzenia, więc musiałam wyzwolić z siebie specjalny rodzaj uśmiechu, obłudę, którą częstowałam cię obficie przy okazjonalnych spotkaniach. Twierdziłeś zawsze, że mnie znasz. Powinieneś był wiedzieć, iż moja pogodna twarz, mówiąca ci „dzień dobry”, to maska, pod osłoną której znaleźć można czarne oblicze nieprzystosowania. Cierpieniem mogłabym obdzielić pół świata.

Zapalasz kolejnego papierosa i dziwisz się, czemu ja tego nie robię. Odzwyczaiałam się. W twojej ręce rozpoznaję błysk złotej zapalniczki. Ta sama. Odwracam głowę w kierunku okna. Czas nie zmienia martwych przedmiotów. Po dziesięciu latach jednakowo drażnią swoją stałością. Przywołują nasze przeszłe życie kadr po kadrze. Czas nie leczy ran. On zmienia ludzi.

* * *

Siedzisz tu ze mną od trzech godzin i powiedziałaś tylko parę zdań. Widzę w tobie jakiś niepokój, który to zasypia, to znów budzi się z napięciem w twoich oczach. Och, te twoje oczy! Pamiętałam je zawsze. Smutna niebieskość rozlewająca się na całą twarz. Byłaś dla mnie tajemnicą, hermetycznie zamkniętą szkatułką własnych wizji i wyobrażeń.

Czasami ogarniał mnie strach, gdy otworzyłem cię zanadto i zbyt wiele melancholii wysypało się na światło dzienne. A jednak nie mogłem się powstrzymać, by cię nie odkrywać cał po calu, myśl po myśli. Musiałem poznać najgłębsze zakamarki twojego wnętrza. To było jak nałóg. Wiedziałem, że póki co nie zaspokoję pragnienia, będę chory na nieznaną ciębie. Zanim zdecydowałem się uczynić pierwszy krok, ty wielokrotnie mijałaś mnie na ulicy z sekretnie opuszczonymi powiekami, daleka i niedostępna. Podszedłem do ciebie. Po tamtym, pierwszym wieczorze, poczułem rodzaj ulgi, jakbym spełnił ciężką, życiową misję. Teraz już mogłem dotknąć twoich włosów, oczu, rąk, ust. Dostałem przywilej kochania cię. Byłem uratowany. Patrząc na ciebie i trudno mi uwierzyć, że znowu jesteście razem i że minęło dziesięć długich lat od pierwszego spotkania. Wyglądasz pięknie, młodo i dojrzałe. Złagodniały ci ostre rysy. Nie masz już gestów małej dziewczynki, ani spontaniczności rozkapryszanego dziecka. Lecz oczy pozostały nietknięte. Odnajduję w nich tamtą ciebie. Uciekasz wzrokiem. Wodzisz po ścianach, po oknie. Kiedy dotykam twej dłoni, cofasz ją mimochodem. A jednak to już nie ty.

Chciałem cię jak najwięcej. Chciałem być z tobą, rozmawiać, kochać twoje ciało. Towarzyszyłaś mi wszędzie: w łóżku, w pracy, w autobusie, w sklepie. Siedząc w pokoju, próbowałem rysować, ale nieposłuszne ręce pozwalały ołówkowi wypisywać na białej kartce papieru tylko twoje imię. Nieokreślone obrazy i twój wyraźny, nakładający się na wszystko. Byłaś tak różna od niej, taka czysta ze swoją młodością i brakiem doświadczenia, a jednocześnie przemawiała przez ciebie jakaś mądrość. Czasami nie odczuwałem tej różnicy

wieku dzielącej nas bezsprzecznie. Przychodziły momenty, iż wydawało się, że jesteś starsza ode mnie. Myślałem o tobie stale. Nie wierzyłaś, a to była prawda. Czułem jak cze-
kasz, aż do ciebie zadzwonię i potworny gniew, bezsilność
wzbierała się we mnie, jeśli nie mogłem tego zrobić. Rozczarowałem cię. Byłaś moją ciekawością. Szedłem na spotkanie z tobą nie wiedząc, jaką cię ujrzę – pogodną i roześmianą czy melancholijną, zmartwioną. Podejrzewałaś mnie o bezduszność, wyrachowanie, wygodnictwo. Stawałaś się niesprawiedliwa sądząc, że tylko ty masz zdolność przeżywania, a ja rozstając się z tobą natychmiast zapominam o twoim istnieniu i pamięć mi się odświeża dopiero przy kolejnym naszym spotkaniu. Widzę cię opartą o parapet okna i budzi się we mnie pragnienie przytulenia twego ciała. Pachniesz tak samo, tylko twoje usta trochę nieznanym, naznaczone piętnem innych pocałunków. Z policzków bije ciepło dawnych pragnień. Jednak twoje ramiona nie obejmują mnie już – tak mocno jak wtedy. Wymykasz się i wracasz na fotel. Dopijasz szampana. Pomimo egzaltacji kochałaś spokojnie i z rozmysłem, jakby rozsądek zwyciężył żądzę, wyzwalał w tobie chłód. Czasami byłaś aż zimna, obca. Traciłem nadzieję, że cię w ogóle obchodzę. Przychodziła niepewność i zwątpienie. Tak. Żałowałem, że cię znam. Właściwie nigdy nie oddawałaś mi się całą sobą. Zawsze zostawiałaś tę ma-
lutką, nieuchwytną część własnej prywatności, do której nie potrafiłem dotrzeć. To mnie złościło, iż jest coś, co tak skrzętnie przede mną kryjesz, strzeżesz niczym największy skarb. Powoli zaakceptowałem twoją inność, przyjąłem ją za normalność. Rozumiałem cię, mimo że przerażał mnie wyrzut w twoim spojrzeniu. To oczy mówiły o bólu, jakim

cię dotykam. Nie skarżyłaś się. Nie miałaś pretensji. Zawsze była w tobie duma. Cierpiałaś, wydawałaś się pokonana, lecz nie prosiłaś o ulgę, nie zebrałaś o ukojenie. Nigdy nie umiałaś brać, bo sądziłaś, że to szczyt egoizmu, tak po prostu, wziąć kogoś na własność. Twoją miłością było dawanie i to sprawiało ci największą radość. Nie używałaś wybiegów, aby mnie przy sobie zatrzymać. Nie chwytałaś się chytrych metod podstępny, zgodziłaś się na moją dezercję bez walki. Imponowałaś swoją niezależnością, choć z drugiej strony chyba cierpiałaś przez to. Sama skazywałaś się na uwięzienie uczuć we własnym wnętrzu. Byłaś w środku rozpalonym żelazem szczelnie okrytym na zewnątrz grubą warstwą lodu.

Pierwszy raz dzisiaj się uśmiechasz i to na wspomnienie naszych wakacyjnych planów. Mieliśmy udać się w daleką podróż, uciec od wrogów, którzy czyhali na nas zewsząd, obserwując bacznie dokąd idziemy, co robimy. Pamiętam twój wyraz twarzy, kiedy powiedziałem ci, iż wspólny wyjazd jest niemożliwy. Chciałaś udać, że nic się nie stało. Zdradziły cię jak zwykle oczy, w których widać było smutny odcień zawodu. Po raz nie wiadomo który rozczarowałem cię. Brakowało mi ciebie. Myślenie na twój temat stawało się niebezpieczne. Kluczyłem w labiryncie własnego świata i rzeczywistości, jaką stwarzaliśmy we dwoje. Lecz to nie była prawdziwa rzeczywistość, o ile coś takiego można nazwać fikcją. Zaczynałem się męczyć. Pragnąłem z tobą być, a jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że owa wizja, tak nierealna, wymyślona z góry zakłada fiasko całego przedsięwzięcia. Byłaś dla mnie wzorem kogoś, z kim życie potoczyłoby się niekonwencjonalnie i doskonałość takiego życia,

właśnie z powodu jego perfekcji, określała je jako niewiarygodne, nie do spełnienia. Nie potrafiłem umiejscowić twojej osoby w codziennym świecie, na jaki zostałem skazany przez los, okoliczności. W sferze wyobrażeń byliśmy nierozzerwalną jednością, tym samym istnieniem, jak to co nas otaczało na co dzień, zabraniało nam wierzyć, że kiedyś uczynimy nasze życie wspólnym.

Odgarniasz włosy z czoła. Ten gest wzbudza we mnie tkliwość i pragnienie, aby to moja ręka została opleciona jasnymi kosmykami delikatnych pajęczyn przesłaniających ci oczy. Dopiero dzisiaj mówisz mi jak bardzo mnie kochałaś. Dzisiaj już twoja duma nie gra roli. Nadszedł czas, że można powiedzieć wszystko do końca bez wahań i ograniczeń. Mówisz o tym z pogodą, łagodnie celebrując słowa. Smakujesz brzmienie wyrazu „kochać” i dziwisz się, iż to wyznaczenie przychodzi ci teraz z taką łatwością. Nawet śmiejesz się z niedowierzaniem, że to proste i jasne. Tak. Po latach przeszłość wydaje się nieskomplikowana, widoczna jak na dłoni, naga, bez niedomówień i sekretów. Kiedy zdałem sobie sprawę, że muszę dokonać wyboru, co znaczyło albo pozostać z tobą w tak mało prawdopodobnym związku, albo wrócić do niej, nie wiedziałem co robić. Hamowałem ręce wyciągnięte w stronę telefonu, zabijałem pragnienie usłyszenia twojego głosu w słuchawce. Paraliżował mnie strach na myśl, iż mogę cię spotkać. Nie potrafiłem przyjść i powiedzieć – to koniec. Chciałem mieć świadomość, że jesteś i zawsze będę mógł do ciebie wrócić. Otoczyłem cię pustką niekończącego się czekania. Uzależniłem od własnych obaw i niezdecydowania. Bałem się z tobą być. Bałem się cię stracić. Kochałem cię beznadziejną miłością poddaną

konieczności wyzwolenia się z niej. Przerazało mnie twoje cierpienie. Niedorzeczność myśli dławiła moje uczucia. Gubiłem się we własnych pragnieniach. Opowiadasz co się zdarzyło w ciągu tych dziesięciu lat. Mówisz o pracy, małżeństwie, swojej córce. Przysiękałeś wierność innemu, który miał cię, jak ja nigdy cię nie miałem. Wasz wspólny owoc – twoje dziecko. Twierdzisz, że mąż cię ograniczał, nie byłaś sobą, czułaś się niczym zwierzę w klatce. Poślubiłaś go, żeby dopełnić swoją życiową edukację. Spróbować wszystkiego. Nie mów nic więcej o swojej rodzinie. Tak jak przed laty, rodzi się we mnie zazdrość o innych mężczyzn w twoim życiu. Nie uzyskałem autonomii władzy nad tobą. Przekonanie, że cię znam, jest złudzeniem. Na zawsze pozostaniesz tajemnicą samej siebie. Dłonie ci drżą. Znowu patrzysz ku oknu. Podnoszę się z fotela. Podaję ci rękę i biorę na swoje kolana jak małą dziewczynkę. Przytulasz się do mnie, zamykasz w moich ramionach. Całujesz moją twarz, oczy, policzki, usta. Jesteśmy tam, o dziesięć lat wstecz. I to jeszcze jedno z naszych szalonych spotkań. Dokonałiśmy cudu. Cofnęliśmy czas. Na chwilę obudziliśmy śpiącą wiecznym snem miłość.

* * *

Kochamy się. Znowu sycimy się sobą. Zachłannie wnikamy w głąb naszych ciał, które poznaliśmy już dawno temu. Czyż to nie piękne, że potrafimy odnaleźć tamtych nas po tylu latach? Zgłodniali siebie walczyliśmy o przekonanie, które pragnienie jest większe. Moje czy twoje? Wnikamy w siebie, jak wtedy. Tym razem, wolni od strachu, że kiedy się rozejdzie-

my, tęsknota nie pozwoli nam normalnie żyć. Dziesięć lat uczyniło z nas fachowców, świadomych wszystkich przyczyn niespełnienia marzeń. Rozumiemy, że wróciliśmy tylko po parę chwil, by dopełnić czynu, który trwał przez tak długi okres w zawieszeniu. Ukoronowanie przyjętego na siebie obowiązku. Nieważne, że przegraliśmy miłość, że jest ona dla nas stracona. Potrafimy dać złudzenie swoim ciałom, swoim wnętrzom. Wmawiamy im konieczność ostatniego złączenia, które natychmiast brutalnie rozerwiemy. Właśnie dlatego, że uzmysławiamy sobie nasz koniec, rozpaczliwie staramy się zagrać płacziwe akordy melodii rozstania. Tak naprawdę to dopiero dzisiaj odejdziemy od siebie na zawsze. Teraz zyskaliśmy odwagę, żeby powiedzieć sobie, żegnaj! Czy to nie dziwne, iż wówczas ani ja, ani ty nie domagaliśmy się wyjaśnień, ostatecznych rozmów, nie żądaliśmy formalnego, jeszcze lepiej – werbalnego zakończenia naszego związku. Woleliśmy każde z osobna się z tym uporać. Słowa były niepotrzebne. Nie dawały obłudnych przesłanek, że może kiedyś spotkamy się, w jakiejś wiośnie. Gładzę delikatnie twoje ramię. Twoja skóra jest ciągle sprężysta, ani trochę nie zwiotczała. Leniwie sięgasz po papierosa. Podnosisz się wolno. Teraz ty wyglądasz przez okno. Pada deszcz. Niebo płacze nad nami. Siedzę w fotelu naprzeciwko ciebie. Nagle mam ochotę zapalić. Proszę o ogień. Słyszę twój śmiech i stwierdzenie, że nic się nie zmieniłam. Zaczynam chaotycznie opowiadać o jakiejś pasjonującej książce czy filmie. Przerwasz mi. Mówisz, że pamiętasz wszystko, że dziesięć lat to za mało, abyś zapomniał. Potakuję głową. Wierzę ci. Wierzę, jak wtedy. W pewnej chwili zdaję sobie sprawę, że czuję głębokie zadowolenie słuchając dzisiaj twoich wyznań, na któ-

re czekałam od tak dawna. To w tobie jest teraz niepokój, gotowość do największych poświęceń, chęć rzucenia wszystkiego, zaczęcia od nowa. Ty jesteś pochodnią, która bez mojej iskry zgaśnie. U ciebie świt, kiedy u mnie jest zmierzch i układam się do snu zapomnienia. Dlaczego pytasz mnie czy cię kocham? Czyżbyś tego nie wiedział? Wtedy, przez długie miesiące, było to w moich oczach, między wierszami, w podtekście moich listów do ciebie. Otwarcie przyznawałam się do swojej miłości tylko przed samą sobą, przed ścianami pokoju, przed ciszą niezmaconą dzwonkiem telefonu. Dla ciebie powinno być to oczywiste. Siebie musiałam upewniać w uczuciu, z twojej strony tak ulotnym i niesprecyzowanym. Byłam ofiarą w dramacie. Ty grałeś rolę złoczyńcy. Spektakl już się skończył, więc nie mów nic więcej. Słowa brzmią dziś pusto i nieprzekonywująco. Czego nie powiedzieliśmy wtedy, nie powiemy już nigdy. Trwajmy w nadziei, że udało by nam się wszystko, nie niszczy przekonania, że byliśmy stworzeni dla siebie. Niemożność sprawdzenia tego zapewni nas o racji naszych przeświadczeń. Nie twórzmy siebie nowych. Nieważne – lepszych czy gorszych. Pozostańmy tamtymi z wszystkimi wadami i zaletami.

Milkniesz w połowie zdania. Widzisz, jesteś jednak świadom bezowocności zmieniania czegokolwiek. Siedzisz trochę bezradnie, jakby odebrano ci twoją ulubioną zabawkę albo nie pozwolono się wykrzyczeć. Patrzysz na moją twarz z zachłannym pragnieniem zapamiętania każdego jej skrawka. Nagle podrywasz się gwałtownie i kieliszek z szampaniem spada na podłogę. Mówię, że już późno i muszę iść. Nie zatrzymujesz mnie. Wkładam wolno płaszcz, biorę torbę. Stoisz wyprostowany z bezsilnie opuszczonymi rękoma.

Podchodzę do ciebie i przywieram do twojego ciała z taką siłą, jakbym chciała, aby mnie wchłonęło. Całujesz mnie. Pomyliłam się. Twoje oczy nie są puste i obce. Widzę w nich wszystko, widzę przeszłość i dzisiejszy wieczór. Widzę obawę przed jutrem. Widzę pragnienie, nawet trochę cierpienia w kącikach. Zostawiam cię z twoimi oczami. Są właśnie takie, jakie zapamiętałam. Odwracam się. Bez słowa wychodzę, zamykając za sobą drzwi TAMTYCH DNI.

MARTA FOX

Katowice, wyróżnienie

Oczekiwanie

Moja Kobieta Winna Grzechu, namiętności pełna, wysiądzie za chwilę z pociągu. Czekam na nią z bukietem kwiatów. Odmieniałem jej imię przez wszystkie dni miesiący, przez zimę i wiosnę, odmieniam i teraz przez kolejne chwile. Wsiądzie w słońcu. Przyrzekła, że nie tylko w listach będzie, lecz w życiu i że dotkniemy się najpiękniej.

Więc przyjedzie za chwilę. Być może zapragnęła mnie realnego, z kości i krwi. Być może nie potrafi już rozmawiać z Abelardem, który mógł tylko pisać, ani z Hamletem, który stawiał pytania, ani z panem Flaubertem z domu Bovary, który tęsknił do innego życia, przybrawszy maskę kobiety, ani z Huckiem Finnem, co płynął z prądem wielkiej rzeki, ani z panią Rosą, która dobrze wiedziała, że niekoniecznie

trzeba mieć powody ku temu, by się bać, ani z Józefem K., który miał proces, ani nawet z Kareniną, która nie chciała, aby Karenin się uśmiechał i przebaczał.

Być może pragnie tylko mnie. I mnie potrzebuje. W tym moja nadzieja. Wsiądzie za chwilę i powie, że jest zmęczona – przez tę podróż, przez Pascala, Dostojewskiego i Saskię Rembrandta. Wsiądzie uśmiechnięta. Podbiegnę i wezmę ją na ręce. Powiem, że czekałem całe życie. Powiem, że kocham.

Nie, nie tak. Nie ruszę się z miejsca. Poczekam spokojnie. Poczekam aż ona podejdzie. Poda mi rękę, którą z szacunkiem pocałuję, a potem przytulę ją delikatnie, obejmę ramieniem i pójdziemy przed siebie. Żadnych gwałtownych reakcji.

Bez sensu. Nie, jeszcze nie tak. Za chwilę Moja Kobieta Winna Grzechu, namiętności pełna wsiądzie z pociągu, podbiegnie do mnie stojącego z bukietem kwiatów w rękę, wsiądzie w słońcu, zarzuci mi ręce na szyję i powie: Czekałam na ciebie całe życie, kocham cię, mój chłopczyku.

Moja kobieta. Moja Kobieta Winna Grzechu wsiądzie z pociągu. Wsiądzie. Na pewno wsiądzie. Czekam razem z kwiatami i słońcem. Czekałem tyle miesięcy. Więc opanuj się jeszcze przez kilka minut. Zapal papierosa. Nie, nie tak. Żuj gumę, czytaj coś nonsensownego.

Nie. Nie tak. Bez sensu. Czekaj spokojnie. Twoja kobieta za chwilę do ciebie podejdzie. Powie: Dziękuję, że jesteś. Bądź moim źródłem. Będę zawsze spragniona. Kochaj mnie, zobaczysz – stworzymy siebie od nowa dla siebie i dla życia. Znajdziemy klamkę, która zaprowadzi nas na drugą stronę, jestem ostatnio więcej z tobą niż z sobą. A gdy zamkniesz

oczy pobiegniemy razem po różę, po jej zapach i czerwień, kolcami przypieczętujemy nasz pierwszy dzień, a potem zaśniemy, wplątani w siebie wszystkim, co nam dano i będzie cisza. I będzie ona – moja Kobieta Winna Grzechu.

Nie, nie tak. Moja kobieta wybiegnie z pociągu, zawisnie na mojej szyi i powie: Przytul mnie mocno, wejdź we mnie – już i natychmiast. Moja kobieta będzie moja, zwisając w moich ramionach. I powie: Nie bądź rozważny, bądź szalony i nie bój się ran, które są święte.

Mam to, czego chciałem. I powinienem dziękować Bogu, że o mnie pamiętał, że mnie nie pominął wśród tylu zadań do wykonania, próśb do wysłuchania. Chłonę każdą sekundę oczekiwania, oswajam je, czuję ich długość i ból. Czuję cielesnie, dotykalnie, oswajam nawet swoje rozczarowanie, które też wydarzyć się może. Nie proszę Boga, by je odwrócił, bo dlaczego miałby odwrócić coś ode mnie, skoro nie odwraca od innych. Trwam w chwili. Nasłuchuję. Czuję, że jestem bardziej niż wczoraj, bardziej niż kiedykolwiek.

A moja kobieta będzie za chwilę ze mną. Czekam na nią. Będzie tym wszystkim, czego nie ma w tej chwili: ptakiem w locie i mgłą. Będzie jasnością, czasem teraźniejszym, przeszłym i przyszłym. Będzie realna, dotykalna, a nie tylko między snem a snem. Będzie moja. Wejdę w nią cały, a ona podda się moim rękom i odwzajemni każdy gest. Nie będę jej o nic pytał, bo pytania mogą nas rozdzielić. Moje uczucia dla niej takie są, że chciałbym, aby spotkało ją wszystko, co dobre dla niej, choćby to miało być złe dla mnie.

Czekam na sen, o który się prawa modlić nie miałem, a który wydarzy się na pewno. Wydarzy się. Już za chwilę. Czas przestaje istnieć, a ja rozmawiam z nią, nawet,

gdy nie rozmawiam. Pozostaje tylko chwila, błysk nagłej pewności, podnoszący na duchu i zapraszający w nieznanne. Nigdy jeszcze zapach kwiatów nie był tak silny. Radość też boli. Ale to nic. Ból urzeczywistnia. Tylko on jest prawdziwy. Wszystko z niego: strach, rozpacz, tęsknota, której zabić nie można, bo przemyca się w kolorze oczu i zapachu. I dlatego jest wieczna, jak trawa.

Moja Kobieta Winna Grzechu za chwilę wysiądzie z pociągu i zrobię z nią wszystko, co jej obiecałem. Stanie się ciałem, jak słowem wyszeptanym. Będę ją kochał hiperbolicznie i ponadrzeczywiście, a ona będzie się prężyć pod każdym moim, nawet niewidzialnym gestem.

Moja Kobieta Winna Grzechu, miłości pełna – stoi przede mną. W jej oczach siedzi demon – ten sam, który opętał „Joannę. Matkę, tę od Aniołów”. Moja kobieta przytula się do mnie i mówi: Nie chcę być bez ciebie, nawet jeśli będę.

RADOSŁAW RZESZOTEK

Toruń, wyróżnienie

W zawiasach

Właśnie przestało padać. Wytknęli głowy przez drzwi do klatki schodowej: nie pada – można wyjść się pokazać.

Wyszli przez blok wyprostowani tak, żeby bary były jeszcze szersze niż naprawdę. Nazywa się to: „My tu rządząmy”. Jeszcze głowę trzeba troszkę pochylić, ręce rozsunąć szeroko – jak kowboje przed pojedynkiem, wydłużyć krok. Idziemy.

Z takimi lepiej nie zaczynać, nawet trzech takich gości może ostro nastraszyć. Wczoraj obejrzeli „Commando” ze Schwarzeneggerem, to teraz nikt nie wyskoczy.

Idą teraz do knajpy walić po mordzie jak Arnold. Wolno po schodach, drzwi otwiera się kopniakiem. Rzut oka: przy stołach – na razie – nic. Więc – bar.

– Trzy razy piwo.

Siadają na stołkach i czekają.

Zaczyna się robić ciemno, noc jest najlepsza na zadymę. Knajpa jest ich, nikt jeszcze im tu nie podskoczył. Ktoś – wiadać nie stąd – klepie jednego w ramię:

– Ty, mały, chodź se zmierzymy!...

Pedał. Pedały to cieniasy.

– Spadaj, bo trafię!

– To chodź, wyjdziemy.

Wychodzą. Trzech na pijanego pedała. Ten już zdejmuje kurtkę.

– Rzepa, zostaw go mnie!

Poznają go od razu: to stary przyjaciel – osiem lat w pudle.

– Dobra jest, Dziobel, bierz go. To pedał.

Dziobel nawet nie zdejmuje kurtki. Ponura twarz jest dokładnie ogolona, cynkówka przy oku. Oni przy nim wysiadają.

Pedał z zaciśniętymi pięściami rzuca się pierwszy na Dziobla. Pada na ziemię, sprawnie.

Rękę ma się zaprawioną w więzieniu, to najlepszy trening. Pedał coś tam jeszcze mamrocze. Teraz ich kolej, kopią go więc po kolei, aż tamten przestaje się bronić.

– Buty mamy czyste! – to jest tekst! Wszyscy rechoczą uradowani i wracają do baru. Dziobel stawia cztery setki czyściochy.

Chlają jeszcze trzy, cztery godziny, aż skończą się pieniądze. Wszystkim. Wychodzą zapici jak bączki. Jest cudownie. Teraz już do domu. Rozchodzą się przed blokiem. Starzy już przywykli – normalka, piąta rano. Gdzie był? Oblewał przed wojskiem. I pada na wyro.

Następnego dnia – po wypiciu wszystkiego mleka z lodówki na kaca – Rzepa przynosi kasetę „Krwawy sport” – kolejna lekcja dobrego mordobicia. Kumple już są pod blokiem.

Któryś ma fajki „Marlboro” – to jest sprzęt!

Gadają o wczorajszym pedale i o Dzioblu.

– Ma paterę w łapie, co?

– Posiedzisz, cwelów pobijesz, to też taki będziesz.

Rzepa ma rację: trzeba siedzieć, żeby dobrze się napięprzać.

Idzie dwóch gości. Jednego znają, jest z klatki obok, chodzi do ogólniaka. Nikt go nie widział z fajką, ale na glinach nie pucował. A ten drugi? Jakaś fujara: niewysoki, kruchy. Jeden mocniejszy – i leży.

Witają się: „No, grzeczni chłopcy!”

– Jak żyjesz, Rzepa?

– Smoczło!...

Gadają o byle czym, nawet klną mniej – ten Łuczyk, ten z klatki obok – nie klnie wcale, więc jak z takim gadać.

– Ty, Łuczyk, pożycz dwa tysiące!

Tamten rozstawia szeroko ręce: – Nie mam, jak znajdziesz – twoje!

Rzepa nie lubi, jak go ktoś wali w rogi.

– Nie ma sprawy. A jak tam łajzy z ogólniaka, uczą się, co?

– Jak kto jest głupi, to musi się uczyć! – czasem i ten Łuczyk potrafi tekścić. Rzepa pyta czy zapali... „Naukowiec” mówi, że jego ojciec jest w domu i wyczułby. Łuczyk ma więc następną krechę u Rzepy.

Zjawia się Ernest. Jest z klatki Łuczyka, razem się wychowali i tylko on go kryje, bo inaczej Łuczyk miałby już

dawno wyklepaną michę. Ale Rzepa boi się Ernesta, Ernest jest najlepszy na zadymach, zna grypsereę. Trzyma razem z Dziobłem.

Kiedyś ćwiczył karate i nie bije ot tak, za nic, jak oni. Wszyscy znają Ernesta i szanują. Ernest bez chrzanienia mówi, że trzeba komuś wpięprzyć – ale wtedy, kiedy naprawdę trzeba.

Idą dziś też na zadymę. „Naukowiec” ze swoim kumplem zostają przed blokiem. Tamci zabrali ze sobą nóż, pałkę, pas, łańcuch. Jest ich czterech – a jakby dziesięciu było. „Jak będzie trzeba – wyprujem flaki”.

Nie jest jeszcze ciemno. Wchodzą do klatki tego, z którym mają do policzenia się. Na schodach trzech gości... Ten „ich” jest z nami. Pałki, łańcuchy i glany – tamci trzej leżą pod schodami. Oberwali niezłe. Otwierają się drzwi – wychodzi jakiś facet.

– Co wyście im zrobili?

– Gównno, nie twoja rzecz!

Strzał z bańki i gość – heppy. Wychodzą. A przy drzwiach – jakby z podziemi – mędziarze! Dwóch szeregowych i kapral.

Wieżą, nie czekając. Wszyscy są „w zawiasach” – jak ich złapią – ciupa murowana. Zbierają się potem – nie ma Rzeppy. Ale on nie będzie pucował.

* * *

Rzepa siedzi na krześle.

– Jarosław Rzepiński?

– Tak.

- Zamieszkały... To nowy dzielnicowy i zbiera informacje.
- Uczestniczyłeś w kilku bójkach.

I dzielnicowy wymienia miejsca, daty. Był tam i na innych – też.

- Nie uczestniczyłem.

Policjant podchodzi od tyłu, naciska palcem na mięsień szyjny, aż trzaska w mózgu. Rzepy to nie rusza. Dzielnicowy dziwi się. Wychodzi gdzieś. Kiedy wraca, pyta:

- Zapalisz?
- Nie palę.
- To po piwku sobie strzelimy.
- Nie piję, mama nie pozwala.

Pieprzony szczeniak. Więc od nowa: imię, nazwisko, adres i mięsień na szyi.

- Ernest Girkiewicz, widziałeś go z nożem?
- Tak, jak chleb kroił.

Gliniarz wpada w szal. Zaczyna wyzywać Rzepę. Ten od razu czuje się lepiej – jak wśród kumpli. Wypuszczają go wreszcie. „Poszkodowani nie wnieśli skargi”. Wiedzieli, że chłopaki policzyliby się z nimi tak za to, że szczęki leżałyby po schodach.

Rzepa wali prosto pod blok. Wszyscy już czekają. Mają zaplanowaną kolejną – bezpieczniejszą na pewien czas – zadykę.

Zaczyna padać.

PRZEMYSŁAW SZULGIT

Poznań, wyróżnienie

Freski

Kiedy przeniesiono mnie tutaj, na ścianach zastałem zaledwie trzy rysunki. Najprostszy powstał z zakolorowanej pyłem plamy obwiedzonej później konturem. Przedstawiał rybę o długich powłóczyстых płetwach wywiniętych podczas jej ruchu przez wodę. Z pyska ryby wydostawały się bąbelki powietrza. Ich kontury wydrapano w ścianie bardzo prymitywnie i naiwnie. Potem okazało się, że naniesiono je błędnie i musiałem je zetrzeć. Samą rybę pozostawiłem. Drugi rysunek widniał tuż obok ryby. Przedstawiał małą dziewczynkę stojącą na zwartych nogach i trzymającą przed sobą bukiet kwiatów. Dziewczynka trzymała bukiet jedną ręką, drugą rękę schowała za plecami. Jej twarz unosiła się nad bukietem – tworzyły ją kreski ust, nosa, oczu pod szklami okularów oraz gęstych pofalowanych włosów. Dziewczynka została narysowana w taki sposób, że jej postać oddawały kontury, a jej bukiet – cała plama. Okazało się to

bardzo ważne, bowiem ta różnica oglądana z pewnej odległości uzmysłowiała mi, że na rysunki można patrzeć zupełnie inaczej, co wykorzystałem w mojej późniejszej pracy. Trzeci rysunek wykonano najbardziej starannie i pracowicie. Przedstawiał tron, na którym siedziała naga kobieta. Przed nią stał mały, nagi chłopczyk zasłaniający swą męskość. Stał zwrócony twarzą do tronu z kobietą – przeze mnie był widziany od strony pleców i pośladków. Rysunek nie wymagał ode mnie już żadnej korekty, wydłużyłem jedynie plamę cieni, jakie rzucały te postacie, a piersi kobiety wraz z oparciami tronu wykorzystałem do następnej kompozycji. Rysunek z tronem widniał na ścianie z krzyżem naprzeciwko drzwi. Wszystkie trzy rysunki znajdowały się blisko drewnianego łoża z siennikiem, w odległości nie większej niż wyciągnięcie ręki z siennika. Łoże było ustawione pod krzyżem. Krzyż w zasadzie nie jest krzyżem, ale jest to moje jedyne skojarzenie na nazwanie tej bryły. Ściana naprzeciwko drzwi nie jest gładka jak pozostałe, przez jej środek biegnie filar, na którym być może opiera się strop. Przez całą długość ściany w jej zetknięciu z sufitem przebiega belka krzyżująca się z pionowym filarem. Być może ona również służy do podtrzymywania stropu. O tym, czy te elementy rzeczywiście tworzą krzyż, można byłoby powiedzieć dopiero po przebicciu sufitu i stwierdzeniu, czy pionowy filar jest przedłużony ponad belkę przy suficie, czy też nie. Czy też tam, ponad sufitem, znajduje się coś zupełnie innego, bądź też nie znajduje się nic, co krzyżowi, jak go nazwałem, kazałoby być faktycznym krzyżem. Sufit stoi na przeszkodzie do poznania tej prawdy i każe poprzestawać jedynie na domysłach. Cały dolny odcinek krzyża zawarty pomiędzy sienni-

kiem a wysokością, jaką zajmuje głowa siedzącego nad nim, jest brudny. Z pewnością jest to brud, jaki ściana zbierała z pleców tego bądź tych, którzy byli tu przede mną. Z powodu wystającego z płaszczyzny ściany filaru łoża z siennikiem nie może przylegać do ściany, a inne ustawienie łoża jest niemożliwe. Można je co najwyżej ustawić pionowo, opierając o jedną ze ścian, toteż krzyż służy za najwyższe oparcie, gdy przebywa się na sienniku. Z tego też miejsca zacząłem przypatrywać się zastanym przeze mnie trzem rysunkom. Rysunek dziewczynki znajdował się naprzeciwko mnie, razem z sąsiadującą przy nim prymitywną rybą. Po długim przyglądaniu się dziewczynce zauważyłem, że w miarę męczenia się wzroku można jej sylwetce nadać zupełnie inne ułożenie. Gdy patrzy się na dziewczynkę wystarczająco długo, ma się wrażenie, że stoi plecami do patrzącego, a nie jak poprzednio – przodem. Plama bukietu kwiatów, jaki trzyma przed sobą, staje się wówczas włosami na głowie, a ręka, którą trzyma bukiet, tworzy początek chmurki, jakie widnieją nad postaciami z komiksów. Chmurka interesuje mnie najbardziej, bowiem zawiera jedyną czytelną dla mnie informację. Żaden sposób innych rysunków, chociaż wszystkie zostały wykonane przeze mnie, nie próbuje mi niczego tak wyraźnie przekazać. Rozmywające się kreski oczu pod okularami, nosa i ust z poprzedniej postaci dziewczynki układają się w litery napisu. Wielokrotnie przypatrywałem się mu z całą uwagą, na jaką tylko było mnie stać, ale jak do tej pory nie zdołałem go odczytać, mimo iż dokładnie przeliczyłem ilość znaków, jakie go tworzą i liczba ta jest zawsze taka sama. Zresztą moje wysiłki mogą być daremne, bowiem napis mógł zostać wykonany w niezrozumiałym dla mnie języ-

ku. Podobnie zachowałem się wobec sceny sądu. Tak nazwałem rysunek nagiego chłopca przed kobietą na tronie. Grupie tej nie przyglądałem się jednak z siennika, skąd została przez kogoś narysowana – przeniosłem się pod drzwi naprzeciwko. Po odpowiednim zmęczeniu wzroku pojawił się drugi plan rysunku. Piersi kobiety wystające sponad oparcia tronu ułożyły się w oczy w okularach, a długie włosy kobiety spadające na jej ciało i oddzielające swą plamą jej twarz od reszty korpusu stały się roztarganymi włosami innej, wielkiej głowy. Stopy kobiety stały się jej nozdrzami, a przestrzeń pomiędzy tronem a fikcyjną posadzką, na której stoją jego wysokie, nieco zakrzywione nóżki, stworzyła obraz otwierającej się paszczy, która pragnie pochłonąć ofiarę: chłopca z poprzedniej postaci rysunku. Obwiedzenie konturem twarzy nowej sylwetki było pierwszym rysunkiem, jaki zrobiłem. Rysowałem kawałkami tynku opadłymi z kruszącego się sufitu i wydrapywałem kreski drzazgami wyłamanymi z drewnianej ramy siennika. Następne rysunki rozpocząłem od tych najłatwiejszych, jak pływająca ryba. Wykonywałem je zbierając pył z podłogi, po czym palcami wcierałem go w ścianę w miejscach, gdzie plamy, jakie wyróżniłem, odbarwiły się. Plamy, pęknięcia, uszkodzenia i odbarwienia to stałe miejsca, które najłatwiej wyodrębnić i gdzie najłatwiej znaleźć jeden niezmienny kształt. Inne kształty przemieszczają się. Czasami ptaka z dołu znajdowałem na przeciwległej ścianie przy krzyżu; w innej pozycji bądź w innej postaci. Z innymi motywami było tak samo. To wina tego, że zacząłem pracować bardzo chaotycznie. Zarzucałem jeden kontur na korzyść drugiego, mniej istotnego i wykonywałem szybko jakiś rysunek, by prędko powrócić

do poprzedniego. Rysunek drugi okazywał się przez to błędny albo niestaranny, a kształt rysunku pierwszego – wydawałoby się schwycony przez kontur – wymykał się mi. Niektóre motywy uciekały mi w ten sposób parokrotnie, a nieliczne wymknęły się ostatecznie, albowiem nigdy więcej nie odnalazłem ich pod żadną postacią – ale też mogły zmienić się nie do poznania. Dlatego przyjąłem inną metodę pracy. Najpierw wyodrębniłem grupę, jaką chciałem obwieścić konturem, a następnie pilnie przypatrywałem się jej, czy postać, pod którą ją znalazłem, jest dla niej właściwa. Należy bowiem patrzeć wystarczająco długo, aby rozpoznać każdy szczegół. Czasami jeden przypadkowo zauważony punkt zaczepienia konturu potrafi całkowicie zmienić kompozycję grupy, a nawet zmienić jej postać. Należy jednak uważać, by grupa nie wymknęła się. Jeden niepotrzebny szczegół sprawia, że grupa rozbija się i znika, i być może nigdy więcej w podobnej postaci nie zostanie uchwycona. Sylwetki przemieszczają się jak kadry filmu. Zamierają w wyczekiwaniu na odnalezienie nowego punktu do zaczepienia linii swego konturu i gdy go odnajdą, dokonują przemieszczenia. Przez drobny ułamek chwili drżą jak ciecz rozlana w nowym naczyniu połączonym, dopóki jej ciśnienie wszędzie nie wyrówna się. Na początku zdołałem wyróżnić tylko największe grupy i tylko te najłatwiejsze do uwięzienia w konturze, które brały swój początek z pęknięć w ścianach bądź plam na nich. Stworzyły duże wyspy na przestrzeni ścian, przy czym nigdy nie znajdowały się wyżej niż moja głowa, kiedy stałem, albowiem do takiej wysokości ściany są uszkodzone i zabrudzone. Jeżeli rysunki chce się poprowadzić wyżej, ich zaczątkami są fragmenty lub linie z poprzednich rysunków.

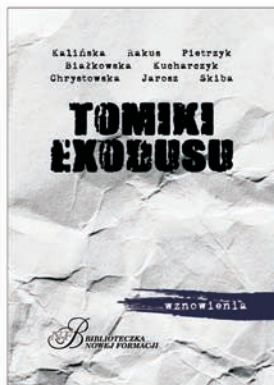
Poniżej praca jest znacznie ułatwiona. Każda plamka czy rysa kotwicy jakąś sylwetkę albo kształt. Ściany są niebieskie. Pomalowano je błękitną farbą wapienną i gdzieś gdzie warstwa barwnika nie pokryła ściany tak ściśle, co ułatwiło mi zadanie, bowiem na idealnie jednolitej powierzchni, na przykład takiej, jak drzwi czy mur na zewnątrz, nie potrafię niczego wyróżnić. Niestety teraz napotykam wyłącznie taką powierzchnię, przez co tempo wykonywania rysunków znacznie obniżyło się, bowiem ściana tuż przy suficie jest idealnie czysta i tylko jedna pajęczyna i parę zacieków w kątach pozwoliło mi na wykonanie kilku grup. Lecz myślę, że odszukanie ich właściwych konturów nie będzie już należało do mnie, ponieważ widzę, że moja praca niedługo dobiegnie końca, gdyż nie jestem w stanie dokonać niczego więcej. Mógłbym co prawda kontynuować moje dzieło gdzie indziej, gdzie występują powierzchnie do zapewnienia rysunkami na niższych wysokościach, z którymi tak dobrze sobie radzę, ale za drzwiami, na prostokątnym dziedzińcu, gdzie wychodzę na spacer, jedynym miejscem, które mogłoby się do tego nadawać, nie zauważyłem żadnego szczegółu. Wysoki mur otaczający dziedziniec pokryty jest chropowatym, beżowym tynkiem o konsystencji tak zwartej, że nie daje się odłupywać tak, jak ten błękitny wewnątrz. Zresztą jeśli nawet udałoby się mi go uszkodzić, wszystkie sylwetki, jakie w następstwie tego kroku mógłbym później obwieść konturami, bynajmniej nie gwarantowałyby swojej autentyczności, bowiem nie rozpoznałbym je tak jak te w środku, lecz wyprowadzałbym je z czegoś, co już sam poniekąd stworzyłem, a nie zastałem, i co pochodzić może tylko i wyłącznie ode mnie. I ta fikcyjna droga wydłu-

zenia mojej pracy nie wróży mi żadnego sukcesu. Drzazgi są za słabe, by porysować beżowy tynk, a jedynych w murze drzwi oddzielających dziedziniec od pomieszczenia, gdzie pracuję, nie mogę zatrzaszkiwać w nieskończoność w nadziei, że gdzieś powstanie jakaś przypadkowa rysa. Podobnie nie mogę rysować ani na podłodze w środku, ani na ziemi na zewnątrz. Są zbyt brudne i nie nadają się do tego. Na zewnątrz jest jedynie zbity piasek i tylko czasami z nałożonych na siebie kilku śladów moich stóp byłbym zdolny do wyprowadzenia jakiegoś kształtu podczas spaceru. Na samym początku spacerowałem bardzo często. Być może dlatego, że wówczas nie byłem jeszcze tak zaprawiony do trudów mojej pracy i spodziewałem się znaleźć jakieś ułatwienie spoglądając w niebo, które jest tak samo błękitne jak ściany w środku. Jednak na takim błękitcie jedynymi skazami są chmury. Wielokrotnie przyglądałem się im i nadawałem im kształty. Myślałem, że odnajdę je później w środku, lecz myliłem się. Kształty chmur przemieszczają się same i to szybciej, niż ja sam zdołam znaleźć dla nich jakiś punkt, dzięki któremu mógłbym zmienić swą kompozycję. Ich ruch jest zbyt pewny, niemalże prowokacyjny i cyniczny. Ponadto widywałem jedynie fragmenty chmur – niebo jest wykadrowane murami dziedzińca – i fragmenty kształtów, którym wystarczy wyjść poza czworobok nieba, jakie widzę, by mi umknąć. W środku ucieczka kształtów nie jest tak łatwa, bowiem potrafię bez przerwy przeszukiwać całą powierzchnię ścian, a nigdzie indziej żaden kształt nie może znaleźć schronienia. Tak więc nie ma żadnych powiązań między błękitem nieba, a błękitem wewnątrz i odkąd zrozumiałem to, spaceruję coraz rzadziej i rzeczywiście wyłącznie po to, żeby

odpocząć. Moja praca jest męcząca. Raz dlatego, że polega na nadwyrężaniu wzroku, by kształt poprawnie wyodrębnić spomiędzy innych – oraz na głębokiej koncentracji, by nie zapomnieć o pociągnięciu kreską każdą spostrzeżoną linię; dwa dlatego, że im bardziej ściany są wypełnione przez kontury, tym trudniej dostępne są miejsca, gdzie należy dorysować następne. Jak też wspomniałem, moje dzieło rozpoczęłem chaotycznie. Zarzucając rysowanie niektórych kształtów na korzyść innych zdarzało mi się zagubić te pierwsze, a i częstokroć błędnie uchwycić drugie. Musiałem je następnie wymazywać, przez co powiększałem chaos całej kompozycji. Po jakimś czasie większe skupienia rysunków łączyły się z innymi tworząc coraz większe wyspy na powierzchni błękitnych ścian. Wyspy łączyły się z innymi wyspami, aż wreszcie musiały sięgnąć podłogi. Wówczas zrozumiałem, że na żadnej ze ścian nie pozostanie choć skrawek pustego miejsca, które nie należałoby do jakiegoś kształtu, ponieważ nawet powierzchnia krzyża została przeze mnie zarysowana. Po wypełnieniu wszystkich miejsc dostępnych dla mnie w pozycji stojącej musiałem oprzeć łożę z siennikiem o ścianę i wspiać się na nie, by kontynuować pracę wyżej. Co prawda zdarzało się i zdarza nadal, że jeszcze wiele czasu spędzam na dole, by dorysować drobne szczegóły, jakie poprzednio umknęły mojej skupionej uwadze, jednak praca coraz szybciej posuwa się naprzód. Zauważyłem, że im bardziej kompozycja została pociągnięta konturami i im mniej wolnego miejsca pozostaje dla jej nieuchwyconej dotąd części, tym mniejsza staje się szamotanina, jakby godziła się, że wkrótce zostanie uwieczniona w liniach konturów i wyodrębnianie kształtów oraz postaci staje się przez to łatwiej-

sze, zwłaszcza iż znacznie zmniejszyło się ich pole manewru, a zarazem ucieczki. Żaden kształt ze ścian nie może przedostać się na sufit, może jedynie krążyć w coraz ciśniejszym pasie między sufitem a zarysowaną płaszczyzną ścian. Mimo to po wykonaniu wszystkich rysunków z pewnością okaże się, że kształty na ścianach biorą początek właśnie z sufitu. Tak logicznie można wywnioskować z ich dotychczasowej kompozycji. Kompozycja na suficie zostanie najprawdopodobniej rozpoczęta od krzyża, który bynajmniej nie musi kończyć się ponad sufitem, lecz jego koniec może zostać oddany przez rysunek na płaszczyźnie stropu – i od starej zakurzonej pajęczyny, która zwisa z góry i zahacza nitkami o ściany. Jak dotąd tam właśnie rysunki dochodzą najwyżej i nitki pajęczyny wyrastają z niektórych linii na ścianie, są wręcz ich przestrzennym przedłużeniem i na nowej płaszczyźnie stropu powinny rozprysnąć się całymi pękami kresek. Ja jednak nie jestem w stanie dokonać tego dzieła. Nawet stojąc na sienniku ustawionym pod bardzo ostrym kątem do ściany, wyciągając rękę do góry nie mogę dosięgnąć sufitu na tyle pewną dłonią, by wykonać nią poprawny rysunek. Dlatego nigdy, jak mniemam, nie dowiem się, co ukrywają wybrzuszenia i pęknięcia na jego białym tynku. Co prawda w plamach w powstałych miejscach, skąd tynk opadł na posadzkę, dostrzegam profile jakichś twarzy i ich nakrycia głowy, ale nawet w wyobraźni nie potrafię im nadać żadnych rysów. Będzie to należało do tego bądź do tych, którzy nastaną tu po mnie. Być może uda się im również odczytać napis nad głową postaci dziewczynki trzymającej bukiet, a także dostrzec porządek odkrywanej przeze mnie kompozycji: gdzie ułożyły się motywy roślinne, gdzie

zwierzęce; gdzie zaległy postacie, a gdzie kształty; gdzie symbole, a gdzie przedmioty. Ja sam nie potrafię tego rozpoznać, chociaż cała kompozycja z wyjątkiem trzech rysunków, jakie tutaj zastałem i nieznacznie poprawiłem, została wykonana moimi rękoma. Być może będą musieli wymazać część moich rysunków, które są błędne i w których ja nie dopatrzyłem się żadnego uchybienia, i nadać właściwe. Być może odnajdą się pomiędzy jakimiś postaciami, jakie do tej pory uchwyciłem, tak jak sam bezskutecznie starałem się to uczynić. Z pewnością będą posiadać postać zupełnie inną niż ja, skoro trzeba zarysować środek sufitu, do którego ja nie zdołałem dotrzeć, choćby nawet udało się mi wreszcie stanąć na pionowo ustawionej ramie siennika i nie stracić równowagi.



ISBN 978-83-967217-2-3



9 788396 721723



NEB
**BIBLIOTECZKA
NOWEJ FORMACJI**

**STOWARZYSZENIE
BEZ LIMITU**